

*Mary Jo Putney*

*Diaboliyczny Baron*

# 1

- Lord Radford - zaanonsował lokaj pełnym dystynkcji i skupienia głosem.

Jego ton odpowiadał w pełni zarówno elegancji wnętrza, do którego wszedł właśnie Jason Kincaid, dziewiętnasty baron Radford, jak i wyglądowi samego arystokraty. Bez wątpienia można by go bowiem opisać jako „wyniosłą doskonałość”. Baron miał na sobie nienagannie skrojony, cyfrowany surduty, śnieżnobiały, krochmalony żabot i krótkie spodnie do kolan. Jego pantofle lśniły jak wypolerowane, kryształowe lustra, a szesane do tyłu włosy związane były w modny kucyk.

Jednak myliłby się ten, kto uznałby go jedynie za bawidamka i bywalca salonów. Pod delikatną, lnianą koszulą skrywały się mocne mięśnie, a stalowy błysk oczu dowodził, że Radford, gdy trzeba, potrafi być człowiekiem groźnym, wręcz niebezpiecznym. Na jego twarzy igrał zwykle cyniczny uśmiezek, znamionujący libertyna i birbanta.

Niestety dziś baron czuł się mniej pewnie niż zazwyczaj. Wiedział, że jego owdowiała ciotka Honoria, nosząca po mężu tytuł lady Edgeware, nie wybaczy mu tego, że ociągał się ze złożeniem jej wizyty. Honoria budziła powszechny strach mniej więcej od początku rządów Jerzego II, więc dlaczego *on* miałby się jej nie bać? Co więcej, przypuszczał, że zna

przyczynę tego nagłego wezwania, co tym bardziej pogłębiało jego frustrację.

Wkrótce zauważył ciotkę, która sunęła w jego stronę niczym gradowa chmura.

- Ha, Jason! - wykrzyknęła bez zbędnych wstępów. - Może wyjaśnisz mi, mój drogi, dlaczego musiałam na ciebie czekać aż trzy dni?

Baron przestąpił z nogi na nogę.

- Ee, ciociu - zaczął niezbyt pewnie - obawiam się, że byłem niedysponowany przez ostatni tydzień. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czemu zawdzięczam to wezwanie?

Lady Edgware wymierzyła w niego swój palec, jakby to był pistolet albo fuzja. Słynęła z tego, że zwykle nie owijała spraw w bawełnę. Także i tym razem przeszła od razu do rzeczy:

- W zeszłym tygodniu miałeś urodziny - powiedziała tak, jakby popełnił w ten sposób jakieś poważne przestępstwo.

- Istotnie, skoro mamy kwiecień, to gdzieś na początku wypadają moje urodziny - przyznał.

Ciotka Honoria potrząsnęła głową.

- Mam dosyć twoich impertynencji! - huknęła. - Wyliczyłam, że są to twoje trzydzieste piąte urodziny, mój drogi! Najwyższy czas, żebyś się ustatkował i pomyślał o synu, który będzie po tobie dziedziczył tytuł!

Lord Radford skrzywił *się* nieznacznie. Kto by przypuszczał, że ciotka będzie się tak przejmować dziedzictwem Kincaidów? Od czasu, kiedy weszła w rodzinę Edgware'ow, sympatyzowała raczej z nimi, chociaż uwielbiała napuszczać na siebie obie rodziny. W ten sposób mogła trzymać wszystkich w sza-

chu, skutecznie stosując zasadę „dziel i rządź”. Jedy-  
nie Jason starał się nie poddawać *jej* despotycznemu  
charakterowi, co nie znaczyło, że nie odczuwał przed  
ciotką lekkiej obawy.

- Wydaje mi się, że wśród Kincaidów nie brakuje  
dziedziców tytułu - rzucił ostrożnie. - Na przykład  
kuzyn Oliver ma aż dwóch synów i niewiele wskazu-  
je, żeby na tym poprzestał.

Myślał, że ją rozweseli *tym* żartem, ale lady Edge-  
ware stuknęła ze złością łaską w podłogę.

- Nie opowiadaj bzdur! Jego rodzina śmierdzi ku-  
piectwem.

Istotnie, Oliver poślubił wnuczkę armatora, który  
dorobił się majątku na handlu z koloniami. Był przy  
tym szczęśliwy jak nikt inny w rodzinie, ale to oczy-  
wiście zupełnie nie obchodziło ciotki.

- Posłuchaj, mój drogi - podjęła już nieco łagodniej -  
wiem, że nie byłeś najstarszy w rodzinie, ale od śmierci  
brata, czyli od pięciu lat nosisz tytuł barona. To zob-  
owiązuje. Możesz mieć tyle kochanek, ile chcesz, ale po-  
winieneś się też ożenić i dać światu dziedzica!

Jason miał wątpliwości, czy świat tego właśnie naj-  
bardziej potrzebuje, ale częściowo zgadzał się z lady  
Edgware.

- Muszę przyznać, że chodziło mi to już wcześniej  
po głowie.

Ciotka spojrzała mu prosto w oczy.

- Naprawdę? Kim jest ta kobieta? - spytała bez  
ogródek.

- Nie miałem na myśli żadnej konkretnej osoby  
- odparł obojętnym tonem. - Po prostu myślałem,  
że rzeczywiście należałoby się ożenić. W końcu, nie  
powinno być trudno o kandydatkę. Nasz tytuł na-

leży do najstarszych w kraju, a dobra są w kwitnącym stanie.

- Nie przeczę, że między innymi dzięki twojej pracy. - Baron pomyślał, że jest to zapewne jedna z niewielu rzeczy, którym lady Edgeware nie chciała zaprzeczyć. - Chociaż, doprawdy, nie rozumiem, dlaczego wydałeś tyle pieniędzy na szkoły i domy dla wieśniaków?!

- Czy uwierzy ciocia, że zrobiłem to ze zwykłego chrześcijańskiego miłosierdzia? - spytał.

- Nie - padła krótka odpowiedź.

- I słusznie! Po prostu moi robotnicy pracują dwa razy wydajniej, od kiedy zamieszkali w ciepłych i suchych chatach. A edukacja... - Baron zamyślił się na chwilę. - Edukacja to przyszłość, jeśli zechcemy się rozwijać. Mój ojciec nigdy nie troszczył się o Wildehaven, a brat nawet nie znał nazwiska swojego zarządcy. Ziemi trzeba poświęcić trochę czasu i uwagi, a przyniesie stokrotne zyski.

W oczach lady Edgeware pojawił się cyniczny błysk.

- Słyszałam, mój drogi, że chcesz odkupić część ziem od sąsiadów.

- Ma ciocia doskonałych informatorów - rzekł baron z pewną dozą podziwu. - Jak wiadomo, mój zmarły sąsiad, hrabia Wargrave nie cieszył się nawet w rodzinie szczególną popularnością. Dlatego teraz są problemy z ustaleniem spadkobiercy. Jeśli prawnicy nie znajdą nikogo w prostej Unii, wszystko odziedziczy ten nicpoń Reggie Davenport. A wtedy zapewne chętnie sprzeda część majątku, żeby sfinansować któryś ze swoich szalonych pomysłów.

Ciotka Honoria tylko pokiwała głową.

- Ten stary dusigrosz Wargrave nie troszczył się

o nikogo poza sobą - mruknęła. - Nic dziwnego, że nie można teraz znaleźć jego potomka.

- Ależ, ciociu! Cóż to za język?! - Baron udawał zgorznienie. - Jeśli dobrze pamiętam, hrabia miał synów, ale młodszy musiał uciekać z kraju. Po śmierci starszego to wielka strata dla rodziny.

- Nic o tym nie wiem. O takich rzeczach nie mówi się w towarzystwie - zastrzegła się lady Edgeware, a skoro już to zrobiła, przystąpiła do wyjaśnień: - Najmłodszy, Julius, uciekł z córką Randalla. Podobno chcieli ją wydać za jakiegoś bogatego starca... Podejrzewam, że oboje mieszkają gdzieś na kontynencie i klepią biedę, jeśli, oczywiście, jeszcze żyją. Widzisz, mój drogi, miłość często jest słabsza od biedy, wbrew temu, co można wyczytać w książkach. - Na jej czołe pojawiły się skądś nowe zmarszczki, a spojrzenie uciekło gdzieś w bok. - No, ale Julius byłby teraz szóstym hrabią Wargrave. Albo jego syn, jeśli istnieje i prawnicy zdołają go odnaleźć.

Radford potrząsnął głową i zatarł ze zdenerwowania dłoń.

- Oby nie, oby nie - powtórzył, gryząc w zamyśleniu wargę. - Wolę mieć do czynienia z utracjuszem, niż biedakiem, który nagle odziedziczy fortunę. Czy to wszystko, ciociu?

Baron miał nadzieję, że w trakcie rozmowy ciotka zapomniawszy, po co go tak naprawdę wezwała. Jednak starsza dama zmierzyła go zimnym spojrzeniem i uśmiechnęła się wyniośle.

- Oczywiście, że nie, mój drogi - rzekła ostrym tonem. - Nie możesz popełnić błędu Wargrave'a. Chcę znać nazwisko twojej narzeczonej, zanim rozpocznie się nowy sezon...

Radford skłonił się lekko. Znaczyło to, że ma czas do czerwca.

- Tak, ciociu.

Spojrzenie lady Edgware stało się teraz łagodniejsze.

- Cieszę się, że jesteś świadomy swoich obowiązków - powiedziała z uśmiechem. - Daj mi znać, jak już znajdziesz odpowiednią kandydatkę. Będę przecież musiała wydać na jej cześć przyjęcie i wprowadzić ją do rodziny.

- Zapewniam, że będzie ciocia drugą osobą, która dowie się kogo wybrałem - rzekł z galanterią.

- Tak? A kto będzie pierwszą?!

Baron rozłożył ręce w rozbrajającym geście.

- Oczywiście sama narzeczona. Nie może ciocia wymagać ode mnie zbyt wiele.

Wieczór spędzony w towarzystwie szanownego George'a Fitzwilliama, najserdeczniejszego przyjaciela barona, należałby z całą pewnością do przyjemnych, gdyby nie myśl o ożenku, która cały czas męczyła Radforda. W końcu nalał on sobie jeszcze odrobinę portu, spojrzał na nie pod światło i rzekł:

- Bardzo klarowne, prawda George? Cieszę się, że kupiłem tego aż sześć skrzynek. A przy okazji, chyba się niedługo ożenię.

George odstawił swój kieliszek i pochylił się trochę w stronę barona.

- Znakomite, ale chyba powinniśmy przestać pić - rzekł po namyśle. - To porto za bardzo uderza do głowy. Właśnie przed chwilą wydawało mi się, że wspomniałeś coś o ożenku.

Radford wypił jeszcze parę łyków słodko-cierpkiego trunku.

Siedzący przy świecach mężczyźni prezentowali się zupełnie inaczej. Baron ubrany był z elegancją ale też prostotą i wyróżniał się wzrostem oraz siłą. Zaś ubrany w koronki i atłasy drobny, jasnowłosy Fitzwilliam tylko wyglądał na niegroźnego bawidamka. Niedostatki postury nadrabiał sprytem i zręcznością. Przekonali się o tym ci wszyscy, którzy poznali ostrze jego szpady.

- Może dlatego, stary, że rzeczywiście to zrobiłem - mruknął niechętnie Radford. - Moja ciotka Honoria zwróciła mi uwagę na to, że najwyższy czas pomyśleć o potomku. Chyba jasne, że przez grzeczność nie chciałem się z nią spierać.

George skinął głową i powoli sięgnął po odstawiony kieliszek.

- To bardzo elegancko z twojej strony - stwierdził. - Kim jest szczęśliwa wybranka?

Baron wzruszył ramionami i dopił wino. Następnie wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- W tym sęk, że nie mam pojęcia - westchnął. - Między innymi dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Jesteś bardziej *au courant*, jeśli idzie o modę i pewnie wiesz, jakie narzeczony są w cenie w tym sezonie.

- Czyżbyś chciał wybrać przyszłą żonę niczym konia w Tatersall?

Baron przystanął wzburzony.

- Ależ nie! Jesteś dla mnie niesprawiedliwy. Gdybym miał wybrać konia, poświęciłbym temu zdecydowanie więcej uwagi!

Szanowny Fitzwilliam wyglądał na nieco poruszonego.

- Ale... miłość - wymamrotał. - Co z miłością, Jason?



Baron pokiwał głową, jakby się właśnie spodziewał podobnego pytania. Jego przyjaciel słyszał z tego, że zakochał się co najmniej parę razy w roku. I chociaż wciąż płonał uczuciem, to niestety zbyt często zmieniał wybranki, żeby się zdążyć ożenić.

- Jeśli chcesz wiedzieć, ciotka oświeciła mnie również w tej kwestii - podjął Radford. - Zresztą sam wiem, jak to jest. Powiedz prawdę, George, ile znasz szczęśliwych małżeństw?

Fitzwilliam uniósł do góry swą okoloną falbankami dłoń i po dłuższym namyśle zaczął wyliczać:

- No, Grovelandowie. Chociaż nie, zdaje się, że wiecehrabia znowu zaczął się oglądać za tancerkami... Ale, Wilbertonowie, ee, pomijając to, że wywołali straszny skandal, kłócąc się na balu. - Zamilkł na chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. - Moi rodzice! - zakrzyknął. - Moi rodzice są szczęśliwym małżeństwem!

Baron tylko pokręcił głową.

- Ale sam mówiłeś, że to nie było małżeństwo z miłości. Ich rodzice spisali intercyzę. I tak właśnie wyobrażam sobie szczęście, mój staj - rozmarzył się Radford. - Jako całkowitą jasność co do podziału majątku i obowiązków.

Fitzwilliam natychmiast potrząsnął głową.

- Możesz nie wierzyć w miłość, Jason, ale młode damy nie chcą teraz wychodzić za mąż, jeśli się nie zakochają - rzekł z mocą.

Na twarzy Radforda pojawił się cyniczny uśmiešek.

- Wiem o tym, ale mam nadzieję, że mój tytuł oraz dobra spowodują, że większość nie będzie miała z tym problemów - rzucił nonszalancko. - Zresztą,

nie jestem chyba aż tak brzydki, ani stary, żeby wzbudzać odrazę, co?

Przyjaciel wyciągnął kieliszek w jego stronę. Kiedy baron go napełnił, Fitzwilliam jednym haustem wypił zawartość.

- Czy nigdy nie było nikogo, z kim chciałbyś się naprawdę ożenić? - rzucił z ciekawością.

Rysy barona nagle się wygładziły, a w jego oczach pojawiło się dziwne światło.

- Może... Kiedyś...

- Kim była ta osoba? - podchwycił natychmiast przyjaciel.

Radford milczał przez chwilę. Potem nalał sobie rubinowego portu i usiadł w fotelu. Jego rysy zaostrzyły się nieco, ale w oczach gościło wciąż jeszcze rozmarzenie.

- Poznałem ją na polowaniu, po tym, jak przyjechałem z Cambridge - rozpoczął opowieść. - Była cudowną Amazonką z płomiennymi włosami i szelmowskim uśmiechem. Myślałem, że mnie kocha, ale kiedy się oświadczyłem, odrzuciła moje błagania.

- Nie chciała wyjść za ciebie?

Baron skinął głową.

- Nie - odparł. - Mimo, że miałem podstawy, by sądzić, iż odwzajemnia moje uczucia.

- Może już była z kimś zaręczona - przyjaciel podsunął mu najbardziej prawdopodobne rozwiązanie.

- Być może - zgodził się sztywno Radford.

Nie wypadało mu o tym mówić, ale połączyła ich wówczas głęboka namiętność. Jej pocałunki i pieśczoty nie miały sobie równych. Długo później szukał równie płomiennej kochanki i w końcu musiał się poddać.

- Mogła też mierzyć wyżej - dorzucił George.

Baron pokręcił głową.

- Nie, wywodziła się z niższej szlachty. W dodatku jej ojciec przegrał w karty niemal cały rodzinny majątek. Co prawda, miała być przedstawiona na dworze, ale nie sądzę, żeby udało jej się złowić księcia, czy choćby nawet markiza.

Fitzwilliam zadumał się na chwilę. Teraz rozumiał, skąd bierze się cynizm przyjaciela i było mu tym bardziej smutno.

- Czy sądzisz, że przyjęłaby twoje oświadczenia, gdybyś miał wówczas tytuł lorda?

Jason musiał raz jeszcze zaprzeczyć:

- Nie, chyba nawet nie wiedziała, że mój ojciec to lord Radford. To wszystko stało się tak szybko. Później słyszałem, że wyszła za mąż za jakiegoś wojskowego i wyjechała do Indii. - Baron zaśmiał się do swych myśli. - Jeśli opowieści o tamtejszym klimacie i jedzeniu są prawdziwe, to teraz jest pewnie gruba i pomarszczona.

- Ale to dowodzi przynajmniej tego, że nie wszystkie kobiety są łase na pieniądze i tytuły.

Radford uniósł palec do góry.

- Za to wszystkie są nieracjonalne i chimeryczne! - zagrzemiał. - Te, które lubią pieniądze, kierują się przynajmniej jasnymi pobudkami. Są przewidywalne.

W pokoju zapadła cisza. Fitzwilliam nie miał już nic więcej do powiedzenia, a baron ponownie zagłębił się we wspomnieniach. Jednak, kiedy z pokoju obok wleciała zabłąkana, kwietniowa ćma, a potem spłonęła ze skwierczeniem w ogniu świecy, Radford pokiwał głową, jakby tego właśnie się spodziewał i zwrócił się do przyjaciela:

- Znasz już moje kryteria i, co więcej, masz lepsze rozeznanie na rynku młodych dam. Bardzo proszę, znajdź coś dla mnie.

George aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Ch... chcesz, że... żebym wybrał ci żonę? - wyjąkał.

- Właśnie - padła odpowiedź. - Sam mógłbym dokonać złego wyboru. Przy czym, rzecz jasna, gotów jestem ci się odwdziaczyć, gdybyś miał zamiar kupić konia albo *stado* owiec.

- Owiec? - powtórzył bezwiednie George.

- Tak. Ich hodowla powinna stać się niedługo bardzo opłacalna.

Fitzwilliam zastanawiał się przez chwilę.

- Czy naprawdę uważasz, że jeśli kogoś wybiorę, to ta osoba zgodzi się na ślub? - spytał z niedowierzaniem.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak - baron zawiesił głos. - Jeśli nie ze mną, to przynajmniej z moim majątkiem i tytułem.

Fitzwilliam zmarszczył brwi i poprawił się w fotelu. W jego oczach pojawiły się diabelskie iskierki.

- Jeśli jesteś tego tak pewny, to może chcesz się założyć? Chociażby o twoją parę siwków - dodał mimochodem, chociaż widać było, że bardzo chętnie wszedłby w posiadanie tych wierzchowców.

- To zależy - rzucił lord Radford.

- Zależy? Od czego?

- Co proponujesz w zamian, mój drogi.

- No cóż, hm... Co by tu... - zastanawiał się głośno George. - A co byś powiedział na tygodniowy wyjazd na łowiska łososia w szkockiej posiadłości mojego wuja? Wiesz, że zaprasza tylko dwunastu gości rocznie, a ja gotów jestem odstąpić ci swoje miejsce.

Proponując to, czuł się trochę winny. Przecież nigdy nie przepadał za łowieniem ryb, a jednocześnie wiedział, że baron, który uwielbiał wszelkie sporty, miał już od dawna ochotę na wizytę w Craigmore.

- Oczywiście musimy wcześniej ustalić warunki zakładu. Na przykład, sam musisz określić kryteria dotyczące wyboru dam - dodał natychmiast, bojąc się, że Jason się wycofa. - Powiedzmy, że wypiszemy nazwiska odpowiednich kandydatek na kawałkach papieru, a następnie wyciągniesz jeden los, o, choćby z tej greckiej urny - z tymi słowami wskazał zabytkowy przedmiot. - Przegrasz, jeśli nie doprowadzisz jej w ciągu pół roku do ołtarza.

Tym razem baron nie czekał długo z odpowiedzią.

- Zgoda! - wykrzyknął rozbawiony i sięgnął po karafkę z porto. - Wypijmy, by przypieczętować nasz zakład.

Zrobili to stojąc, żeby nadać całemu wydarzeniu odpowiednią rangę. Następnie obaj usiedli wygodnie w fotelach.

- No więc, jeszcze raz, jakie są twoje kryteria? - Fitzwilliam chciał kuć żelazo póki gorące.

Lord Radford wyciągnął do góry dłoń, odginając jeden palec.

- Po pierwsze, musi być dobrze urodzona, bez choroby psychicznej w rodzinie czy innych dziedzicznych obciążeń - zaczął, udowadniając, że jest przygotowany do rozmowy.

George skinął głową.

- W ten sposób bardzo zawężasz grono kandydatek - westchnął. - Ale z pewnością masz rację. Co jeszcze?

Baron odgiął drugi palec.

- Po wtóre, nie powinna być wyraźnie brzydka. Przecież będę ją musiał czasami oglądać przy świetle *dziennym* - dodał z zabawnym grymasem. - Ale nie może też być przyzwyczajoną do hołdów pięknnością, na widok której wszyscy mdleją.

Fitzwilliam skinął głową.

- Niezbyt brzydka, ale też nie za ładna - powtórzył. - Może coś jeszcze? Pamiętaj, że wybierasz partnerkę na całe życie.

Baron tylko machnął ręką, jakby opędzał się przed natrętną muchą.

- Nie ma powodu, żeby robić z tego zaraz jakąś wielką sprawę - rzekł nonszalancko. - Wystarczy, że będzie zdrowa, miła i niebrzydka. Nie musi być nawet bogata. No, ile takich sztuk znajdziesz?

George Fitzwilliam nie był przyzwyczajony do liczenia panien na sztuki. Jednak starał się jak mógł wywiązać z zadania. I tak, po dłuższym czasie wypisał na pociętym papierze listowym nazwiska odpowiednich kandydatek.

- Popatrz, Jason, masz tutaj wszystko, czego ci trzeba - powiedział, *wyraźnie* z siebie zadowolony. - Nawet nie przypuszczałem, że to takie trudne.

Lord Radford pokiwał głową.

- Widzisz, a ja wiedziałem. Dlatego wolałem zdać się na ciebie - stwierdził, składając pieczołowicie kartki na pół.

Po chwili wrzucił je wszystkie do greckiej urny stojącej na specjalnym postumencie. George jeszcze specjalnie je wymieszał, a potem spojrzął znacząco na przyjaciela.

- Stoisz przed najważniejszym życiowym wyborem - rzekł z emfazą. - Nie boisz się trochę?

- Nic a nic. - Baron bez namysłu włożył rękę do urny i wyciągnął jedną z kartek. Następnie rozłożył ją bez zbędnych ceremonii i przeczytał: - Caroline Hanscombe. Nie znam tego nazwiska? Co możesz mi o niej powiedzieć?

Szanowny Fitzwilliam zmarkotniał trochę, ponieważ para siwków zaczęła się od niego oddalać z głośnym tętentem.

- Och, nie powinieneś mieć z nią problemów - mruknął. - To cicha, spokojna dziewczyna. Nie jest nieładna, ale trochę nijaka. Nie zwraca uwagi na mężczyzn, chociaż powinna wyjść za mąż już ze dwa lata temu. Jej ojciec to trochę nieudacznik, ale za to dobrze urodzony. Tak, jak chciałeś. - George rozjaśnił się trochę. - Za to jej siostra, Gina, to prawdziwe żywe srebro. Niestety, jest już prawie zaręczona. No i jak? Co o tym sądzisz?

- Caroline Kincaid, lady Radford. To nie brzmi najgorzej, prawda? Pewnie przyjdzie jutro do Almacków, tak jak wszystkie panny, które polują na mężów. O Boże, dawno tam nie byłem. Niestety, muszę się poświęcić dla mojej przyszłej żony.

Fitzwilliam pomyślał, że będzie mu też ciężko zrezygnować z własnoręcznie złowionych łososi. Co prawda, nie lubił ich łapać, ale przyrządzone przez jego kucharza, smakowały wybornie.

- Wypijmy zatem jej zdrowie! - powiedział, wznosząc kielich, który załśnił niczym rubin w blasku świec.

- Zdrowie! - powtórzył lord Radford.

- Powiedz, ciciu, dlaczego miałabym dzisiaj iść do Almacków? - spytała ze smutkiem Caroline. - Przecież wcale nie mam na to ochoty.

Jessica Sterling uniosła głowę znad robótki i spojrzała na swoją ulubioną siostrzenicę. Jej rude włosy okalały jasną, mądrą twarz.

- Choćby dlatego, że prosiła cię o *to* macocha - uważała.

Caroline stłumiła westchnienie i spojrzała w stronę okna.

- Zrobiła to tylko dlatego, żeby wydać mnie za mąż - rzekła Caroline. - Gdyby wiedziała, że nie ma na to szans, dałaby mi spokój. Mogłabym wtedy spędzić całe popołudnie przy klawesynie - rozmarzyła się.

*Caroline* Hanscombe nie była brzydka. Wręcz przeciwnie, jej miła twarz nosiła ślady uduchowienia, ale wiedziała o tym tylko najbliższa rodzina. Ponieważ na codzień chodziła ze spuszczoną głową i garbiła się, co czyniło jej i tak niezbyt znaczną sylwetkę, jeszcze mniej widoczną. Aż trudno było uwierzyć, że wśród najbliższych Caroline uchodziła za osobę inteligentną, obdarzoną ostrym językiem. Jej krótkie, celne uwagi, wypowiedziane poważnym *tonem*, wywoływały huragany śmiechu w czasie rodzinnych posiłków.

Niestety, przy większych okazjach zakochana w muzyce Caroline milczała.

- Och, Caroline! Jaka szkoda, że nie lubisz przyjąć. Zapewniam cię, że mogą być całkiem przyjemne.

Dziewczyna spojrzała na ciotkę, a w jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

- Założę się, że po każdym balu musieliby sprzątać trupy twoich wielbicieli, ciociu. Przecież jesteś taka piękna! Każdy oddałby życie, żeby spojrzeć w głąb twoich zielonych oczu.

Jessica chrząknęła i poprawiła ramiączko od sukni.

- Muszę przyznać, że nie mogłam narzekać na brak



powodzenia - stwierdziła. - To pewnie przez te rude włosy. Po prostu bardzo przyciągały uwagę. Nie znałam nigdy kobiety o bardziej płomiennych włosach.

- Powiedz, powiedz, pisali dla ciebie poezje? - zaciekawiła się Caroline.

- Pamiętam, sześć lat temu, po jednym balu, dostałam kilkanaście sonetów i trzy ody. - Jessica zaśmiała się złośliwie. - Nawiasem mówiąc, wszystkie marne, z kiepskimi rymami...

Siostrzenica rozłożyła ręce.

- Cóż, nie można oczekiwać zbyt wiele od zakochanych mężczyzn - powiedziała, a następnie zamysliła się głęboko. - Tyle, że jakoś żaden nie chce się zakochać we mnie - dodała bez żalu. - W zasadzie nie mam nic przeciwko temu, gdyby nie te nieszczęsne przyjęcia...

Ciotka pokiwała głową.

- Rozumiem, chociaż wolałabym, żebyś je przynajmniej trochę polubiła.

Caroline potrząsnęła zdecydowanie głową.

- Polubić? Nigdy! Te bale to dla mnie prawdziwa tortura! Jestem cała sparaliżowana, kiedy mam poznać kogoś nowego! I jeszcze ta ciągła świadomość, że tak naprawdę, to wystawiam siebie na sprzedaż!

Jessica Sterling "wzruszyła ramionami.

- Małżeństwo jest tym, czym chcemy by się stało - rzekła sentencjonalnie. - Dla młodej kobiety może stać się klatką albo szansą na zmianę całego życia.

Caroline zaczęła chodzić po pokoju. Miała lekki taneczny krok i poruszała się jak primabalerina. Aż trudno było uwierzyć, że z jej wrodzonym wycuciem rytmu nie uchodziła za najlepszą tancerkę w Londynie.

- Wolałabym już przeprowadzić się do ciebie, ciociu! - W jej głosie zabrzmiały błagalne nuty. - Tylko tutaj czuję się naprawdę dobrze. No i jeszcze u pana Ferrante, który uczy mnie muzyki.

Piękna pani Sterling pokręciła głową.

- Nie, kochanie. To by znaczyło, że za życia dałaś się pogrzebać. Owdowiała ciotka z małą córką to nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie - przekonywała ją. - Skorzystaj z życia, zanim wrócisz do Wiltshire.

Caroline słuchała cierpliwie tych wywodów, chociaż nie po raz pierwszy roztrząsały ten temat. Dom jej ciotki w niczym nie przypominał grobowca, chociaż nie należał też do przesadnie wesołych. Najważniejsze, że panowała tu miła atmosfera. Co więcej, uroda ciotki wciąż przyciągała tu mężczyzn, więc trudno było wysuwać argument, że brakowałoby jej towarzystwa.

- Ależ ciociu! Byłoby mi jak w niebie!

Jessica powróciła do wyszywania i tylko mocniej ścisnęła tamborek.

- Pamiętaj kochanie, że wszystko się zmienia - zaczęła spokojnym głosem. - Ludzie nigdy nie są w stanie zadowolić się tym, co mają. Zawsze szukają czegoś nowego. Jesteś za młoda, żeby z tego zrezygnować. Zresztą, wiesz, jak jest... Linda w końcu urośnie i będzie chciała wyjść za męża. Kto wie, może nawet sama zdecyduje się na małżeństwo...

W oczach Caroline znowu pojawiły się wesołe iskierki i dziewczyna przykucnęła u stóp ciotki.

- Chciałabyś wyjść za męża? Miałam wtedy osiem lat, ale pamiętam tych wszystkich kawalerów, którzy starali się o twoją rękę.

- A ja siedemnaście - wtrąciła zaraz Jessica. - I wcale nie pragnęłam małżeństwa. Teraz też myślę o tym

tylko teoretycznie. Nie jestem bogata, ale mam wystarczające dochody. To musiałyby być ktoś szczególny, żebym mogła zakochać się po raz trzeci.

- Trzeci? - powtórzyła siostrzenica. - To był ktoś oprócz Johna?

Ciotka zastanawiała się przez chwilę i ponownie odłożyła tamborek. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz rozmarzenia. Dziwny, ponieważ uchodziła za osobę nad wyraz trzeźwą i praktyczną.

- Och, to zdarzyło się tak dawno, że mam wrażenie, jakby to była bajka. Oczywiście zepsułam wszystko ze strachu... Ale i tak nic by z tego nie wyszło. Byliśmy wtedy zbyt młodzi.

Caroline jeszcze przez moment obserwowała ciotkę, ale Jessica zasnuwała usta i nie chciała nic więcej powiedzieć. Dziewczyna podniosła się więc z kucek i spojrzała niechętnie w stronę drzwi.

- Dobrze, powróćmy więc do tego nieszczęsnego przyjęcia - powiedziała. - Skoro mam na nie iść, muszę się teraz przebrać.

Ciotka wstała, zdecydowanym ruchem odłożywszy robótkę. Jej zamglone spojrzenie szybko odzyskało swą przenikliwość i drapieżność.

- O, nie! Sama zajmę się twoim strojem! Zauważyłam, że robisz wszystko, żeby odstraszyć potencjalnych zalotników. - Jessica zaczerpnęła powietrza i dodała już nieco spokojniej: - Co prawda, muszę przyznać, że duża w tym zasługa twojej macochy. Stroi cię tak, jakbyś była papugą. Sama powinnaś wiedzieć, że twój typ urody wymaga czegoś delikatniejszego, subtelniejszego...

Caroline rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Mój typ urody? A co to takiego?

Kancelaria prawnicza Chelmsford and Marlin przypominała inne tego rodzaju obiekty w londyńskim City. Ponury, niezgłębiony budynek strzegł dobrze swoich sekretów. *Miody* człowiek, który właśnie przed nim stanął, musiał się chwilę zastanowić, zanim zagłębił się, utykając, w jego czeluściach. I to nie dlatego, że brakowało mu odwagi.

Wręcz przeciwnie, Richard Dalton walczył dzielnie z Napoleonem. Ranny dziesięć miesięcy temu pod Waterloo, wrócił do kraju tylko po to, żeby dowiedzieć się, że nikt go już nie potrzebuje. Teraz, krzywiąc się z bólu, zmierzał do biura pana Chelmsforda, zastanawiając się po raz kolejny, czy to wszystko ma sens.

Udało mu się przeżyć tylko dzięki żelaznej woli i pełnej dyscyplinie, którą stosował nie tylko wobec swoich żołnierzy, lecz również i siebie. Silnemu charakterowi zawdzięczał to, że znowu nauczył się chodzić. Nie myślał jednak o powrocie do wojska, chociaż *jego* ludzie na pewno przyjęliby go serdecznie. Z całą pewnością nie nadawał się już na kapitana.

Z dnia na dzień stał się nikiem i musiał na nowo szukać swego miejsca w życiu.

I nagle, kiedy któregoś popołudnia przeglądał gazetę, natrafił na następujące ogłoszenie: „PROSIMY KAŻDEGO, KTO ZNAJULIUSA DAVENPORTA ALBO JEGO SPADKOBIERCÓW O SKONTAKTOWANIE SIĘ Z KANCELARIĄ PRAWNICZĄ PANÓW CHELMSFORDA I MARLINA. CELE SPADKOWE”. Dalej następował adres i godziny otwarcia kancelarii.

To ogłoszenie pojawiało się w „Gazette” przez wiele *tygodni*, ale Richard *nic o tym* nie wiedział. Kiedy w końcu opuścił lazaret i natknął się na nie przy ja-

kiejś okazji, nie wzbudziło jego zainteresowania. "Wreszcie jednak zwyciężyła w nim ciekawość. Najlepszy znak, że wracał powoli do świata żywych.

- Kapitan Richard Dalton do pana - zaanonsował go służący.

Przez półotwarte drzwi widział starego, gładko ogolonego prawnika, który wstał na jego widok.

Josiah Chelmsford przyglądał się przez moment młodemu człowiekowi, który pojawił się w jego biurze. Od razu zauważył, że jest on wycieńczony i że jego brązowe oczy zięją pustką. Modne długie włosy, które spadały na ramiona młodzieńca, wcale nie sugerowały, że dba on o wygląd. Wręcz przeciwnie, świadczyły o tym, że zupełnie o nim nie myślał. Jego cera wskazywała na to, że przez szereg lat wystawiony był na palące słońce, znacznie silniejsze niż to ze starego kontynentu.

- Niech pan spocznie - powiedział Chelmsford, widząc, że jego klient się chwieje. - Jak wnioskuję, jest pan synem Juliusa Davenporta.

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na ustach nowo przybyłego. Zresztą zmarszczki widoczne koło jego oczu świadczyły o tym, że kiedyś bardzo lubił się śmiać.

- Moja mama mówiła, że jestem bardzo podobny do ojca - stwierdził Richard, siadając ciężko na starym, tapicerskim krześle. - Czy znał go pan może?

- Tak, zawsze go podziwiałem. - Prawnik pochylił się jeszcze bardziej w jego stronę. - Ma pan po matce tylko te orzechowe oczy i usta, reszta jakby żywcem ściągnięta z Juliusa. Co się teraz z nim dzieje?

- Nie żyje od trzech lat - odparł Richard beznamyślnym tonem człowieka nawykłego do śmierci.

Stary Chelmsford pokiwał głową i usiadł na swoim miejscu.

- Właśnie tego się obawiałem - rzekł smutno. - Przez szereg lat miałem od niego wiadomości, ale to wszystko urwało się właśnie trzy lata temu. Czy mogę wiedzieć, co się stało?

Richard skinął głową. Prawnikowi wydawało się, że znowu się uśmiechnął, lecz musiało to być tylko złudzenie.

- Utonęli z mamą u wybrzeży Korfu - odrzekł zagadnięty. - Oboje uwielbiali pływanie łodzią, ale tym razem nie zdążyli uciec przed sztormem. Nie mogli mieć chyba piękniejszej śmierci.

Ta wiadomość dotarła do niego, kiedy stacjonował w Hiszpanii. Później nigdy nie miał okazji o tym porozmawiać. Zresztą nie miał z kim. Żołnierze opłakiwali poległych kolegów. Śmierć w wypadku wydawała im się mało realna. Zresztą Richard też miał do niej ambiwalentny stosunek. Chociaż bardzo bolał z powodu utraty rodziców, lubił sobie wyobrażać, że zginęli objęci, stawiając czoła sztormowym wiatrom.

- Śmierć pozostaje śmiercią - westchnął prawnik, a potem zupełnie niepostrzeżenie zaczął mu mówić na „ty”. Tak, jakby Richard stał się dla niego kimś bliskim. - Powiedz mi, chłopcze, co wiesz o pochodzeniu swojej rodziny?

Richard zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Czyżby *chodziło* o jakiś spadek? - spytał zaciekawiony. - Rodzice nigdy nie byli najbogatsi. Chyba, że znaleźli jakiś piracki skarb na jednej z wysepek, które tak lubili odwiedzać.

Na ustach Chelmsforda pojawił się kordialny uśmiech.

- Nie, obawiam się, że nie mam dla ciebie skarbu. Ale może też będziesz zadowolony. Najpierw jednak powiedz, co wiesz o rodzinie.

Kapitan Dalton spojrział na swoją dłoń, jakby mogły mu pomóc widoczne na niej splątane linie.

- Wiem, że rodzice musieli uciekać z Anglii z jakiegoś powodu. Potem zmienili nazwisko na Dalton, chociaż nie ukrywali przede mną, że ojciec nazywał się Davenport - zaczął. - Jako dziecko w ogóle o tym nie myślałem, a rodzice nigdy nie mówili o przyczynach swojej ucieczki. Później domyśliłem się, że ojciec musiał zabić kogoś w pojedynku. Nikt nie mógł się z nim równać, jeśli idzie o szpady albo pistolety. Wszyscy mu zawsze schodzili z drogi. Inna sprawa, że nigdy sam nie atakował. Był szczęśliwy i starał się żyć pełnią życia, nie troszcząc się o przeszłość i przyszłość.

Stary prawnik zdjął okulary i przetarł je, ponieważ niespodziewanie zaszczyły mgłą.

- Masz rację, chłopcze. Był pojedynek. - Machnął ręką, jakby chodziło o rzecz zupełnie bez znaczenia. - Ten drań Barford nie zasługiwał na to, żeby żyć. Wykorzystał niecnie sytuację i zareczył się z twoją matką, chociaż kochała się od dzieciństwa w twoim ojcu. Przeciwno temu związkowi występowały jednak obie rodziny, ponieważ żadne z zakochanych nie miało majątku. W końcu doszło do tragedii i twój ojciec musiał uciekać ze świeżo poślubioną żoną. Czy wiesz może, jak nazywał się twój dziad ze strony ojca?

Richard wzruszył ramionami.

- Sądzę, że Davenport - bąknął.

- Tak, ale częściej mówiło się o nim piąty hrabia Wargrave. - Chelmsford wycelował swój kościsty palec w pierś gościa. - A ponieważ niedawno zmarł, teraz ty jesteś szóstym hrabią i dziedziczysz po nim tytuł i cały majątek.

W zakurzonym, pełnym ksiąg pokoju zapadła ci-

sza. Po minucie lub dwóch rozległo się bicie zegara. Już dwunasta, pomyślał Richard. Wstał z krzesła i zbliżył się do biurka. Jego oczy zwięziły się w dwie szparki, a głos aż kipiał od gniewu.

- Nie chcę ani tytułu, ani majątku - warknął. - To przez nie rodzice musieli uciekać. Majątek to tylko obciążenie.

Richard spojrział w bok, w stronę okna. Na zewnątrz świeciło słońce. Londyńczycy przechadzali się po ulicach. Toczyło się normalne życie. Trochę mu ulżyło, kiedy o tym pomyślał. W końcu rodzice mieli to, czego naprawdę pragnęli. Pamiętał, że od dzieciństwa był otoczony miłością i troską. Ojciec dużo się śmiał. Matka zawsze miała dla niego jakieś miłe słowo. Właśnie tego pragnął najbardziej - normalnego życia.

Josiah Chelmsford pokiwał głową, jakby w pełni się z nim zgadzał.

- Majątek w istocie stanowi poważne obciążenie - zaczął, patrząc na niego przenikliwie. - Ale jest też obowiązkiem, który powinieneś przyjąć. Twój dziad był sknerą i despota. Zostawił włości w fatalnym stanie. Czy wiesz, za ilu ludzi teraz odpowiadasz? Wiesz, ilu biedaków na ciebie liczy?

Kapitan wyprostował się dumnie i potrząsnął głową.

- Nie jestem nic winny mojemu krajowi - stwierdził z mocą. - Walczyłem za Anglię w warunkach urągających ludzkiej godności. O mało nie oddałem za nią życia. A teraz chcę po prostu mieć spokój!

Ból w nodze stał się nagle nieznośny. Richard skrzywił się i musiał spocząć. W ustach zmełł tylko przekleństwo.

Stary prawnik przypomniał sobie nagle Juliusa Davenporta, który w tym samym biurze deklarował, że



ukochana kobieta jest ważniejsza od tytułu i majątku. Czas dowiódł, że miał rację. Być może jego syn też wie, co chce robić i nie należało go do niczego zmuszać?

- Nie będę cię do tego przekonywał - rzekł po namyśle Chelmsford. - Za bardzo lubiłem twojego ojca, żeby stawać ci na drodze. Wydaje mi się jednak, że Julius chciał, żebyś przejął ten majątek.

- Skąd *to* przypuszczenie?

Stary prawnik sięgnął po teczkę, która od wielu miesięcy leżała na jego biurku.

- Ponieważ przysłał mi kopię swojego aktu małżeńskiego, jak również twoje świadectwo urodzenia - odparł, podsuwając mu dokumenty. - Chodziło mu o to, żebyś nie miał problemów z otrzymaniem spadku. Moim zdaniem, powinienes go wziąć, chyba, że masz jakieś inne zobowiązania.

Na ustach Richarda pojawił się gorzki uśmiech.

- Nie, jestem zupełnie wolny.

Gniew powoli zaczął mu mijać. Pozostały tylko zmęczenie i ciekawość. Po śmierci rodziców stracił dom. Pozostali mu przyjaciele z wojska. Jednak większość z nich po skończeniu wojny poszła swoją drogą. Być może samo życie podsuwało mu to, czym mógłby się zająć w przyszłości...

- Więc...? - podchwycił Chelmsford, widząc wahanie w jego oczach.

Kapitan Dalton potarł w roztargnieniu czoło i spytał:

- Dobrze, co wobec tego miałbym odziedziczyć?

Zadowolony, że osiągnął w końcu to, o co mu chodziło, stary prawnik zaczął swoje wyjaśnienia. Przed nim siedział szósty hrabia Wargrave. Słuchał uważnie i tylko co jakiś czas przerywał, żeby zadać kolejne, trafne pytanie.

## 2

Caroline *Hanscombe* raz jeszcze przejrzała się w lustrze. No, nareszcie udało jej się osiągnąć pożądany efekt! Wyglądała jak Kopciuszek, który zrezygnował już z czekania na dobrą wróżkę. Szczęśliwie zdołała wyśliznąć się ciotce i sama zajęła się swoją toaletą. Biała suknia sprawiła, że wydawała się blada. Jej krój starannie zamaskował kształty dziewczyny, a trefiona fryzura zasłaniała połowę jej twarzy. Caroline pociągnęła jeden ze swoich loków w kolorze ciemnobłond i roześmiała się serdecznie.

- Z czego się śmiesz, Caro? Czy jesteś gotowa? Jak myślisz, czy pan Fallsworthy będzie na przyjęciu? Ciekawe, czy spodoba się mu moja nowa suknia?

Hoża dziewczyna, która niczym wichurka wpadła do pokoju, nie miała bynajmniej zamiaru niczego ukrywać. *Caroline* zmierzyła krytycznym okiem swą przyrodną siostrę. Wręcz przeciwnie, być może zbyt dużo chciała odsłonić... A już zwłaszcza, gdy chodziło o dorodny biust, którym mogła się poszczycić Gina.

- Będzie. Na pewno się spodoba - Caroline odpowiedziała na dwa najważniejsze pytania.

Siostra zaklaskała w ręce aż zafalował cały jej wyszywany paciorkami stanik. Następnie zakreśliła się wokół własnej osi szybko niczym w tańcu.

- Aż trudno mi uwierzyć, że znowu będziemy u Almacków! Na najelegantszym przyjęciu w Londynie!

- Ginę podbiegła i pocałowała ją w policzek. - To dzięki koneksjom twojej matki. Inaczej nikt by nas nie zaprosił.

Istotnie, pierwsza lady Hanscombe była znacznie bardziej utytułowana niż druga. Jednak matka Giny, Luisa Hicks, wniosła do rodziny tak bardzo jej potrzebny kapitał. A poza tym starała się być dobrą matką, acz nie ulegało wątpliwości, że woli własne dzieci niż pasierbicę. Pomimo to Caroline i Ginę były dobrymi przyjaciółkami, chociaż trudno by szukać osób, które bardziej różniłyby się nie tylko wyglądem, ale też charakterem.

- Właśnie, czasami tego żałuję - rzuciła Caroline.

„Czasami” znaczyło głównie przed różnego rodzaju przyjęciami i balami. Zwłaszcza tymi, urządzanymi specjalnie dla młodych panien na wydaniu.

- Ach, Caro! Gdybyś choć trochę umiała się bawić!

Umiem, odparła w myśli Caroline. Tylko inaczej.

Już dawno pogodziła się z tym, że nie znajdzie zrozumienia u drugiej lady Hanscombe. A ojciec, który szybko, według niektórych zbyt szybko, pocieszył się po śmierci jej matki, nie miał czasu, żeby się nią zająć. Stosunki Caroline z macochą opierały się więc na wypełnianiu podstawowych obowiązków. Do tych, zdaniem lady Hanscombe, należało wydanie pasierbicy za męża.

Wysoka, mocno zbudowana kobieta wkroczyła właśnie do gotowalni, w której znajdowały się dziewczęta.

- No, moje panny, powóz czeka - zakrzyknęła swoim grubym, mało kobiecym głosem. - Już czas ruszać.

Ginę raz jeszcze klasnęła w ręce i wykonała taneczny *pas*. Caroline powlokła się za nią jak na ścięcie.

Paradoksalnie to właśnie dzięki przyrodniej sio-

strze stosunki Caroline z macochą nie wyglądały jeszcze tak źle. Gina zawsze potrafiła rozładować napięcie albo sprzeciwić się matce. Była naprawdę doskonałym mediatorem i Caroline aż drżała na myśl, co by się stało, gdyby siostry zabrakło. Jak długo znosiłaby nieustanny krytycyzm matki? Czy potrafiłaby jej wybaczyć brak zrozumienia?

Teraz jednak nie miała czasu na myślenie o tym. Powóz już czekał. Po chwili cała trójka pomknęła w stronę King's Cross.

Dom, który wynajmowali w Londynie znajdował się przy Adam Street. Miejsce nie należało do najmodniejszych, ale cieszyło się dobrą reputacją. Poza tym rodzina miała stąd niedaleko do wszystkich najważniejszych miejsc w Londynie.

Panie przybyły do Almacków dokładnie o tej godzinie, o której powinny. Na tyle późno, by nie wykazać się nadgorliwością i na tyle wcześnie, by nie narazić się na zarzut, że są zblazowane. Przestronne wnętrza zaprojektowano chyba specjalnie po to, żeby robić wrażenie na gościach. A ponieważ przyjęcia u Almacków i tak uchodziły za najelegantsze w stolicy, gospodarze czuli się zwolnieni z serwowania gościom wyrafinowanych dań czy napojów. Można było co najwyżej liczyć na jakieś stęchłe ciastko, które pamiętało zapewne poprzedni sezon.

Niestety, nawet muzycy grali źle, co, jak zwykle, denerwowało Caroline. Już nawet nie liczyła pomyłek skrzypków czy też potknięć pianisty.

Przyjęcie rozpoczęło się tak, jak zwykle. Córki wraz z matkami zasiadły na krzesłach ustawionych pod ścianą, a panowie przechadzali się, chcąc obejrzyć wystawiony na sprzedaż towar. Pierwsze pary zaczę-

ły tańczyć. Nikt nic nie jadł, nie chcąc ryzykować niedyspozycji *żołądkowej już na* początku imprezy.

Jak było do przewidzenia, Gideon Fallsworthy natychmiast zjawił się przy paniach Hanscombe. Poprowadził Ginę do pierwszego tańca i od razu zarezerwował sobie walc, który jako nowość, cieszył się wielką popularnością wśród młodzieży. Osoby starsze uważały ten taniec z Austrii za zbyt śmiały, a niektóre nawet za nieprzyzwoity, *ale młodzi* kochankowie lubili korzystać z okazji, by znaleźć się jak najbliżej siebie.

- Świetnie pani dziś wygląda, panno Gino - rzucił Gideon, odprowadziwszy tancerkę do rodziny. - Z niecierpliwością będę czekał na następny taniec z panią. I z pani siostrą również - dodał, widząc skrzywioną Caroline.

*Gideon* Fallsworthy miał *miłą powierzchowność*, chociaż widać było, że lubi sobie dobrze podjeść. Być może nie grzeszył nadmierną inteligencją, ale rekompensowało to dobre serce i ujmujący uśmiech. Od razu zjednał sobie względy Giny, ponieważ wydawało się, że uważa ją za najpiękniejszą i najbardziej błyskotliwą kobietę w Londynie. Jej matce natomiast wystarczyło to, że oprócz dobrego urodzenia dysponował jeszcze całkiem sporym majątkiem w Lincolnshire. Dlatego z przyjemnością myślała, że już niedługo młody Gideon poprosi sir Alfreda o rękę córki.

Caroline odburknęła coś pod nosem i Gideon wołał jednak jeszcze raz zatańczyć z Giną. Caroline patrzyła na nich bez zazdrości. *Co* więcej, trochę *jej się* poprawił humor, ponieważ orkiestra grała teraz nieco lepiej i mogła słuchać muzyki bez przykrości. Przy jej talencie do wtapiania się w tło spędzi cały wieczór

na swoim krzeselku i nie będzie musiała nikogo zabawiać rozmową.

Jak zwykle przy takich okazjach zabijała czas, starając się poprawić muzykę. Zastanawiała się zarówno nad aranżacją, jak i linią melodyczną, bowiem jedno i drugie należało zmienić. Przy okazji myślała również o pewnym młodzieńcu, który ze względu na duże siekacze przypominał królika. Nareszcie udało jej się odeprzeć jego zaloty, chociaż przez dwa kolejne wieczory musiała mu opowiadać o tym, jakim to gwałtownikiem jest jej ojciec i jak bardzo pragnie, by córka nie wychodziła za mąż, aby stanąć w przyszłości pod opieką jego starości.

Tak, nareszcie była wolna.

Przyjęcie rozkręciło się już na dobre. Nagle Caroline zauważyła, że ktoś zmierza w jej kierunku. Na szczęście był to jedynie niegroźny George Fitzwilliam, z którym tańczyła nawet dwa lub trzy razy. Gospodarze czasami prosili go o pomoc, kiedy trzeba było ruszyć panny, które zbyt długo podpierały ściany.

Serce Caroline zabiło jednak mocniej, kiedy zobaczyła jego towarzysza. Był to wysoki, ciemny mężczyzna o niezwykle władczym i pełnym arogancji spojrzeniu. Caroline zadrżała. Przez moment poczuła się jak mała myszka, na którą polował wielki jastrząb, chociaż była pewna, że obaj panowie zmierzają gdzie indziej.

Tylko dlaczego zatrzymali się właśnie przed nią i przed jej macochą? I dlaczego George Fitzwilliam złożył obu paniom pełen galanterii ukłon?

- Lady Hanscombe, panno Hanscombe, mój przyjaciel, lord Radford błagał mnie, żebym go paniom przedstawił - rzekł.

Ciemny mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto mógłby prosić. Co najwyżej żądać albo kazać. Struchlała Caroline spojrzała mu w oczy i serce na chwilę zamarło jej w piersi.

- Bardzo nam miło, bardzo nam miło - ucieszyła się lady Hanscombe. - Moja druga córka zaraz tu będzie. Z pewnością chętnie pozna waszą lordowską mość.

No tak, na pewno chodzi mu o Ginę! Caroline odetchnęła z ulgą i skłoniła się obu panom. Następnie spuściła oczy i już ich nie podnosiła, a pozostała trójka zajęła się wymianianiem uprzejmości.

- Czy wolno mi będzie zatańczyć z panią, panno Hanscombe? - zwrócił się do niej nagle lord Radford swoim głębokim barytonem.

Caroline znowu zadrżała, lecz nie widząc innego wyjścia, skinęła uprzejmie głową. Zastanawiała się, o co może chodzić obu mężczyznom. Nieznajomy nie budził jej zaufania, choć na jego plus zapisała to, że nigdy wcześniej nie widziała go u Almacków. Znaczyło to, że nie szukał żony. Tyle, że mógł przecież zmienić zdanie...

Baron podał jej ramię i poprowadził w stronę parkietu. Orkiestra zagrała... walca. Caroline poczuła, że się czerwieni.

- Czy ma pani pozwolenie na ten taniec? - spytał lord Radford.

- Niestety, nie - szepnęła w odpowiedzi. Pragnęła jeszcze dodać, że wcale nie ma na nie ochoty.

Jednak baron działał szybko. Bez trudu zdołał przyciągnąć uwagę lady Jersey, następnie wskazał wymownie partnerkę, a starsza dama kiwnęła przyzwalająco głową. Mogli już tańczyć. Lord Radford

był bardzo skuteczny: porwał ją w ramiona i po chwili płynęli już po sali.

Jason patrzył z góry na jasną głowę partnerki, zastanawiając się, czy jej wstydlivość bardziej go bawi czy złości. Z całą pewnością pannie Hanscombe nie brakowało panieńskich cnót. Być może, jak na jego potrzeby, miała ich aż za dużo.

Poza tym żałował trochę, że nie jest wyższa, co ułatwiłoby rozmowę w czasie tańca. A tak mogła jedynie oglądać guziki u jego surduta.

Z uznaniem natomiast przyjął jej wygląd. Po tym wszystkim, co opowiadał mu Fitzwilliam, spodziewał się, że będzie brzydsza. Caroline była jednak wcale-wcale, chociaż robiła wszystko, żeby zamaskować ślady swojej urody. Zapewne działało się tak, gdyż nie miała ani krzty gustu, ale temu można będzie łatwo zaradzić z pomocą kórejś z jego krewnych.

Caroline natomiast przeżywała męki. Nie wiedziała, kim *jest jej* partner, ale czuła na sobie spojrzenia zgromadzonych na sali osób. Domyśliła się więc, że należy *do* najlepszego towarzystwa. Dlaczego ktoś taki zainteresował się właśnie nią? I czy jest to tylko kaprys, czy też świadome działanie? Pytania mnożyły się w jej głowie. Było ich coraz więcej, a biedna Caroline nie mogła na żadne znaleźć odpowiedzi.

Lord Radford był na tyle przystojny, że bez trudu mógł znaleźć partnerkę. Jeśli zaś szukał żony, jego pozycja z pewnością przyciągnęłaby dziesiątki kandydatek. Dlaczego więc poprosił ją do walca?

- I jak się pani podoba pierwszy sezon w Londynie, panno Hanscombe? - dobiegło do niej zadane głębokim tonem pytanie.

- Jest doprawdy... oszałamiający, wasza lordowska



mość - odparła Caroline po chwili namysłu. Mówiła tak cicho, że z trudem dosłyszał jej głos.

- A czy przyjęcia u Almacków spełniły pani oczekiwania? Niektórzy uważają, że są mocno przereklamowane.

Caroline tylko potrząsnęła główką.

- Nie miałam żadnych oczekiwań.

Oczywiście Fitzwilliam nie przesadzał, mówiąc o jej braku obycia. Widać było, że Caroline odpowiada niechętnie. Jednak nie zrażało to Jasona. Wolał, by jego żona była raczej małomówna niż gadatliwa.

Walc się skończył i baron odprowadził tancerkę do lady Hanscombe.

- Było mi bardzo miło, panno Hanscombe - rzekł na koniec. - Czy będzie mi wolno odwiedzić panią?

Caroline spojrzała na niego wyraźnie zaskoczona.

- Tak, naturalnie - odrzekła z wahaniem.

- Serdecznie zapraszamy, panie baronie - pospieszyła z zapewnieniami lady Hanscombe. - Mieszkamy niedaleko, przy Adam Street. A oto moja druga córka, Gina.

Lord Radford spojrzał niewidzącym wzrokiem na dużą i pełną dziewczynę, bąknął: „Bardzo mi miło” i pospieszył w stronę Fitzwilliama. Musiał z nim omówić szczegóły dotyczące wizyty. Odniósł wrażenie, że, jak na razie, zrobił to, co do niego należało. Caroline Hanscombe nawet mu się podobała, a już na pewno nie budziła jego odrazy. Z pewnością będzie dobrą żoną i matką.

W chwili, kiedy baron szukał przyjaciela, lady Hanscombe była zajęta przesłuchiowaniem pasierbicy. Sama nie wiedziała, czy powinna się cieszyć z tego, że ktoś tak znaczący zainteresował się Caroline, czy

też obrazić się z powodu zlekceważenia Giny. Przede wszystkim chciała mieć jednak pełny obraz sytuacji.

- Wyprostuj się, Caroline. Słuchaj, *co* do ciebie mówię - musztrowała pasierbicę. - I co mu powiedziałaś po tym, jak zapytał cię o Almacków?

- Że nie miałam żadnych oczekiwań w stosunku do tych przyjęć - westchnęła Caroline. Miała już dosyć zarówno samego przyjęcia, jak i natrętnych pytań macochy.

- A potem, *co*? O *co* cię pytał?

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- O jakieś głupstwa. Nic ważnego.

- A co ty mu odpowiadałaś? - drążyła macocha.

- Staralam się nie odpowiadać.

Lady Hanscombe zastygła przed Caroline w pełnej zadumy pozie.

- Więc dlaczego chce nas odwiedzić? O *co* *mu* *może* chodzić? - powiedziała głośno, nie wiedząc, że pasierbica już od jakiegoś czasu zadawała sobie w duchu te same pytania.

Do niedawna mogła mieć nadzieję, że to spotkanie było tylko zbiegiem okoliczności. Jednak zapowiedź wizyty rozwiała ją niczym wiatr poranną mgłę. Teraz *nie* wątpiła, że lord Radford chce *się* z *nią* *jeszcze* spotkać. Tylko po co? Przecież w czasie tańca usilnie starała się go od tego odwieść.

Po niecałym kwadransie wróciła Giną wysłana na przespiegi do kółka największych plotkarek. Dziewczyna miała tajemniczą minę i widać było, że ma coś ważnego do powiedzenia, jednak ze względu na towarzystwo Fallsworthye'go musiała *się* powstrzymać.

Lady Hanscombe patrzyła teraz na towarzyszącego córce młodzieńca mniej przychylnym okiem. Po

pierwsze, rozpierała ją ciekawość. A po drugie, Giną wydawała się lepszą towarzyszką dla przystojnego barona niż jej nieszczęsna przyrodnia siostra. Co prawda Caroline miała lepsze koneksje, ale za to jej córka była ładniejsza i lepiej wychowana. I mniej chimeryczna. I nie poświęcała tyle czasu nauce, co musiało tak niekorzystnie odbić się na urodzie biednej Caroline.

Wkrótce wszystkie trzy panie Hanscombe opuściły przyjęcie. Gdy tylko wsiadły do powozu, z ust Giny natychmiast popłynął potok słów:

- Och, Caro, jestem taka podniecona. Lady Darrow mówiła, że baron nigdy, rozumiesz, nigdy nie przychodzi na te przyjęcia. Podobno skrywa jakąś mroczną tajemnicę, nieszczęśliwą miłość, czy coś takiego... - Giną chwyciła siostrę za rękę. - O, jak bardzo byłabym rada, gdyby wybrał właśnie ciebie! Mogłabyś go pocieszyć! To takie romantyczne!

Caroline wyrwała dłoń z rąk siostry.

- Lord Radford nie wyglądał na człowieka, który wymaga pocieszeń - stwierdziła.

- Pozory, pozory - mruknęła pobłaźliwie Giną, a następnie zniżyła głos: - Podobno spotyka się z najmodniejszymi aktorkami...

- Ależ, moja droga! To nie jest temat dla młodych panien! - przerwała jej starsza pani.

- Ależ *maman*, przecież wszyscy wiedzą! - wykrzyknęła Giną. - Lady Darrow...

- Nie interesuje mnie, co powiedziała ta plotkarka - wpadła jej w słowo lady Hanscombe. - Powiedz lepiej, co mówiły inne panie.

Giną posłusznie skinęła głową. Ponieważ odpowiadał jej Gideon, nie czuła zazdrości. Cieszyło ją to, że siostra w końcu znalazła sobie zalotnika, chociaż sło-

wo „znalazła” może niedokładnie opisywało to, co się stało.

- No cóż, wszyscy podkreślali, że baron jest bardzo bogaty i ustosunkowany - ciągnęła Giną. - Lady Edgware *to jego* ciotka. Ta znajomość otwiera drzwi najlepszych domów w Anglii.

Caroline zrobiła wiele, żeby te drzwi się przed nią zamknęły i wcale nie pragnęła, żeby znowu stanęły przed nią otworem. Najważniejsze było dla niej to, że lord Radford wcale się jej nie spodobał i że źle się czuła w jego towarzystwie. W tej chwili mogła mieć jedynie nadzieję, że zapowiedziana wizyta nie dojdzie do skutku i że już nigdy go nie zobaczy.

Giną wciąż coś mówiła, ale Caroline przestała słuchać. Powóz zatrzymał się przed ich kamienicą przy Adam Street i wkrótce panie znalazły się w domu.

- Przepraszam, mamó, ale źle się czuję. Czy mogę już iść spać? - Caroline zwróciła się do macochy.

Starsza pani spojrzała na jej blade lica i skinęła głową.

- Tak, tak, kochanie - powiedziała. - Wyśpij się dobrze, bo przecież jutro możemy się spodziewać wizyty barona.

Dziewczyna zadrżała, usłyszawszy tę uwagę. Nic jednak nie odrzekła, tylko ruszyła do swojej sypialni. Jak wiele tego rodzaju miejsc w wynajętych domach, nie stanowiła ona szczytu elegancji. Jednak Caroline odetchnęła z ulgą, kiedy w końcu zamknęła za sobą drzwi. Nareszcie poczuła się bezpieczna.

Rzuciła szarą pelerynę na fotel i podeszła do okna. Ruch *uliczny* powoli cichł. Nie wiedzieć czemu jej myśli poszybowały znowu do sali balowej. Teraz mogła już bez emocji myśleć o tym, co się dziś zdarzyło. Być może wyciągała zbyt daleko idące wnioski

z zachowania barona. Być może to był tylko przypadek, że przyszedł do Almacków i z nią zatańczył. Jednak intuicja podpowiadała jej, że tego rodzaju rzeczy nigdy nie są dziełem przypadku. Z pewnością może się więc spodziewać dalszego ciągu.

Do tej pory, kiedy myślała o sobie, wyobrażała sobie gałązkę unoszącą się na spokojnych wodach. Teraz miała wrażenie, że porwał ją wartki nurt. Czy znaczyło to, że będzie musiała porzucić leniwe życie w służbie muzyki?

Nie, nigdy!

Caroline nagle roześmiała się, widząc swoje odbicie w szybie. Czy nie za bardzo dała się ponieść? Jessica zawsze mówiła, że ma zbyt bujną wyobraźnię. Być może właśnie teraz powinna ją trochę powściągnąć.

Z uśmiechem podeszła do komody i otworzyła najniższą szufladę. Wyjęła z niej starą lutnię, pochodzącą jeszcze z czasów, gdy te instrumenty były modne. Caroline przysiadła na łóżku i przycisnęła do łona cedrowe pudło instrumentu. Dostała go od swojego nauczyciela muzyki, pana Ferrante, kiedy wyjeżdżała z macochą do Londynu. Stary Włoch oczywiście domyślił się, w jakim celu i dlatego właśnie dał jej lutnię. Miała jej ona uprzyjemniać czas po wieczorach spędzonych w miejscach, do których wcale nie chciała chodzić.

Caroline zawsze uwielbiała fortepian. Okazało się jednak, że lutnię może wziąć ze sobą wszędzie. Poza tym stanowiła ona doskonały instrument do wykonywania muzyki tak dawnej, jak i współczesnej, a jej słodkie dźwięki potrafiły ukoić skołatane nerwy.

Dziewczyna przebiegła palcami po strunach, zaczynając arię Johna Dowlanda. Narastające dźwięki

trochę ją zaniepokoiły, więc przerwała arię i zagrała taniec z epoki elżbietańskiej. Jednak natychmiast przypomniało jej się, jak tańczyła z lordem Radford. W tej sytuacji pozostała jej tylko włoska kołysanka.

Po niecałych dziesięciu minutach zdecydowała, że może już iść spać.

Następnego ranka Caroline wstała wcześniej niż reszta rodziny, zjadła samotnie śniadanie i już była gotowa do wyjścia. Miała znowu odwiedzić ciotkę, żeby dać Lindzie *kolejną* lekcję gry na fortepianie. Była to szczęśliwa wymówka, z której Caroline zawsze chętnie korzystała. Jako przyzwoitka towarzyszyła jej kolejna służąca, która starała się za nią nadążyć, unosząc nieco swą prostą, lnianą suknię.

Mimo niepozornego wyglądu, Caroline słynęła jako znakomity piechur. Chodziła szybko i potrafiła przejść dalej niż ktokolwiek z rodziny.

Idąc, rozglądała się dookoła. Nocny deszcz *umył* ulicę tak, że teraz połyskiwała w słońcu. Powietrze pachniało świeżością. Caroline wsłuchiwała się w świergot wróbli i turkot dorożek. Jaką wspaniałą uverturę można by skomponować w oparciu o te tematy. Coś pod tytułem „Życie miasta”.

Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie. Teraz, w świetle dnia, nie mogła już brać poważnie swoich wczorajszych obaw. Wszystko zapewne *się* ułoży i jej życie potoczy się dawnym torem.

Ciotka Jessica z przyzwyczajenia wstawała wcześnie, tak jak wszystkie żony wojskowych. Jej dom już od rana tętnił życiem. Był to co prawda niewielki budynek, który obsługiwało tylko troje służących, ale wszystkie pomieszczenia lśniły czystością. Wchodząc

po schodach Caroline z niechęcią myślała o wynajętym domu przy Adam Street.

W odróżnieniu od niego pokoje urządzone tu były ze smakiem, choć bez ekstrawagancji. Większość mebli pochodziła z poprzedniego wieku, ale wszystkie były w doskonałym stanie. Egzotyczne akcenty stanowiły trofea zmarłego męża ciotki.

Częste wizyty w tym domu stanowiły dla Caroline dostateczną rekompensatę za uciążliwości związane z bywaniem na balach i przyjęciach. Przed przyjazdem do Londynu prowadziła z ciotką ożywioną korespondencję, lecz rzadko miała okazję się z nią spotykać. Zwłaszcza, że Jessica też rzadko zjeżdżała do Londynu. Jej mąż, major Sterling, stacjonował w Indiach, a następnie w Portugalii i Hiszpanii. Dopiero po jego śmierci w bitwie pod Salamanką ciotka wraz z córką powróciła do Anglii i zamieszkała w swoim londyńskim domu.

Jessica ceniła sobie niezależność. Mimo to, chętnie przyjeżdżała wraz z córką do Wiltshire, gdzie mieszkali rodzice jej męża. W młodości często bywała w tych okolicach i miała tam wielu przyjaciół. A ponieważ posiadłość Sterlingów była oddalona zaledwie kilkanaście kilometrów od Hanscombe'ow, zaglądała czasami do Caroline. Jednak teraz mogły spotykać się znacznie częściej, co dla obu stanowiło miłą okoliczność.

Caroline weszła do małej jadalni. Ale nie zdążyła jeszcze przywitać się z ciotką, gdy w jej stronę skończyła mała figurka i uwiesiwszy się *jej u szyi*, cmoknęła ją serdecznie w policzek.

- Och, Caro! Wczoraj przybłąkał się do nas malutki kotek i mama mówi, że mogę go zatrzymać! - wykrzyknęła Linda.

Caroline postawiła dziewczynkę na podłodze i mrugnęła do niej porozumiewawczo.

- Ciekawe, jak się przybłąkał? Czy przypadkiem nie w twojej kieszeni? - szepnęła, spoglądając na ciotkę.

Jessica uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo.

- No, cóż... - zaczęła z ociąganiem Linda.

- Dajmy temu spokój - ucięła miłościwie Caroline. - Twoja mama i tak pewnie wie, co o tym sądzić.

Wyprostowała się i podeszła do ciotki. Obie panie wymieniły powitalne pocałunki, a następnie Jessica nalała jej kawy. Był to już prawie rytuał w tym domu. Zwłaszcza, że lady Hanscombe preferowała herbatę i uważała smolisty trunek za niepotrzebną i drogą ekstrawagancję.

Kiedy Caroline usiadła, poczuła, że coś drapie ją w nogę.

- Aha - powiedziała i dała nurka pod stół. Po chwili wyłoniła się stamtąd, trzymając rudego, pręgowanego kotka o niewiarygodnie zielonych oczach. - No, no, przecież to prawdziwy tygrys!

- Prawda, że jest śliczny? - zachwyciła się Linda.

Kotek był rzeczywiście wyjątkowo ładny. Poza tym widać było, że traktował już dom Sterlingów jak swój i chciał się ze wszystkimi bawić.

- Proszę, cukier. - Ciotka podsunęła jej cukiernicę pełną słodkich kawałków.

Caroline wzięła jeden, wcale nie najmniejszy, i zamieszała ciemny płyn łyżeczką.

- Och, kawa, kawa - westchnęła i pogłaskała kotka. - Ciekawa jestem, co robili ludzie przed odkryciem kawy? Kochanie, weź tego... - zwróciła się do dziewczynki, dopiero teraz uświadomiwszy sobie, że nie wie, czy kotek w ogóle ma imię. - Jak go nazwa-



fas? Czy będzie się po prostu nazywał Kotek Sterling?

Linda wybuchnęła śmiechem, biorąc pręgowane zwierzę z jej rąk.

- Och, jaki to świetny pomysł! Kotek Sterling! Ale nie, nazywa się Wellesley. To na cześć Żelaznego Księcia - dodała.

Caroline wypiała parę pierwszych łyków kawy, a ciotka pochyliła się w jej stronę.

- No dobrze, możesz już mówić - zachęciła ją. - Widzę, że coś nie daje ci spokoju.

Panna Hanscombe poprawiła się nerwowo na swoim krześle. Czyżby było widać, iż jest trochę wzburzona? A może to Jessica jest bardziej przenikliwa niż inni ludzie?

- Otóż ciociu, wczoraj u Almacków zdarzyło się coś niezwykłego - zaczęła.

- Czy to znaczy, że uśmiechnęło się do ciebie szczęście i przetańczyłaś cały wieczór? - spytała pani Sterling, zaglądając jej głęboko w oczy.

- Rzeczywiście tańczyłam, ale nie mogę tego nazwać szczęściem - ciągnęła Caroline. - Przyczepił się do mnie jakiś podstarzały lord. A potem powiedział, że mnie odwiedzi.

- Ciekawe. - Ciotka zadumała się na chwilę. - Powiedz mi, kim jest ten starzec?

- Och, nie jest może taki stary. Ma pewnie koło czterdziestu lat, co znaczy, że mógłby najwyżej być moim ojcem. Przedstawił się jako lord Radford, a wyglądał jak diabeł w przebraniu. Smagły, o ciemnych włosach i ostrych rysach. Patrzył na mnie tak, jakbym była na sprzedaż.

Jessica pokiwała smutno głową.

- Bo jesteś.

- Ale nie chcę być! - rzekła twardo Caroline. - Na szczęście ubrałam się tak, że nie mogłam mu się spodobać. A poza tym pewnie myśli, że jestem głupia... - zakończyła radośnie.

Pani Sterling milczała przez chwilę, trąc w zamyśleniu czoło. Jej córka bawiła się na podłodze z kotkiem i nie przejmowała się rozmową.

- Dużo słyszałam i czytałam o lordzie Radford - powiedziała w końcu ciotka. - Zdaje się, że ma posiadłość w Gloucestershire i jest bardzo bogaty. Nareszcie znalazłaś sobie odpowiednią partię, moja droga.

Caroline zrobiła taką minę, jakby miała się zaraz rozpłakać.

- Ciociu, nie kpij ze mnie! Wcale go nie znalazłam! A co będzie, jeśli rzeczywiście się mną zainteresuje?! Ten człowiek mnie przeraża!

Pani Sterling wyprostowała się na swoim miejscu. W tym momencie wyglądała jak prawdziwa dama.

- Czy ty nie przesadzasz, moja droga?

Panna Hanscombe dopiła kawę i odstawivszy filiżankę, potrząsnęła głową.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale jest w nim coś... - przerwała i spojrzała za okno. - Jest jak chmura, która może przesłonić słońce albo ogień, który może mnie strawić. Sama nie wiem... Wcale nie jest brzydki, wręcz przeciwnie, ale wzbudza we mnie obawę.

Zadrżała jeszcze na wspomnienie wczorajszego tańca, a ciotka wzięła ją za rękę, chcąc zapewne uspokoić siostrzenicę.

- Wydaje mi się, że rozumiem. Niektórzy ludzie po prostu tacy są. Na przykład księżę Wellington. Nawet, kiedy jest bardzo uprzejmy, czuje się w nim

siłę i władzę. I tak było Zawsze, zanim jeszcze zyskał książęcy tytuł i był zwykłym Arthurem Wellesley.

- Tak, właśnie tak!

Jessica położyła uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

- Nie przejmuj się. Jeśli go pokochasz, ten ślub ustawi cię na całe życie. Jeśli nie, nikt nie może zmusić cię do małżeństwa.

Jednak Caroline westchnęła i zrobiła jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę. Starła się jednak nie rozpłakać, chociaż czuła, że coś dławi ją w gardle.

- Obawiam się, że mama i tata mogą próbować. Wciąż mówią o tym, że jest to moim podstawowym obowiązkiem...

Maleńka Linda zerwała się na równe nogi. Znaczyło to, że mimo zabawy z kotkiem, przysłuchiwała się jednak rozmowie. A teraz chwyciła mocno Caroline za rękę.

- Nie pozwolimy na to! - krzyknęła. - Powiemy, że jesteś nasza.

Na ustach pani Sterling pojawił się dobrotliwy uśmiech.

- Spokojnie, kochanie - powiedziała do córki i przyciągnęła małą do siebie. - Myślę, że nie będzie tak źle.

Caroline patrzyła na nie z przyjemnością. Obie miały płomienne włosy i żywe rysy, chociaż Linda odziedziczyła po ojcu orzechowe oczy. A teraz jeszcze dołączył do nich rudy kotek, jak najbardziej go dzien nazwiska Sterlingów.

- Masz rację, ciociu - rzekła w końcu. - Niepotrzebnie się tym wszystkim przejmuję. Pewnie już nigdy nie zobaczę Diabolicznego Barona.

Linda otworzyła ze zdziwieniem buzię.

- A co to znaczy, diaboliczny? - spytała, a *jej* oczy zrobiły się wielkie ze strachu.

Matka pogłaskała ją po główce.

- Nic takiego, kurczaczku. Tak mi się wypsnęło - uspokoiła ją Caroline, a następnie zaklaskała w dłonie.

- No, najwyższy czas na dzisiejszą lekcję. Obiecałam Ginie, że wybiorę się z nią na zakupy, więc muszę wcześniej wrócić do domu. Jutro bal u Cavendishów - dodała z westchnieniem.

Mała podeszła do Caroline i wzięła ją za rękę.

- Jestem chyba za duża, żeby mnie nazywać kurczaczkiem - zauważyła z nadąsaną miną.

Caroline z trudem stłumiła śmiech.

- Wobec tego, jeśli panna Sterling pozwoli...

Linda zaczęła skakać wokół niej niczym wesoły króliczek.

- To chodźmy, pokażę ci, czego się wczoraj nauczyłam - powiedziała radośnie i capnęła swoją nauczycielkę za spódnicę.

Pani Sterling spojrzała na córkę z miłością i oddaniem. Obawiała się, że dziewczynka ma rację. Co prawda zachowywała się jeszcze jak dziecko, ale zaczęła już dorastać. Dojrzewanie było *procesem* bolesnym i nieuniknionym. Jako matka mogła sobie to jedynie uświadomić. Chowanie córki pod *korcem* nie miało większego sensu.

- A jeśli dobrze wam pójdzie, *to* na *dole* będzie czekał na was piernik - poinformowała na koniec.

Zarówno uczennica, jak i nauczycielka wydały z siebie cienki pisk i aż podskoczyły z radości. Obie uwielbiały to ciasto, które kucharka podawała zwykle z czekoladą i bitą śmietaną.

### 3

Caroline wróciła do domu później niż planowała. Po pierwsze, koncert Mozarta okazał się na tyle wciągający, że spędziła nad nim "więcej czasu niż zamierzała. Po drugie, nie mogła sobie odmówić kawałka znakomitego piernika. Zresztą wszyscy w rodzinie wiedzieli, że nie wolno jej dopuszczać do fortepianu, bo wówczas zapomina o Bożym świecie.

Prawdę mówiąc, Caroline zabałaganiła również w drodze powrotnej, ponieważ nagle, w okolicach Hyde Parku, przyszedł jej do głowy fragment własnej kompozycji. Dopiero, kiedy był już gotowy, pospieszyła do domu, by zapisać go na papierze nutowym.

Tu jednak czekała na nią zniecierpliwiona Gina i Caroline musiała użyć wybiegu, żeby zyskać parę minut. Oczywiście nie przebrała się, jak powiedziała siostrze, tylko w natchnieniu skreśliła tych kilkanaście taktów, które nie dawały jej spokoju i dopiero wtedy zbiegła na dół.

- Jestem gotowa! - krzyknęła i nagle oniemiała. Przez półotwarte drzwi salonu dostrzegła ciemną, męską sylwetkę.

Diaboliczny Baron! Caroline chciała uciec na górę, ale było już za późno. Mężczyzna dostrzegł ją i skłonił się z uśmiechem.

Jason z przyjemnością patrzył na zarumienione policzki i błyszczące oczy swojej przyszłej żony. Jej

zdziwienie wydawało się bezgraniczne. Musi się jeszcze nauczyć, że lord Radford nie rzuca słów na wiatr. Skoro powiedział, że przyjdzie, to pojawił się dzisiaj o najwcześniejszej możliwej porze. Na początku przestraszył się, że nie zastał Caroline, ale lady Hanscombe poinformowała go, że córka przebiera się na górze. Na szczęście, ponieważ inaczej byłby skazany na towarzystwo tej nudnej starszej kobiety i Giny, która wyraźnie mu się nie podobała. Co prawda Caroline też nie wydawała mu się wcieleniem urody i intelektu, ale wyczuwał w niej te możliwości, których brakowało jej siostrze.

- Witam, panno Hanscombe - powiedział, kłaniając się raz jeszcze. - Mamy piękne popołudnie, więc pomyślałem, że może pojedziemy moim powozem na przejażdżkę do parku.

Caroline zapłoniła się i spuściła oczy.

- Niestety, obiecałam siostrze, że pójdę z nią na zakupy - odrzekła, starając się, by nie dosłyszał triumfalnych nutek w jej głosie.

- Ależ nie, Caro. Poradzę sobie bez ciebie - pospieszyła z zapewnieniami Gina. - Zresztą zaraz pojawi się Gideon, więc i tak nie miałybyśmy zbyt dużo czasu.

- Caroline z pewnością przyjmie zaproszenie waszej lordowskiej mości - wtrąciła lady Hanscombe. - Prawda, Caro?

- Ależ oczywiście, mam - odrzekła nieszczęsna dziewczyna, wciąż patrząc w dywan.

Czuła się osaczona i stłamszona. A pomyśleć, że jeszcze pół godziny temu było jej tak lekko na duszy!

- Możemy więc jechać? - Baron postąpił krok w jej stronę.

Caroline cofnęła się gwałtownie.

- Nie, to znaczy, tak - płała się. - Chciałabym tylko trochę się odświeżyć i przebrać.

Wymówka nie należała do najlepszych, zważywszy, że kilkanaście minut temu już z niej korzystała. Gina i lady Hanscombe spojrzały na siebie z wyraźnym zdziwieniem. Lord Radford tylko zacisnął usta. Nawet, gdyby usiłował protestować, to Caroline i tak znajdowała się już na górze.

Znalazszy się z powrotem w swoim pokoju, oparła się plecami o drzwi, jakby bała się, że ktoś ją będzie ścigał. Po krótkim namyśle ruszyła do szafy, z której wyjęła szarą pelerynę oblamowaną niebieskim futerkiem i szary czeppek. W tym stroju zawsze wyglądała tak, jakby nabawiła się niestrawności. Poza tym mogła nasunąć na twarz więcej włosów, żeby ukryć rumieńce i roziskrzzone oczy.

Tak ubrana zeszła na dół. Zatrzymała się jeszcze przed drzwiami salonu i wciągnęła głęboko powietrze, a następnie udała się na spotkanie swego przeznaczenia.

Lord Radford zmierzył ją uważnym wzrokiem. Odpowiadało mu to, że nie potrzebowała zbyt wiele czasu na przebranie, chociaż efekt tych zabiegów wydał mu się żałosny. Niestety, ta dziewczyna kompletnie nie miała gustu. Przed udaniem się na górę wyglądała całkiem ładnie, a teraz prezentowała się jak guwernantka albo pomoc domowa. Po zaręczynach będzie sam musiał zająć się jej garderobą.

Bez słowa podał jej ramię i po chwili znaleźli się na zewnątrz. Tutaj czekał na nich wspaniały czarny powóz, zdobiony srebrem, zaprzężony w dwójkę gniadoszy. Caroline aż otworzyła usta na ten widok.

- Czy odpowiada pani ten pojazd, panno Hans-

combe? - spytał baron, pochylając się w jej stronę.

- Nie czuję się uprawniona do wydawania opinii - odpowiedziała, natychmiast spuszcżając oczy.

- Bzdura! Każdy może mieć własne zdanie. Tyle tylko, że pani rzadko je wyraża - powiedział, pomagając jej wsiąść do powozu.

- No cóż, to wspaniały pojazd. Tylko może trochę zbyt...

- Tak? - podchwycił.

- ... złowieszczy - dokończyła. Powinna jeszcze powiedzieć, że doskonale pasuje do Diabolicznego Barona, ale oczywiście nie chciała, żeby wiedział, że tak go nazwała.

- O! - zdziwił się. - A pani matce bardzo się podobał.

- Macosze - poprawiła go.

- Proszę, proszę, robi pani postępy, panno Hanscombe - rzekł, sadowiąc się naprzeciwko. - Chyba po raz pierwszy powiedziała pani coś, co wykracza poza absolutne minimum.

Fitzwilliam nie wspominał mu o tym, że Caroline jest pasierbicą lady Hanscombe. Ta informacja ucieszyła go, gdyż Jason uznał Ginę i jej matkę za osoby natrętne i dość pospolite.

- Prze... przepraszam - wyjąkała Caroline. - Nie chciałam być niegrzeczna.

Jason przeklął w duchu swoją uwagę. Chodziło mu o to, żeby choć trochę ośmielić tę młodą osobę. Ciekawe, dlaczego się aż tak spłoszyła? Czyżby w ogóle bała się mężczyzn?

- Jestem przekonany, że nigdy w życiu nie była pani niegrzeczna, panno Hanscombe - stwierdził z mocą. - Czy to pani pierwsza wizyta w Londynie?

W ten sposób udało mu się zvekslować rozmowę



na bezpieczne tory. Najpierw zajęli się więc rozmową o urokach stolicy, a potem przeszli do pogody, przy czym oboje zgodzili się, że tegoroczny kwiecień jest bardzo ciepły i że należy się z tego cieszyć.

Caroline zaczęła się powoli odprężyć. Na szczęście nie zdawała sobie sprawy z tego, że powóz barona przyciąga powszechną uwagę. Jechali na tyle szybko, że nie widziała ścigających ich spojrzeń. Myślała raczej o tym, że przyjemnie jest tak jechać, czując we włosach ciepły wiosenny wiatr.

Nagle dobiegły do nich czyjeś pozdrowienia. Po chwili zrównał się z nimi jadący konno George Fitzwilliam. Mimo, że jego szanse na siwki barona powoli topniały, przywitał się serdecznie z pasażerami powozu:

- Moje uszanowanie, panno Hanscombe. Witaj, Jason. Piękny dzień, prawda?

- Zaiste - odparł baron, a następnie polecił woźnicy, żeby zwolnił.

George miał teraz okazję przyjrzeć się przyszłej lady Radford. Nie miała zbyt szczęśliwej miny. Szczególnie mówiąc, wyglądała na znużoną i zrezygnowaną. Więc może nie przegrał jeszcze z kretesem?

Pożegnał dwójkę w powozie i popędził dalej w głąb parku. Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo ucieszył go widok skwaszonej Caroline.

Po jego odjeździe, lord Radford spojrzął ze zniecierpliwieniem na swoją towarzyszkę.

- Niech mi pani powie, panno Hanscombe, czy interesuje się pani czymś szczególnie? - spytał. - Nie będziemy chyba cały czas rozmawiać o pogodzie.

W odpowiedzi Caroline wymamrotała coś pod nosem.

- Słucham? - Niemal przewiercał ją wzrokiem.

- Muzyką - powtórzyła. - Mówiłam, że interesuję się muzyką.

Na szczęście udało mu się zdusić jęk, ale jego mina świadczyła o tym, że szczególnie go to nie ucieszyło. Istotnie! Miał dość młodych panien, wyciskających ostatnie poty z rozstrojonych fortepianów. I śpiewaczek, które mogły co najwyżej straszyc gości w starych zamczyskach. Robiło mu się niedobrze, kiedy słuchał tych "wszystkich wirtuozek szarpiających struny harf i lutni.

- Pani też? - westchnął.

- Nie, to *nieistotne*. Robię to czysto po amatorsku - odparła szybko, potwierdzając w ten sposób jego najgorsze domysły.

Dopiero po chwili zrozumiał, że popełnił błąd. Caroline zacisnęła usta i nic nie wskazywało na to, że zechce je znowu otworzyć. Musi pamiętać o tym, że jest bardzo delikatna i łatwo ją spłoszyć.

Trochę się zafrasował, myśląc o tym, że przez lata małżeństwa będzie musiał uważać na każde słowo. Nagle przypomniał sobie czarną aktoreczkę Lizzie i na jego ustach pojawił się uśmiech. Ta dopiero miała ostry język! No tak, ale mieli wówczas mniej więcej tyle samo lat, a siedzące przed nim dziewczátko było od niego znacznie młodsze.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że mógłby pewnie być *ojcem* Caroline. Być *może* z *tego* brał się *ten* ogromny dystans, który między nimi istniał.

- Bardzo bym chciał, panno Hanscombe, żeby się mnie pani nie bała - rzekł, kładąc rękę na sercu. - Nie chcę przecież pani zjeść.

W tym momencie poczuł na sobie spojrzenie pary

niebieskich, bystrych oczu. Caroline chyba po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz.

- Czy aby na pewno? - spytała niespodziewanie nadzwyczaj mocnym głosem, a następnie znowu spuściła głowę.

To było niezwykle zdarzenie. Baron poczuł się nagle tak, jakby pozwoliła mu zajrzeć na chwilę do innego świata. Trzeba było jeszcze pół godziny nudnej rozmowy o pogodzie, żeby uznał, że to był przypadek. Osoba tak nudna jak Caroline Hanscombe nie mogła być jednocześnie złośliwa!

Tuż po odjeździe Caroline, sir Alfred wezwał do siebie żonę, żeby porozmawiać o stanie rodzinnych finansów. Baronet był chudym, cholerycznym mężczyzną, zakochanym do utraty tchu w samym sobie. Trudno było znaleźć kogoś bardziej samolubnego i zapatrzonego w siebie. Jego dzieci w ogóle go nie interesowały; może jedynie Colin, jako spadkobierca tytułu. Jednak sir Alfred całe życie zajmował się głównie dogadzaniem samemu sobie, co znacznie uszczupliło odziedziczony przez niego majątek. Na szczęście nigdy nie zrobił rzeczy najgorszej i nie wziął pożyczki pod zastaw posiadanych nieruchomości. Mimo to, interesy mu nie szły i rodzina coraz bardziej ubożała.

- Witaj, Louiso - powiedział, wstając na widok żony. - Pozwolisz, że od razu przejdę do rzeczy. Na początku sezonu dostałaś pewną sumę i obiecałaś wydać za mąż przynajmniej jedną z naszych córek. Czy możesz mi powiedzieć, jak sprawy stoją?

Lady Hanscombe była przygotowana na podjęcie tego tematu.

- Nadspodziewanie dobrze, Alfredzie - zaczęła, sadowiać się w fotelu w gabinecie męża. - Pamiętasz, mówiłam ci już o tym, że Gideon Fałsworthy zainteresował się Giną. Moim zdaniem, jest w niej teraz tak zakochany, że nawet nie będzie chciał posagu.

Baronet skinął głową, ponieważ słyszał te zapewnienia już wcześniej.

- Dobrze, dobrze. Ale ostatnio interesy nie szły mi najlepiej. Spóźnił się statek z Indii, który przewoził moje towary i teraz... - Sir Alfred spojrział na wyrażenie znudzonej żony i machnął ręką. - Nieważne. Jednak gdyby Giną znalazła sobie bogatszego fatyganta, chętnie wydałbym ją za kogoś innego.

Nawet jego żona była zdziwiona taką postawą, ale nie chciała korzystać z argumentów natury uczuciowej.

- Obawiam się, że to już niemożliwe - stwierdziła tylko. - Fałsworthy praktycznie przepłoszył innych kandydatów.

Sir Alfred uderzył otwartą dłońią w biurko.

- I ty pozwoliłaś na ten flirt! - huknął.

Jednak lady Hanscombe nie należała do osób, które łatwo speszyć.

- Uważaj na *to, co* mówisz, *mój* panie - rzekła groźnie. - To jest poważny związek i nie pozwolę go zniszczyć. Miałaś wcześniej czas, żeby protestować! Przecież informowałam cię o nim już dawno.

Mężczyzna tylko rozłożył ręce w szerokim geście.

- Ale wcześniej nie miałem noża na gardle - wyznał z brutalną szczerością. - Nie mogę dłużej finansować twoich małżeńskich przedsięwzięć.

Lady Hanscombe krótką chwilę rozważała sytuację, przechadzając się po pokoju. Nigdy przedtem nie musiała zajmować się finansami. Zawsze wydawa-

ło jej się, że jej posag był wystarczająco duży, żeby nie musieć tego robić. Czyżby sir Alfred przehulał całą majątek?

- Dobrze, za zgodą Caroline mogę skorzystać z jej pieniędzy, żeby wydać dziewczęta za mąż - wpadła na szczęśliwy, jej zdaniem, pomysł.

Mąż pokręcił głową.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to.

Przez moment nie wiedziała, o co mu chodzi. Kiedy jednak dotarło do niej znaczenie tych słów, pochyliła się nad biurkiem.

- Sprzeniewierzyłeś pieniądze Caroline?! - spytała ze zgrozą. - Przecież to przestępstwo!

Sir Alfred wstał i też zaczął chodzić po pokoju. Twarz miał jak zwykle nieprzeniknioną ale ręce mu drżały ze strachu.

- Nie myśl sobie, że *od* razu wyślesz mnie do więzienia. - Stał przed żoną i pokręcił mocno głową. - To była dopuszczalna inwestycja. Kanał na pewno przyniósłby zyski, gdyby dyrektor firmy budowlanej nie uciekł z pieniędzmi!

Lady Hanscombe słuchała tego z niedowierzaniem. Być może nie należała do osób najsympatyczniejszych, ale zawsze była na wskroś uczciwa.

- Dobrze, to twoja sprawa - powiedziała w końcu, znowu siadając w fotelu. - Wobec tego powinna cię zainteresować następna informacja. Otóż Caroline ma nowego zalotnika. Wczoraj tańczył z nią u Almacków, a dzisiaj zabrał na przejażdżkę.

- Czy jest bogaty?

- To lord Radford - padła odpowiedź.

Baronet podszedł do żony i przyjrzał jej się tak, jakby podejrzewał, że postradała zmysły.

- Lord Radford?! Pamiętam, że miał najpiękniejsze kochanki w Londynie. Co taki mężczyzna może wiedzieć w Caroline?

Lady Hanscombe wzruszyła ramionami.

- Miłość bywa nieodgadniona - rzekła sentencjonalnie.

Jednak jej mąż pokręcił przecząco głową.

- Pewnie chce mieć potomka i dziedzica - stwierdził domyślnie. - Musi zapewnić ciągłość rodu. Caroline jest młoda i z pewnością będzie doskonałą żoną.

- Tylko, czy zgodzi się na małżeństwo, kiedy pozna jego motywy? - zaniepokoiła się Louise.

- Caroline zawsze była posłusznym dzieckiem. Musimy zadbać o to, żeby tak było i tym razem - powiedział z mocą i dla podkreślenia swych słów raz jeszcze uderzył otwartą dłońią w biurko.

## 4

Richard Davenport czuł, że noga boli go coraz bardziej, ale ponieważ tego rodzaju bóle zdarzały mu się dosyć często, starał się nie zwracać na to uwagi. Codziennie chadzał na spacer, żeby zmusić mięśnie do wysiłku. Na bardziej uciążliwe wyprawy, takie jak ta do biura panów Chelmsforda i Marlina, brał ze sobą laskę. Próbował też odwrócić swoją uwagę od nogi, gwizdząc jakieś skomplikowane muzyczne tematy. Był w tym naprawdę znakomity. Często zdarzało mu się zadziwiać kolegów-żołnierzy, naśladując gwizdaniem jakieś dźwięki albo racząc ich fragmentami z operowych arii. Zabawiali się wtedy zgadywaniem, z jakiej opery pochodzi ten lub tamten fragment.

Od jego pierwszej rozmowy z panem Chelmsfordem minął ponad tydzień, a on wciąż nie mógł się zdecydować na przyjęcie tytułu. Nie wiedział, czy życie hrabiego będzie mu odpowiadać. W ogóle nie miał pojęcia, co może dla niego oznaczać ta zmiana. Pierwszą jaskółką mogło być na przykład wyraźnie ugrzecznione zachowanie wszystkich osób w biurze. Wiadomo przecież, że lordowi należy się większy szacunek, niż zwykłemu żołnierzowi, choćby nawet poświęcał życie dla swego kraju!

Kapitan Dalton zaklął pod nosem i wszedł do pokoju starego prawnika, zastanawiając się, czy tym razem też będzie go nakłaniał do przyjęcia tytułu.

- Witaj, chłopcze! - Chelmsford wyraźnie uradował się na jego widok. - Cieszę się, widząc cię w lepszym stanie. Czy mogę cię już tytułować „panie hrabio”?

W odpowiedzi jedynie wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem, co zrobić - poskarżył się. - Ta sprawa mnie przerasta.

Stary prawnik wskazał mu krzesło, a następnie rozpoczął swój wywód:

- Nie chciałbym za bardzo naciskać, ale muszę cię poinformować o testamencie twojego dziadka. Otóż, zgodnie z jego wolą spisaną na rok przed śmiercią, mamy osiemnaście miesięcy na odnalezienie Juliusa Davenporta lub jego potomka. Jeśli to nie nastąpi, cały majątek przejdzie na twojego kuzyna, Reginalda Davenporta. Jest on synem młodszego brata hrabiego i zdaje się, że ma mniej więcej tyle samo lat co ty, mój drogi.

- Tym lepiej - podchwycił Richard.

Chelmsford, który napełnił fajkę tytoniem i ubił go przybornikiem, zapalił ją teraz i wciągnął dym z wyraźną przyjemnością.

- Twój dziadek nie lubił wielu ludzi, ale Reggie'ego wprost nie znosił. Uważał go, nie bez podstaw, za zabijakę i utracjusza. Zabronił mu nawet przyjeżdżać do swojej posiadłości. - Prawniki zrobili pauzę, żeby raz jeszcze móc zaciągnąć się dymem. - Reginald już uważa siebie za hrabiego. Kazał nawet wymalować herb na swojej karecie i wciąż naciska, żebym zakończył poszukiwania przed ustalonym terminem.

- To znaczy, że o mnie nie wie, prawda?

Chelmsford odłożył fajkę i położył prawą dłoń na sercu.

- Pamiętaj, chłopcze, że zawsze będę respektował twoją wolę - rzeki z emfazą. - Nawet, jeśli uznam, że



nie ma to najmniejszego sensu. Prawdę mówiąc, nie mówiłem nawet mojemu młodszemu współpracownikowi, Marlinowi. Wie tylko mój zaufany urzędnik Wilkes, ale to prawdziwe wcielenie dyskrecji.

- To dobrze - rzucił Richard. - Muszę mieć jeszcze czas na podjęcie decyzji.

Stary prawnik skrył się na moment za obłokiem dymu. Kiedy się zza niego wynurzył, na jego twarzy pojawił się młodzieńczy, szelmowski uśmiech.

- A może chciałbyś obejrzeć sobie ten majątek? - zaproponował, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Mógłbyś pojechać ze mną incognito jako kapitan Dalton. Gloucestershire jest naprawdę piękne, a wiejskie powietrze na pewno dobrze ci zrobi. Powiemy, że prowadzisz dla mnie inwentaryzację, dobrze?

Richard roześmiał się, słysząc tę propozycję. Przypomniał sobie dzieciństwo i zabawę w podchody. Chelmsford proponował mu coś podobnego, a może nawet ciekawszego. Czy mógłby się temu oprzeć?

- Hm, lekarz nawet coś wspominał o zmianie powietrza - Richard udawał, że się namyśla. - Ale czy ktoś ze służby lub rodziny nie pozna, że jestem Davenportem?

- Nie, nie sądzę. Pamiętam portrety, które widziałem w Wargrave Park - ciągnął stary prawnik. - Nie jesteś podobny do żadnego z protoplastów rodu, raczej do swojego ojca i babki. Pamiętam ją jeszcze. Nie była piękną, ale miała w sobie coś, co uspokajało nawet jej męża. To ona wniosła do rodziny świeżą krew i zdrowy rozsądek. Gdyby wtedy żyła, twój ojciec na pewno nie musiałby uciekać.

- A co może pan powiedzieć o moich wujach? - spytał zaciekawiony.

Chelmsford myślał przez chwilę nad odpowiedzią, wciąż ssąc niemal już wygasłą fajkę. Rozmowa na tyle go wciągnęła, że zupełnie o niej zapomniał.

- Najstarszy z braci, Rodrick, był prawdziwym zabijaką i nałogowym karciarzem. Trzeba było wydać masę pieniędzy, żeby pokryć jego długi. A kiedy dożył już wieku, kiedy powinien się ustatkować, zmarł nagle na suchoty. Czasami mam wrażenie, że wolał śmierć od uczciwej pracy.

- A średni brat?

Prawnik westchnął ciężko.

- Henry przez całe życie był nieszczęśliwy. Czuł, że ojciec go nienawidzi i dlatego wciąż robił mu na złość. "Widzisz, on... - Chelmsford zawahał się - nie lubił kobiet. Nie miał więc szans, żeby zostać głową rodu. Kiedy zginął w pojedynku, wyzwany przez ojca jednego z kawalerów, twój dziad chyba odetchnął z ulgą..

Kapitan Dalton z trudem powstrzymał złośliwy uśmiech.

- Miła rodzinka - stwierdził. - Przestaję się dziwić, że ojciec chciał uciec od niej jak najdalej.

- To prawda, że był zupełnie inny - przyznał prawnik. - Jak mówiłem, wdał się w swoją matkę, a nie ojca.

Chciał dodać coś jeszcze, ale przerwały mu odgłosy sprzeczki, dobiegające z kancelarii. Wilkes protestował i wyjaśniał, że pan Chelmsford jest z klientem, ale mężczyzna nie słuchał. Po chwili odepchnął urzędnika i wtargnął do środka. Natychmiast też podszedł do biurka i wbił ponury wzrok w prawnika. Wyglądał na czterdziestkę, ale być może postarzył go hulaszczy tryb życia. W każdym razie wyglądał na hulakę. Miał na sobie kosztowny strój, lecz nosił go

bez należytej dystynkcji. I w ogóle zachowywał się jak lokaj, a nie prawdziwy dżentelmen.

- Ile ma jeszcze trwać ta farsa? - spytał, krzywiąc się złośliwie. - Mam już tego dość, panie Chelmsford. Niech pan lepiej uważa.

Nowo przybyły uniósł do góry dłoń, zaraz ją jednak opuścił, widząc chłodne spojrzenie prawnika. Chelmsford przeistoczył się nagle z miłego, starszego pana w bezlitosnego urzędnika.

- Radzę liczyć się ze słowami, panie Davenport - wycedził chłodno. - Nie dam się zastraszyć. Poszukiwania mają jeszcze trwać sześć miesięcy i radzę w tym czasie ograniczyć wydatki.

Reginald Davenport skurczył się, słysząc te słowa.

- Więc może mógłbym dostać przynajmniej część majątku? - rzekł, zmieniając ton na błagalny. - To są w końcu moje pieniądze.

Wzrok prawnika tylko na moment spoczął na Richardzie.

- Jeszcze nie, panie Davenport! Proszę nie zapominać, że to ja sprawuję pieczę nad całym majątkiem. Jeśli kiedyś go pan otrzyma, to w stanie nienaruszonym.

Reginald wyraźnie spuścił z tonu, wciąż jednak próbował swych sztuczek:

- Oczywiście zdaje sobie pan sprawę, panie Chelmsford, że jeśli zostanę hrabią, natychmiast poszukam sobie innego prawnika.

- W takim przypadku i tak bym sam zrezygnował - rzekł z uśmiechem Chelmsford. - A teraz żegnam pana. Jestem zajęty.

Intruz otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, a potem tylko odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

- Jak się zapewne domyśliłeś, chłopcze, to był twój kuzyn Reginald - rzekł prawnik, patrząc z niesmakiem na drzwi.

- Hm, czy mam więcej tego rodzaju krewnych?

Chelmsford zabrał *sią do zapalania*, wygasłej fajki.

- Nie, nie jest tak źle - zapewnił swego gościa. - Nawet Reginald miewa lepsze *momenty*. *Dopiero* pierwszy raz próbował mnie zastraszyć, co znaczy, że znowu przegrał w karty albo postawił na złego konia. Albo jedno i drugie - dodał po namyśle. - Oczywiście jest samolubny i lubi wydawać pieniądze, ale słynie też z odwagi. Podobno wygrał parę pojedynków. Nie wydaje ci się, że może być groźny?

Kapitan Dalton jedynie wzruszył ramionami.

- To Francuzi byli groźni, kiedy mieliśmy po trzech na jednego - odparł. - Nie, Reginald raczej budzi we mnie litość. Czy można powiedzieć, że jest typowym Davenportem?

W pokoju zapadła cisza. Chelmsford nie chciał zrazić Richarda *do* rodziny, chociaż, z *drugiej* strony, musiał wyznać prawdę.

- Raczej tak - *przyznał* niechętnie. - Ale mam nadzieję, że ty pierwszy zaczniesz zmieniać ten wizerunek. Jednak powinienem ci opowiedzieć choć trochę o majątku, zanim go zobaczysz. Ziemia Wargrave należy teoretycznie do najbogatszych w kraju. Niestety, były mocno zaniedbane przez twojego dziadka. Co więcej, ich część dano pod zastaw, żeby spłacić długi twojego wuja. Obecny dochód i tak nie jest mały, ale można by go łatwo pomnożyć. Myślę, że to byłoby zadanie w sam raz dla ciebie.

- Czy ma pan może szacunkowe dane? - zainteresował się Richard.

Chelmsford skinął głową i wypuścił z ust kłąb dymu.

- Około trzydziestu tysięcy funtów.

- Ile?! - Chyba po raz pierwszy otworzył ze zdziwienia usta.

- Nawet więcej, jeśli udałoby ci się zainwestować w kopalnię węgla kamiennego - powiedział prawnik.

- Nie uwierzysz, ale to właśnie twój ojciec zlecił zbadanie wrzosowisk geologom i okazało się, że jest tam węgiel. Oczywiście twój dziadek to zlekceważył. I tak miał masę pieniędzy.

Richard z trudem przełknął ślinę.

- W czasie walk zawsze zalegali nam z wypłatą żołdu. Liczyli na to, że część ludzi zginie. Musiałem walczyć o to, żeby przekazali po parę funtów rodzinom moich poległych żołnierzy. - Młodzieniec zadumał się na moment nad niesprawiedliwościami świata. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co znaczy trzydzieści tysięcy funtów.

- Twój wujek Rodrick nie tylko nie miał z tym najmniejszych problemów, ale jeszcze potrafił wydać te wszystkie pieniądze w ciągu paru miesięcy.

- Nic dziwnego, że nasz kraj jest niespokojny, skoro rządzą nim tacy ludzie - rzekł smutno kapitan Dalton.

- Myślałem, że walczyłeś z republikańskimi ideami - zauważył, wyraźnie zaskoczony Chelmsford.

Richard pokręcił głową.

- Walczyłem o to, żeby Francuzi nie stali się potęgą. Przecież mogli zagrozić Anglii... - urwał gwałtownie. - Zresztą, jaka to republika! Przecież Napoleon koronował się na cesarza! Zwykli ludzie cierpią tam tak samo, jak i u nas. Tyle, że mówią do siebie per „obywatelu”.

Stary prawnik patrzył przez chwilę na swojego gościa i kiwał głową. Fajka znowu mu wygasła, ale nie zwracał na to uwagi.

- Jeśli chcesz ulżyć doli zwykłych ludzi, powinienś przyjąć tytuł i majątek - rzekł w końcu. - Twoje powodzenie będzie ich szczęściem. Musisz się tylko nauczyć zarządzania i być ostrożnym przez pierwszych parę lat. Potem już sam będziesz wiedział, co robić. Jeśli nie - wskazał drzwi, za którymi zniknął intruz - Reggie Davenport roztrwoni wszystko.

- Ale nic nie wiem o uprawianiu ziemi - bronił się Richard. - Przez całe życie zarabiałem tylko żołnierką.

- Jeśli byłeś dobrym dowódcą, na pewno sobie poradzisz - zapewnił go Chelmsford. - Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Najlepiej pojedź ze mną do Wargrave i zobacz sam, jak to wygląda.

Richard wstał ze swego miejsca i podszedł do prawnika, żeby się pożegnać. W zasadzie nic go nie wiązało z Londynem. Mógł jechać choćby w tej chwili.

- Dobrze, ale na krótko - zgodził się. - Kiedy możemy wyruszyć?

Chelmsford ujął jego dłoń w swoją prawicę.

- Wybierałem się tam za trzy tygodnie, ale mogę przyspieszyć wyjazd, jeśli ci na tym zależy, mój chłopcze.

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. Może będzie mi wówczas łatwiej się poruszać - dodał, spoglądając na swoją nogę.

- Zapewne, zapewne - powtarzał radośnie prawnik. - Zobaczysz, nie pożałujesz tej decyzji.

- Mam nadzieję - rzucił jeszcze od drzwi kapitan.

- Caroline! Caroline! To już się stało! Gideon rozmawiał z rodzicami i tata się zgodził! Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie! O, dzień dobry, ciociu - dodała Ginę na widok uśmiechniętej Jessiki.

- Przyjmij najszczęśliwsze gratulacje - powiedziała pani Sterling.

Caroline rzuciła się przyrodniej siostrze na szyję.

- Ode mnie też! - krzyknęła, ściskając ją mocno. - Co prawda, nie można powiedzieć, że nikt się tego nie spodziewał. Jednak najważniejsze, że to już nastąpiło. Pewnie rozmawiał z tobą wcześniej, co? Ostatnio miałaś minę psiaka, który zakopał sobie kość.

Ginie chciało się śmiać z tego porównania. Nigdy w życiu nie była aż tak radosna.

- Co innego wiedzieć, a co innego mieć to już za sobą! - zagrzała.

- Czy macie już jakieś plany? - zapytała, jak zwykle praktyczna, Jessica.

- Tak, mamy we trójkę z mamą wybrać się do Lincolnshire, żeby odwiedzić Fallsworthych - odparła roześmiana Gina. - Jeśli pojedziemy pod koniec miesiąca, to może będziemy się mogli pobrać w sierpniu. W Great Chisbury jest wtedy mnóstwo kwiatów. Oczywiście będziesz moją druhną - zwróciła się do siostry. - A ty, ciociu, koniecznie zaprojektujesz dla mnie jakąś ładną suknię ślubną!

Giną spojrzała z zazdrością na przyrodziewek ciotki. Stanowił on zgrabną całość, której najważniejszą część stanowiła rdzawa, wspaniale harmonizująca z jej włosami, suknia. Jessica słynęła z tego, że sama projektowała swoje stroje. Ten też musiał wyjść spod jej ręki. Giną nie widziała jeszcze u nikogo takiej sukni. Bufiaste rękawy były ściągnięte czarnymi wstąż-

kami tuż przy nadgarstkach. Krój podkreślał wspinałą figurę ciotki, a orientalne dodatki czyniły całość bardziej tajemniczą. Pewnie niedługo okaże się, że jest to najnowszy trend w modzie, ale wówczas Jessica będzie nosiła już coś innego. Na szczęście ciotka lubiła dzielić się swoimi umiejętnościami.

- Naturalnie, moja droga - zwróciła się do Giny. - Z całą pewnością znajdziemy dla ciebie coś odpowiedniego.

Giną była tak szczęśliwa, że musiała ją jeszcze raz wyściskać.

- Och, dziękuję! Dziękuję! Mam nadzieję, że przyjedziesz *na* ślub, ciociu. Przecież będziesz miała blisko od posiadłości Sterlingów. Przy okazji będziesz mogła zająć się mamą, chociaż... - dziewczyna urwała, a na jej ustach pojawił się dwuznaczny uśmiešek - być może będziesz musiała pomóc przy ślubie Caroline.

Caroline, która właśnie wyciągała lutnię z komody, obróciła się w jej stronę.

- Nie bądź niemądra! - zganiła siostrę. - Powiedz lepiej, jaką muzykę będziesz chciała na ślub? - Przyśiadła na krześle i przebiegła palcami po strunach lutni. - Czy coś dramatycznego, jak to? - Zagrała pierwszy, niezwykle podniosły fragment. - Czy może coś lżejszego, takiego jak walc? - W pokoju zawirowały miłe, taneczne nuty. - A *może coś* takiego? - zagrała popularną myśliwską piosenkę.

Giną ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Wszystko, byle nie polowanie - poprosiła. - Obawiam się, że aluzja będzie wtedy zbyt czytelna. A nie chciałabym, żeby Gideon myślał, że jest zwierzyną.

Jessica westchnęła słysząc te słowa.



- W takich przypadkach wszyscy myślą raczej, że są myśliwymi.

- Poza Caroline! - podchwyciła szybko Giną. - Ucieka przed baronem niczym najprawdziwsza łania.

- Daj spokój, Gino! Lord Radford wcale nie chce się ze mną ożenić - protestowała zapłoniona siostra.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby poprosił tatę o twoją rękę - odparowała Giną. - Przecież przychodzi do nas codziennie. I tańczył z tobą na dwóch ostatnich balach. Pytałam panią Darrow. Podobno w ogóle nie bywa na innych przyjęciach.

Zasmucona Caroline odstawiła lutnię. Przez ostatnie dni rzeczywiście nie mogła uwolnić się od barona. Miała wrażenie, że wciąż jest przy niej. Zjawiał się jak cień i zaczynał prawić jej komplementy, chociaż starała się nie dawać mu ku temu powodów. Zaczęła się go bać. Jego diaboliczny obraz prześladował ją w snach.

Co gorsza, uwaga jaką jej poświęcał, intrygowała też innych. Połowa londyńskich dandysów chciała sprawdzić, czym przyciągnęła lorda Radforda. Kobiety zaczęły jej zazdrościć. Po raz pierwszy zauważyła, jak jest nieprzyjemnie, gdy nagłe cichły przy niej wszelkie rozmowy.

Z dnia na dzień stała się popularna. Wbrew swojej woli i naturalnym skłonnościom.

- Sama nie wiem, o co mu chodzi, Gino - rzekła z westchnieniem. - Ty przynajmniej wiesz, że Gideon cię kocha. A baron... - urwała i zamyśliła się na chwilę. - Nie potrafię w nim odnaleźć żadnych ludzkich uczuć. Mam nawet wrażenie, że niezbyt mu się podobam. Zachowuje się tak, jakby te wszystkie odwiedziny były jakimś... - szukała odpowiedniego słowa - obowiązkiem.

Jessica zmarszczyła brwi, słysząc to słowo.

- Może ci się tylko tak wydaje - rzekła z nadzieją. - Niektórzy mężczyźni nie lubią okazywać swoich uczuć. Zwłaszcza ci, którzy mają jakąś władzę.

- A *może chce po prostu* wzbudzić zazdrość kórejś ze swoich kochanek - Gina próbowała pocieszyć siostrę. - W każdym razie na pewno nie chodzi mu o nasze pieniądze. A gdyby chciał poflirtować, mógłby znaleźć sobie kogoś odpowiedniejszego.

Caroline rozchmurzyła się nieco i z wdzięcznością spojrzała na siostrę.

- Wiesz, Gino, że możesz mieć rację - rzekła, marszcząc czoło. - Już kilka pań powiedziało mi, oczywiście w sekrecie, że nie jestem w typie jego lordowskiej mości. To moja jedyna pociecha.

Siostra potrząsnęła z żalem głową.

- Prawdę mówiąc, wcale cię nie rozumiem. Trzy czwarte kobiet w Londynie wiele by zrobiło, żeby znaleźć się na twoim miejscu. A ty zachowujesz się tak, jakby cię spotkało jakieś nieszczęście. Przecież baron jest miły, uprzejmy i niewiarygodnie bogaty. Więc czego się boisz?

Caroline "wzruszyła ramionami.

- To trudno wyjaśnić - mruknęła, bardziej do siebie niż do Giny. - Sama jego obecność sprawia, że mam ochotę uciec. Wydaje mi się zbyt potężny. Poza tym, mam wrażenie, że ukrywa jakąś tajemnicę, a ja wcale nie chcę jej poznać.

Jessica nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Kiedyś widziała w Hiszpanii klatkę, w której znajdował się lew z jagnięciem. Wszyscy mówili o tym, jaki to niezwykle miły widok, a ona wyobrażała sobie, jak musi się czuć biedna owieczka. Później dowiedziała

się, że lew w którymś momencie po prostu zjada biedne zwierzątko, a wtedy dostaje kolejne.

Niewiele wiedziała o baronie, ale odniosła wrażenie, że może być takim lwem. W takim przypadku obawy Caroline były w pełni uzasadnione. Może jednak jej siostrzenicy brakowało doświadczenia z mężczyznami i stąd brały się wszystkie problemy?

- Wiesz, Caro, baronowi musi chyba na tobie zależeć - zaczęła ostrożnie. - Przecież inaczej nie adorowałyby cię tak ostentacyjnie. Zwłaszcza, że, jak rozumiem, nie ma z tobą łatwego życia.

- Ja mu nie każę wciąż do nas przychodzić!

- Może pokochał w tobie właśnie to, czego mu brakuje - ciągnęła Jessica, nie zważając na protesty. - Łagodność, spokój... Wiesz, przeciwieństwa często się przyciągają.

- Przeciwieństwa może tak, ale woda i ogień nigdy - powiedziała z mocą Caroline i ponownie sięgnęła po lutnię.

Po chwili pokój napełniły niespokojne, gwałtowne dźwięki, które Jessice przypominały uciekające przed lwem jagniątko.

## 5

Lord Radford dopiero przy portu rozpoczął rozmowę na temat swoich zalotów. George pogodził się już z tym, że przegra zakład. Minał mu nawet apetyt na łososie. Pozostał tylko niesmak związany z samą istotą ich umowy.

- Wiesz *co*, Jason, *to jednak nie* był najlepszy pomysł z tym ciągnięciem losów - zauważył. - W ten sposób nie wybiera się żony.

Baron, który właśnie sprawdzał klarowność wina, spojrzął na niego zza kieliszka.

- Czy mnie słuch myli, czy też chcesz odwołać zakład? - zapytał kpiąco. - A może boisz się przegranej, co?

George Fitzwilliam machnął nerwowo lewą ręką.

- Nie, nie chodzi mi o te łowiska. Chętnie i tak sceduję na ciebie moje prawa. Tylko... - urwał i w zamyśleniu spojrzął na przyjaciela - kiedy was widzę razem, odnoszę takie wrażenie, jakbyście właśnie wracali z pogrzebu ukochanego wujka! I w dodatku przed chwilą dowiedzieliście się, że nic wam nie zapisał! Nie, Jason! Nie chcę, żebyście oboje byli nieszczęśliwi do końca życia. Małżeństwo to poważna sprawa.

- Zgadzam się, mój drogi. A ja w dodatku przyrzekłem ciotce, że pozna niedługo nazwisko mojej narzeczonej. - Lord Radford rozłożył ręce, bacząc przy

tym, żeby nie rozlać porto. - Jak widzisz, jestem w sytuacji bez wyjścia.

Przerwał na chwilę, żeby napić się wina. Smakowało doskonale, a jego czerwona, klarowna barwa cieszyła oczy.

- Oczywiście, panna Hanscombe w zupełności mi odpowiada - podjął po chwili. - Co prawda jest w niej coś... dziwnego, ale myślę, że będzie dobrą żoną. Chcę jutro porozmawiać o tym z jej ojcem. Tak swoją drogą, chyba zaproszę ich wszystkich do siebie do Wildehaven. Sezon już się przecież kończy, trzeba tylko kupić Caroline jakieś nowe stroje. Tak, to dobry pomysł - stwierdził zdecydowanie i wstał ze swego fotela. - A teraz wybac, ale muszę cię opuścić. Obiecałem odebrać narzeczoną z wieczorku muzycznego u lady Beechwood.

George natychmiast poszedł w jego ślady.

- Ja też pojadę - powiedział. - Powinienem mieć gdzie tutaj zaproszenie. Chcę zobaczyć, jak ci pójdzie.

Kamienica Beechwoodów leżała nieopodal, dlatego dotarli tam w ciągu paru minut. Od razu też stało się jasne, że są ostatnimi gośćmi. W holu nie było nikogo poza służbą. Nawet gdyby nie znali domu, bez trudu odnaleźliby drogę, gdyż z salonu dobiegały do nich jakieś nieziemskie dźwięki. Baron od razu rozpoznał głos panny Smythe-Foot zmagającej się z jedną z arii Mozarta. Im byli bliżej, tym większą mieli ochotę się wycofać. Podążali jednak wytrwale w kierunku jęków i wrzasków. Ta wytrwałość została w końcu nagrodzona, ponieważ aria zakończyła się wreszcie miaukliwym *crescendo*.

Wreszcie nastąpiła tak pożądana dla uszu przerwa. Lord Radford rozglądał się dookoła, chcąc odnaleźć

Caroline, o której nawykł już myśleć „moja narzeczona”. Wreszcie ją spostrzegł, *choć* nie było *to* łatwe. Chyba po raz pierwszy pomyślał, że dziewczyna może specjalnie się tak ubierać, żeby odwrócić od siebie uwagę. Szybko jednak o tym zapomniał i natychmiast do niej podszedł.

Szukała właśnie czegoś w swojej torebce i nie zauważyła jego ukłonu. Drgnęła dopiero, kiedy usłyszała jego głos:

- Dobry wieczór, panno Hanscombe. Jak się pani podobały występy? Pamiętam, że wspominała pani o swoim afekcie do muzyki.

Caroline uniosła główkę i spojrzała mu twardo w oczy.

- Nie wydaje mi się, żeby to wycie można było nazywać muzyką - rzekła śmiało. - Dobrze, że nie *mógł* tego słyszeć sam Mozart, inaczej pewnie umarłby ze wstydu.

Jason posłał jej promienny uśmiech. Więc jednak Caroline potrafiła myśleć krytycznie! To był, oczywiście, dobry znak.

- Najzupełniej się z panią zgadzam - zadeklarował. - Zresztą, prawdę mówiąc, nie przepadam za śpiewem. Zawsze wydawał mi się pretensjonalny. Co innego muzyka instrumentalna.

Panna Hanscombe zmarszczyła noski i potrząsnęła lokami tak, że spadły jej aż na oczy.

- Nie, nie, to nie ma znaczenia. Muzyka jest tylko jedna i może być albo dobra, albo zła. Musi jednak współgrać z naszymi wewnętrznymi odczuciami, ponieważ inaczej zamienia się w żałosny... - urwała nagle i spłoszona zerknęła na interlokutora. - O, przepraszam. Nie powinnam być tak pochopna w swoich

ocenach. Mam nadzieję, że panna Smythe-Foot ma jakąś przyjemność z tego, że śpiewa... - Koniec zdania powinien brzmieć: „bo ja żadnej”, ale panna Hanscombe już tego nie powiedziała.

Baron patrzył na *jej* drobną figurkę, zafascynowany nagłą transformacją. Przez moment widział przed sobą prawdziwą piękność, która nagle skryła się za zasłoną przeciętności. Kim jest, do licha, ta Caroline? I dlaczego tak trudno mu się z nią porozumieć? Jason sam nie interesował się specjalnie muzyką, ale cieszył się, że rozpala ona jego wybrankę. Do tej pory myślał, że nie stać jej na żadną pasję.

- Jest pani dla niej stanowczo zbyt łagodna - stwierdził. - Może przejdziemy do sali jadalnej, żeby się czegoś napić?

Caroline po raz pierwszy przyjęła z uśmiechem jego ramię. Może jednak nie będzie tak źle? Może jakoś uda im się porozumieć?

Następnego ranka Caroline zasiadła do biurka nucąc coś pod nosem. Nigdy wcześniej nie czuła się tak odprężona po spotkaniu z baronem. W dalszym ciągu nie wiedziała, o co mu chodzi, jednak zaczęło jej świtać, że być może za jakiś czas zostaną przyjaciółmi.

Zaczęła pisać list do swego nauczyciela, pana Ferrante, do Wiltshire. Nie chciała tego zrobić wcześniej, gdyż wiedziała, że Włoch wyczuwa wszelkie jej nastroje, a za bardzo go lubiła, żeby obarczać go jeszcze swoimi zmartwieniami.

Caroline uśmiechnęła się, wspominając staruszka. Poznała go na pensji, w której pobierała nauki. Zanim go zobaczyła, dobiegły do niej te "wszystkie cu-

downe dźwięki i już wtedy wiedziała, że pokocha muzykę. Inne przedmioty *jej nie* interesowały. Nie lubiła też samej pensji w Chippenham, ponieważ ze względu na chorobliwą nieśmiałość, stała się przedmiotem żartów i drwin. Jednak lekcje muzyki stanowiły rekompensatę za wszystkie przykrości. Męczyło ją tylko to, że tak mało robią i tak wolno posuwają się do przodu.

Pewnego dnia zakradła się do muzycznego pokoju, nie bardzo wiedząc po co. Oszołomiła ją świadomość, że ma do dyspozycji fortepian i lutnię. Usiadła do fortepianu i wówczas jej wzrok padł na nuty. Niestety, nie umiała ich czytać. Czuła, że stanowią zamknięty dla niej świat i bardzo się zasmuciła.

Jednak, po jakimś czasie, uderzyła w pierwszy klawisz fortepianu, a potem w drugi i trzeci. Czyste dźwięki zaczęły się w jej głowie układać w muzykę. Po sprawdzeniu parę razy wszystkich klawiszy, umiała już zagrać swój ulubiony „Zielony strój”.

Nawet nie zauważyła, że do pokoju wszedł pan Ferrante, który przyglądał się figurce przy instrumencie. Później dowiedziała się, że zachwycił go jej czysty głos i zapamiętanie, z jakim grała ludową piosenkę. Sama muzyka z pewnością nie była zachwycająca. Grała przecież po raz pierwszy.

- No i co, *bambina* chciałybyś nauczyć się grać na fortepianie? - zapytał w pewnym momencie pan Ferrante.

Zwykle nieśmiała Caroline skinęła pewnie główką.

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie - odparła.

Dodatkowe lekcje były płatne, ale lady Hanscombe pozwoliła po namyśle na tę ekstrawagancję. Ponieważ nauczyciel zapewnił ją, że *ośmioletnia Caroline*



ma duży talent, uznała, że będzie mogła uczyć gry młodsze rodzeństwo, co zaoszczędzi jej w przyszłości dalszych wydatków.

W domu pana Ferrante spędziła najszcześniejsze chwile swojego dzieciństwa. Od razu też stało się jasne, że dysponuje olbrzymimi uzdolnieniami i doskonałym słuchem. Kiedy skończyła dwanaście lat, okazało się też, że potrafi komponować. Dźwięki same układały się w jej głowie w większe całości. Musiała tylko nauczyć się odpowiedniego zapisu, co nie było trudne przy prostych formach, ale bardzo skomplikowane przy koncertach czy fugach. Jednak z pomocą swego nauczyciela pokonała "wszelkie trudności.

Trzeba zresztą przyznać, że Włoch bardzo się angażował w jej edukację. Jako polityczny uchodźca czuł się nieszczęśliwy w tym zimnym, nieprzyjaznym kraju. Zawsze marzył o tym, żeby wrócić do słonecznej Italii. Spotkania z Caroline dały mu dużo szczęścia i pogody. Ta *bambina*, jak ją nazywał, wydawała się być darem od Boga, którego nie miał prawa zmarnować. Jego niepozorna żona, która nie mogła przeboleć tego, iż ich dorosłe dzieci zostały w ojczyźnie, również traktowała Caroline jak własną córkę i miała dla niej zawsze coś słodkiego w kuchni.

Stary nauczyciel żałował tylko, że Caroline jest kobietą i z urodzenia arystokratką. Jako mężczyzna mogłaby zrobić wspaniałą karierę. Zdarzało się "wprawdzie, że nawet kobiety występowały przed publicznością, ale nikt dobrze urodzony nie mógł sobie pozwolić na taki skandal. Zostawały jej więc rodzinne przyjęcia i muzyczne wieczorki.

Na szczęście pan Ferrante "wierzył w to, że talent stanowi sam dla siebie wystarczającą nagrodę. Dłate-

go uczył ją z coraz większą pasją, tak że potrafiła grać na lutni, skrzypcach, harfie i flecie- Umiała też pięknie śpiewać i była już autorką sporego zbioru kompozycji. Nie chciała jednak niczego wydawać drukiem, bo bała się, że jeśli jej umiejętności wyjdą na jaw, najbliższa rodzina zabroni jej zajmowania się tak mało kobiecą sztuką. Pan Ferrante, który wiedział o jej obawach, nie naciskał, chociaż często zdarzało mu się kręcić głową nad jej kompozycjami.

- Nie, tak nie można *bambina* - mawiał, wciąż zwracając się do niej jak do dziecka. - To jest *magnified Magnifico!*

Kończyła właśnie list, kiedy do jej pokoju zastukała jedna ze służących.

- Panienko! Ojciec prosi panienkę do siebie do gabinetu - powiedziała i szybko zeszła na dół.

Caroline poczuła ukłucie strachu. Ręka jej zdrzątała i na papierze pojawił się kleks. Struchlała odsunęła od siebie list i odłożyła pióro. Największe przerażenie wzbudziło w niej to, że właśnie ojciec chciał z nią rozmawiać. Nigdy przecież tego nie robił. Czyżby znaczyło to, że...?

Dziewczyna nie chciała myśleć teraz o najgorszym. Wstała i wolno ruszyła do gabinetu ojca. Szła niczym na ścieżce, ale w końcu dotarła do dębowych drzwi. Zastukała z nadzieją, że nikt jej nie odpowie.

- Proszę, wejdz, Caroline - dobiegł do niej głos ojca.

Po wejściu próbowała się nawet uśmiechnąć, ale cień uśmiechu zniknął z jej warg, kiedy w środku dostrzegła również macochę. To mogło znaczyć tylko jedno. Rodzice wyglądali na bardzo zadowolonych,

a ojciec zwrócił się do niej tonem, który uważał za pewne za miły i przyjazny:

- Gratuluję, moja panno - zaczął sir Alfred. - Nie spodziewałem się, że wykażesz tyle sprytu. Dziś rano poprosił o twoją rękę baron Radford i wkrótce zostaniesz jego żoną.

Żadnych pytań. Żadnych wątpliwości. Po prostu ma wyjść za mąż za tego strasznego człowieka i tyle!

Caroline złapała powietrze, jakby bała się, że za chwilę go jej zabraknie.

- Ale... ja go nie kocham - chyba po raz pierwszy w życiu próbowała sprzeciwić się ojcu. Nie... nie przyjmę jego oświadczyn.

Baronet nagle poczerwieniał z gniewu, a jego twarz wykrzywiła się w złym grymasie.

- Nie będziemy tolerować żadnych fochów, moja panno! - krzyknął. - Masz szczęście, że ktoś cię "w ogóle chce!

Pobladła Caroline czuła, że drży na całym ciele. Postanowiła jednak się bronić:

- Mam już dwadzieścia jeden lat - zaczęła, zaciskając dłonie. - Sama mogę o sobie decydować. Opuść dom i będę uczyć...

Sir Alfred dopadł do niej jednym skokiem. Chwyciwszy za ramię, potrząsnął nią niczym delikatną gałązką.

- Ty mała niewdzięcznico! - syknął. - Jeśli się nie zgodzisz, to szybko tego pożałujesz!

Lady Hanscombe dopiero w tym momencie wstała ze swego miejsca.

- Przestań, Alfredzie! Nie ma powodów, żeby się tak zachowywać! - rzekła, patrząc chłodno na męża.

- Pozwól, że najpierw z nią porozmawiam i wyjaśnię całą sytuację.

Sir Alfred puścił dziewczynę i dysząc ciężko wrócił do swojego biurka.

- Dobrze. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. - Uderzył otwartą dłonią w blat. - Jutro ma być gotowa na przyjęcie oświadczyn lorda Radforda!

Jeszcze przez moment patrzył na nie, nie bardzo wiedząc, co robić. Gabinet był jego azylem. Tu właśnie chował się przed rodziną. Jednak teraz postanowił go opuścić i trzasnąwszy drzwiami w ogóle wyszedł z domu.

Louisa została sama ze szlochającą Caroline. Parę chwil zastanawiała się, od czego zacząć, a następnie podeszła do pasierbicy. Wiedziała, że Caroline tylko wtedy decyduje się na sprzeciw, kiedy sprawa jest naprawdę poważna. Jednak z drugiej strony małżeństwo z Radfordem było ratunkiem dla całej rodziny.

- Usiądź i uspokój się, moja droga - zwróciła się w końcu do Caroline. - Proszę, tu jest chusteczka.

Dziewczyna przysiadła na *iotelu* i zaczęła wycierać oczy. Po paru minutach w gabinecie zapanowała cisza.

- Więc postanowiłaś nie wychodzić za mąż? - zainteresowała się lady Hanscombe. - Czy myślisz, że to w ogóle możliwe?

- Nie... nie wiem - odparła ze ściśniętym gardłem Caroline.

Starsza pani pokiwała głową.

- To ja ci powiem. Tak, możliwe. Ale zawsze byłabyś na czyjejs łasce. Rodzina uznałaby cię za dziwaczkę.

Caroline chciała odpowiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu, ale macocha powstrzymała ją gestem,

- Pomyśl raczej o tym, że małżeństwo da ci niezależność - podjęła. - To prawda, że baron jest od cie-

bie trochę starszy, ale przecież to bardzo przystojny mężczyzna. A w dodatku, jaki bogaty.

Dziewczyna znowu wykonała gest, jakby chciała się sprzeciwić, ale lady Hanscombe ponownie ją uprzedziła:

- Wiem, wiem, że cię to nie interesuje. Masz przecież jedzenie i stroje. Niestety, muszę cię poinformować o tym, że sytuacja finansowa naszej rodziny jest naprawdę fatalna. Czy, na przykład, zastanawiałas się, dlaczego przyjechałyście do Londynu tylko dwie z Ginią, a reszta dzieci została w Great Chisbury?

Caroline zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie jakąś dawną rozmowę.

- Czy tato nie mówił, że będą tam miały dużo powietrza i miejsca do zabawy?

Lady Hanscombe zaśmiała się krótko.

- To tylko wymówka. Po prostu nie chcieliśmy informować was o problemach finansowych. Jednak, jak słusznie zauważyłaś, jesteś już dorosła i wobec tego, powinnaś wiedzieć wszystko. A prawda jest taka, że musicie obie dobrze wyjść za mąż. Od tego zależy przyszłość waszego młodszego rodzeństwa.

Caroline westchnęła ciężko.

- A czy nie możemy skorzystać z pieniędzy mojej mamy? Jestem teraz dorosła i mogę nimi dysponować.

- To nie są poważne sumy - macocha niemal wpadła jej w słowo. Wołała w ogóle nie poruszać tego tematu.

- Ale przecież Ginią znalazła odpowiedniego męża. Wszyscy tak mówią. Czy to nie wystarczy?

Starsza pani wołała nie patrzeć w błagające niebieskie oczy.

- No cóż, to oczywiście odpowiedni kandydat. Pa-

miętaj jednak, że na razie nie ma dużego majątku. Co prawda jest najstarszym synem, ale jego ojciec jest stosunkowo młody i cieszy się dobrym zdrowiem... Prawdę mówiąc, liczyliśmy głównie na to, że przyjmie Ginę bez posagu, co rzeczywiście się stało. Ale... - Lady Hanscombe postanowiła zagrać swoim atutowym asem - ale nie wszystko jeszcze jest pewne. Jeśli nie przyjmiesz oświadczyn barona, być może będziemy musieli zerwać te zaręczyny. Ostatnio sir Wilbur Hatchett znowu dowiadywał się o Ginę. Ojciec twierdzi, że jest gotów w każdej chwili się z nią ożenić. Zaproponował mu zresztą niezwykle korzystny układ...

Caroline aż zadrżała na myśl o sir Wilburze. Giną go nie znosiła i często mówiła o nim „ten stary ropuch”, kiedy nikogo z rodziców nie było w pobliżu.

- Oczywiście propozycja barona Hatchetta jest korzystniejsza - dodała zaraz lady Hanscombe, widząc, że jej słowa wywołały odpowiedni efekt. - Weź pod uwagę to, że Giną nie jest jeszcze pełnoletnia i będzie musiała posłuchać ojca.

Dziewczyna pochyliła głowę w geście rezygnacji. Pamiętała radość Giny i czułe spojrzenia jej narzeczonego. Nie, nie mogła stanąć na drodze ich szczęściu. Poczwała nagle, że nie ma wyjścia i musi się podporządkować wyrokowi losu.

- Dobrze - zgodziła się z *rozpaczą*. - Przyjmę jego oświadczenia.

Lady Hanscombe z uśmiechem skinęła głową.

- Wiedziałam, że zrobisz to, *co do* ciebie należy - powiedziała. - Nie bój się. Jestem przekonana, że lord Radford to znakomity materiał na męża i już niedługo sama się będziesz śmiała ze swoich obaw.

Caroline wcale tak nie sądziła, nie potrafiła jednak

wyjaśnić, skąd biorą się jej zastrzeżenia dotyczące barona. Wstała więc i podała macosze chusteczkę.

- Czy mogę już iść? - spytała.

A następnie, nie czekając na pozwolenie, szybko udała się do swego pokoju.

Tego samego wieczoru Jessica zapukała energicznie do drzwi kamienicy przy Adam Street. Przyciągnął ją tutaj krótki liścik skreślony przez Ginę: „Ciociu, przyjdź koniecznie. Caroline nieszczęśliwa.” Dalej następował podpis i nic więcej, żadnych wyjaśnień. Znać było, że list napisano w pośpiechu.

Lady Sterling oddała pelerynę lokajowi i właśnie w tym momencie Giną zbiegła z góry. Nic nie mówiąc, wskazała jej przejście do saloniku.

- Giną, co się dzieje? - spytała w końcu Jessica, gdy zamknęły za sobą drzwi. - Co się stało Caroline?!

Dziewczyna rozłożyła ręce i zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Lord Radford poprosił o jej rękę - odparła. - Najpierw tata strasznie na nią krzyczał, potem rozmawiała z nią mama, a potem płakała przez cały dzień w swoim pokoju. Chciałam z nią porozmawiać, ale mnie nie wpuściła - dodała bezradnie.

Jessica westchnęła ciężko.

- Rozumiem.

Nieszczęśliwa Giną potrząsnęła głową.

- Caroline nigdy się tak nie zachowywała - jęknęła. - Jak było jej źle, to grała coś smutnego na fortepianie. A teraz... nic. Tylko płacze.

Ciotka zmarszczyła czoło i odsunęła z niego rudy kosmyk. Już wcześniej czuła, że się na coś zanosi. Nie przypuszczała jednak, że sprawa wyjaśni się tak szyb-

ko. Znacznie lepiej niż Giną rozumiała złożoną sytuację Caroline i domyślała się, że lady Hanscombe użyje wszelkich środków, żeby doprowadzić do tego małżeństwa.

- Dobrze, muszę z nią porozmawiać - stwierdziła i ruszyła na górę.

Giną tylko pokiwała głową, ale została na dole, nie chcąc niepokoić siostry.

Po chwili Jessica zapukała do drzwi siostrzenicy. Nie usłyszawszy wezwania, niezwłocznie nacisnęła klamkę i weszła do środka. Mała, prawie dziecinnie figurka, leżała na łóżku. Nie płakała. Czyżby zasnęła? Jessica podeszła bliżej i spojrzała na pobladłą twarz Caroline. Jej błękitne oczy były otwarte, ale wpatrzone w jakiś niewidzialny punkt.

Ciotka pomachała przed nimi dłonią, a widząc, że Caroline nie reaguje, wzięła ściereczkę i zamoczywszy ją w porcelanowej misce, przyłożyła do czoła dziewczyny.

- Jess? - szepnęła wreszcie Caroline.

Wystarczył moment, żeby siostrzenica przytuliła się do niej mocno i wczepiła palcami w jej suknię. Jessica pogładziła ją łagodnie po głowie,

- Giną powiedziała mi, że masz wyjść za lorda Radforda - zaczęła. - Pamiętaj, że zawsze możesz się nie zgodzić. I zawsze możesz przyjść do mnie po pomoc.

Na te słowa Caroline znowu napłynęły łzy do oczu. A przecież wydawało się, że już się wypłakała do końca.

- Niestety, nie mogę - szepnęła. - Chodzi o pieniądze. Jeśli odmówię, Giną będzie musiała zerwać zaręczyny z Gideonem.

Jessica zakłęta pod nosem. Nigdy nie miała zbyt



dobrej opinii o swoim szwagrze, ale nie sądziła, że posunie się do takiej podłości. Pewnie znaczyło to, że rzeczywiście ma poważne finansowe problemy.

- Baron zgodził się zapłacić za mnie jakąś potwornie wysoką sumę - dodała z goryczą Caroline. - Obawiam się, że dostanie kiepski towar za swoje pieniądze.

Jessica wciąż gładziła ją po głowie. Sytuacja była znacznie bardziej złożona niż jej się na początku wydawało.

- I co dalej? - spytała.

Leżąca dziewczyna wydała z siebie dźwięk, który równie dobrze mógł uchodzić za śmiech, jak i histeryczny jęk.

- Nic. "Wyjdę za niego.

Rudowłosa kobieta na moment zeszywniała. W tych na pozór beznamiętnych słowach dostrzegła dno rozpacz i frustracji. Nie wiedziała jednak, jak temu zaradzić.

- No, dobrze - powiedziała z wahaniem - jeśli zdecydowałaś się na to małżeństwo, to może porozmawiamy o samym lordzie. Dlaczego się go boisz? Co ci w nim nie odpowiada?

Tym razem Caroline zwlekała z odpowiedzią. Dopiero po jakimś czasie była w stanie ubrać w słowa swoje myśli:

- W zasadzie nie zrobił mi nic złego. Gdyby nie to nieszczęsne małżeństwo, może z czasem bym go polubiła...

- Więc o co chodzi?

Dziewczyna westchnęła ciężko.

- O to, że baron przypomina mi ojca - odparła.

Jessica nigdy nie spotkała lorda, ale z tego, co sły-

szala, wynikało, że jest dystyngowany i dumny. Sir Alfred, jeśli miał kiedyś dobre maniery, już dawno musiał zastawić je w lombardzie.

- W jakim sensie? - ciągnęła delikatnie przesłuchanie.  
Znowu pauza.

- Jest bardzo władczy. Mówi do mnie tak, jakby mnie kupił. Co zresztą będzie prawdą - zreflektowała się szybko. - Poza tym, wyczuwam w nim jakiś gniew. Mam wrażenie, że wcale mnie nie lubi.

Jessica pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Nie proponuje się małżeństwa komuś, kogo się nie lubi - stwierdziła stanowczo.

Siostrzenica westchnęła i przysunęła się do niej bliżej.

- Być może tata też mnie lubi... na swój sposób. Jak byłem mała, zdarzało się, że nawet do mnie przychodził. Mówił, żebym mu zagrała albo zaśpiewała. - Caroline zadumała się na chwilę. - Ale w czasie tych wizyt często wpadał w gniew. Krzyczał na mnie, czasami bił... A ja nigdy nie wiedziałam, o co mu tak naprawdę chodzi. Rozumiesz, nigdy!

Caroline zaniósła się szlochem. Ciotka przejechała dłonią po jej włosach, a następnie zaczęła gładzić mokre policzki,

- Cii, cichutko.

Caroline uspokoiła się trochę.

- Wcale nie twierdzę, że traktował mnie gorzej niż pozostałe dzieci - dodała też zaraz. - Chłopcy mieli gorzej. Dostawali prawdziwe lanie. Tyle... - głos jej się znowu załamał - tyle, że nie wiedziałam, o co mu chodzi. Inne dzieci potrafiły się bronić, uciekać... A ja nie. Starałam się tylko trzymać od niego z daleka. A teraz *ten*... ten baron - zakończyła mało logicznie, chociaż Jessica wiedziała, co miała na myśli.

Natychmiast też położyła uspokajająco dłoń na drżącym ramieniu dziewczyny.

- Czy jesteś pewna, kochanie, że tu nie chodzi głównie o jego wiek? - spytała. - Może przypomina ci ojca tylko dlatego, że jest znacznie starszy?

- Sama nie wiem - rzekła zdziwiona Caroline. - Nie myślałam o tym. To możliwe, chociaż wyczuwam w nim jakiś gniew...

- Nie sądzę, żeby gniewał się na ciebie - ciotka starała się ją jeszcze bardziej uspokoić. - Wielu ludzi to niespokojne duchy. Coś ich męczy i nie potrafią znaleźć dla siebie miejsca.

Dziewczyna uniosła się lekko na łokciu. Słowa Jessiki wydawały jej się coraz mądrzejsze.

- Tak, tak, coś go męczy.

- A ty nie wiesz, co i dlatego się boisz - podchwyciła natychmiast ciotka. - Zaczynasz wyobrażać sobie różne rzeczy. Pamiętaj, że nasze wyobrażenia są prawie zawsze gorsze od rzeczywistości.

Caroline usiadła nagle na łóżku i spojrzała na nią w napięciu.

- Myślisz, że tak naprawdę nie mam się czego bać, ciociu?!

- Jestem tego pewna - odpowiedziała Jessica, czując, że nie jest do końca szczerą. - Poza tym, pamiętaj, że nie musisz przez całe życie być ofiarą małżeństwa. Zawsze znajdziesz schronienie w moim domu.

Siostrzenica spojrzała jej głęboko w oczy.

- Przyjęłabyś pod swój dach kobietę upadłą? - upewniła się.

- Jeśli mówisz o sobie, to w każdej chwili - odparła Jessica. - Ale obiecaj mi, że spróbujesz pokochać barona. Małżeństwo to bardzo poważna sprawa. Ni-

gdy nie możemy być pewni, jak się rozwiną nasze uczucia.

Na twarzy Caroline pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Chyba pierwszy raz tego feralnego dnia.

- Och, Jess! Jasne, że spróbuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła? - z tymi słowami rzuciła się w ramiona ciotki.

Czuła się teraz lżej i pewniej. Rozmowa zmieniała trochę jej nastawienie do małżeństwa, chociaż, gdyby tylko mogła, na pewno by się na nie nie zgodziła.

- Muszę przemyć twarz - dodała zaraz Caroline, podchodząc do miski. - Pewnie okropnie wyglądam, co?

- Wręcz przerażająco - przyznała ciotka.

Dziewczyna chciała ją najpierw ochlapać wodą, ale tylko zachichotała.

- Jeśli przejmuję się takimi rzeczami, to znaczy, że zaczynam dochodzić do siebie - stwierdziła. - Och, ciociu, jak ja ci się odwdzięczę?

- Możesz przekonać Lindę, że kot nie jest najlepszym materiałem na pianistę - rzuciła lekko Jessica. - Są rzeczy, których nie może znieść nawet najbardziej kochająca matka.

- Może raczej nauczę Wellesleya paru prostych utworów - zaproponowała rozpozgodzona dziewczyna.

Sama *nie* wiedziała, dlaczego jest jej w tej chwili tak radośnie.

- Nie, nie! Wolałabym trochę ciszy.

- Dobrze, załatwione.

Ciotka podeszła do niej raz jeszcze i cmoknęła ją w czoło.

- I życzę powodzenia w zmaganiach z Diabolicznym Baronem - powiedziała.

Siostrzenica wzruszyła ramionami.

- Wiesz, teraz mam nawet wrażenie, że ten baron nie jest taki diaboliczny. Może to była tylko moja wyobraźnia - dodała pomna słów ciotki. - Nie wydaje mi się, żeby miał rogi albo ogon.

- Świetnie! Cieszę się, że odzyskałaś dobry humor. A skoro i tak nie udało ci się odstraszyć zalotnika, może zastanowimy się nad twoim strojem na jutro, co? Musisz pozwolić, żebym przynajmniej raz cię ubrała.

Caroline wyprężyła się słuźbiście.

- Tak jest, pani majorowo - rzuciła.

Jessica miała nadzieję, że baron stanie się być może miłszy i bardziej wrażliwy na potrzeby nieśmiałej dziewczyny, kiedy zamiast Kopciuszka zobaczy księżniczkę. To niemożliwe, żeby był nieczułym potworem. Musi go w końcu poznać i wyrobić sobie o nim własne zdanie. Słyszała zbyt dużo sprzecznych opinii na jego temat, żeby być pewna, że jej ukochaanej Caroline nic nie grozi.

Jason spojrział jeszcze na swoje wyglansowane buty i satynowe spodnie, zanim zastukał do drzwi Hanscombe'ow. Na sobie miał nowy surdut i koszulę, a w bogato marszczonym żabocie połyskiwał wielki rubin. W końcu oświadczył to, jak powiedział mu Fitzwilliam, „poważna sprawa”. Jak dotąd oświadczał się tylko raz i to bez przygotowania. Być może, gdyby był wówczas odpowiednio ubrany, sprawy potoczyłyby się inaczej... A tak, wtedy pod bukiem dostał kosa!

Mimo, iż był teraz znacznie bardziej pewny siebie, zawahał się, kiedy lokaj otworzył drzwi. Wcale nie był pewny tego, czy Caroline go przyjmie. Jej umysł

wydawał mu się coraz większą zagadką. Odniósł "wrażenie, że dziewczyna się maskuje, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Parę razy zaczynał rozmowę na temat swoich dóbr, a kończyło się na tym, że wypytywała go o ładne widoki i rodzaje drzew rosnących w jego lesie. Tak, jakby w ogóle nie interesowała się pieniędzmi.

Lord Radford przeszedł do holu i wręczył lokajowi swoje rękawiczki oraz kapelusz. Następnie poinformował go, że chce się widzieć z panną Hanscombe. Oczywiście wszyscy w domu wiedzieli, po co przyszedł, ale lokaj zadał mu rytualne pytanie, o którą z pańen Hanscombe mu chodzi.

- O pannę Caroline - odparł z uśmiechem baron i ruszył we wskazanym kierunku.

Po chwili znalazł się w pustym salonie. Z ulgą pomyślał, że nie będzie dziś musiał rozmawiać z sir Alfredem, który bez przerwy mu schlebiał, a jednocześnie targował się o córkę tak, jakby była wyścigową kłaczą. W końcu to on się żenił i mógł przecież zażądać posagu, ale było mu w zasadzie wszystko jedno.

Nagle w saloniku pojawiła się blada i cichutka Caroline. Jason natychmiast się do niej uśmiechnął, bojąc się, że zauważyła nieprzyjemny grymas, który zapewne pojawił się na jego twarzy, kiedy myślał o jej ojcu.

- Witam pana, panie baronie - powiedziała i ukłoniła mu się z gracją.

Poruszała się troszkę tak, jak tancerka na linie. Zgrabnie, ale jakby miała świadomość, że w każdej chwili może spaść.

- "Witam, panno Hanscombe. - Odpowiedział jej dworskim ukłonem.

- Proszę spocząć.

Jason usiadł, nie bardzo wiedząc, jak rozpocząć rozmowę na temat małżeństwa. Było mu tym bardziej głupio, że Caroline na pewno zdawała sobie sprawę z celu jego wizyty. Z jej zachowania nie mógł jednak wyczytać, jaką dostanie odpowiedź.

- Dziękuję bardzo. - Chrząknął, stwierdziwszy, że najlepiej od razu zabrać się do rzeczy: - Jak pani zapewne wie, panno Hanscombe, chciałbym o czymś z panią porozmawiać.

Caroline skinęła lekko głową.

- Więc proszę zaczynać.

Baron poczuł się jeszcze mniej pewnie.

- Hm, niewątpliwie zauważyła pani, panno Hanscombe, że nie pozostaję obojętny na pani wdzięki... Pani czar, a także miłe usposobienie sprawiły, że chciałbym spędzić z panią resztę życia. Czy zechce pani zostać moją żoną? - spytał, starannie unikając jej nieprzeniknionych niebieskich oczu.

- Czy rzeczywiście tego właśnie pan sobie życzy, baronie?

Nie spodziewał się tak rzeczowego tonu. Być może Caroline oczekiwała więcej namiętności w jego oświadczeniach. Jednak, choćby go palili i kroili nie potrafiliby wydusić z siebie miłosnych zaklęć. Rzadko kłamał i robił to niechętnie.

- T... tak.

Caroline ponownie skłoniła lekko swą główkę.

- Jestem zaszczycona pańską propozycją. I oczywiście ją przyjmuję, panie baronie - dodała jakby pod przymusem.

- Skoro już jesteśmy zaręczeni, może będzie pani mi mówić po prostu Jason, panno Caroline - zaproponował.

Spojrzała na niego, zaskoczona tym, że w ogóle ma jakieś imię.

- Spróbuję... Jason - wydobyła z siebie z niemałym trudem to słowo. - Oczywiście, możesz mi mówić, Caroline.

Skinął głową w podzięcie.

- To świetnie. Jako prezent zaręczynowy proponuję wizytę u Madame Arlette i wymianę całej garderoby.

Caroline poczuła, że krew nabiegła jej do twarzy. Po raz pierwszy pożałowała tego, że znowu *nie zgodziła* się na pomoc Jessiki. Na co liczyła? Że baron zrezygnuje z oświadczyn, widząc ją w brzydkiej sukni? Miał okazję zobaczyć ją w tak wielu, że pewnie po prostu myśli, iż jego narzeczona ma fatalny gust. Najwyższy czas zacząć pracować na dobrą opinię.

- Dziękuję, pa... Jason - poprawiła się. - Wybacz, ale minie trochę czasu, zanim przyzwyczaję się do twego imienia.

*Ponowne* łaskawe skinienie, które miało oznaczać, że nie ma o to pretensji.

- Poza tym, Caroline, chciałbym cię zaprosić do mojego domu w Wildehaven - ciągnął. - Możemy pojechać pod koniec tygodnia. Dzięki temu moglibyśmy się lepiej poznać przed ślubem. Naturalnie zaproszenie *dotyczy również* twojej matki i *siostry*.

Caroline zastanawiała się przez moment. Potrzebowała przecież kogoś, kto naprawdę mógłby jej pomóc w trudnych chwilach.

- Gina zaręczyła się właśnie z panem Falsworthym i chce się wybrać z matką do Lincolnshire. Czy... czy mogłabym zaprosić moją ciotkę, panią Sterling? Jest wdową i ma córkę, ale Linda to grzeszna dziewczynka...



Spojrzała mu błagalnie w oczy, jakby od tego zależało jej życie. Natomiast Jason tylko wzruszył ramionami. Jedna przyzwoitka warta jest każdej innej. Szczerze mówiąc, nawet wolał, żeby to nie była wścibska i przesadnie ugrzeczniona lady Hanscombe.

- Załatwione - skwitował rzeczowo a następnie przeszedł do kolejnej nurtującej go sprawy: - Chciałbym, żebyśmy się pobrali w sierpniu...

Caroline trochę się speszyła.

- Tak szybko? - zaczęła. - Myślałam, że...

Uniesiona prawica Jasona przerwała wszelkie protesty.

- Jeśli już mamy to zrobić, zróbmy szybko - zacytował.

O dziwo, na ustach Caroline pojawił się lekki uśmiech.

- Nie wydaje mi się, żeby Makbet miał stanowić dla nas najlepszy wzór. Chociaż z drugiej strony, prawdą jest, że doskonale pasował do żony. Tylko ja - rozłożyła ręce w bezradnym geście - nie bardzo nadaję się na lady Makbet.

Lord Radford udał kaszel, chociaż tak naprawdę dławił go śmiech. Z trudem mógł sobie wyobrazić Caroline ze sztyletem albo obmywającą krew z dłoni.

- Źle się wyraziłem. Chciałem po prostu powiedzieć, że nie wierzę w długie narzeczeństwo. - Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić ją po dłoni, ale zaraz ją cofnął. - Już chciałbym, żebyś została lady Radford.

Zapomniał dodać, że "według warunków zakładu, mieli się pobrać w ciągu pół roku.

- Aha, jeszcze jedno - przypomniał sobie. - Moja ciotka, Honoria, będzie chciała wprowadzić cię

do rodziny i pewnie wyda przyjęcie na twoją cześć.

- Honoria? - *powtórzyła*. Caroline, świadoma, że skądś zna to imię.

- Lady Edgeware - uzupełni! Jason.

W oczach dziewczyny pojawił się strach.

- Wi... widziałam ją kiedyś - rzekła drżącym głosem. - To ba... bardzo wyrazista postać.

- Istotnie, prawdziwa diablica - zgodził się pogodnie baron. - Ale ponieważ będzie zadowolona, że się zaręczyłem, to potraktuje cię łagodnie. Nie musisz się przejmować.

Caroline zamyśliła się na chwilę. Ta informacja wiele *jej* wyjaśniła. Cała rodzina barona czekała zapewne aż się w końcu ożeni. Jednak, gdyby sam tego *nie* chciał, na pewno zdołałby stawić *czoła* armii krwiożerczych ciotek. Zapewne uznał więc, że już najwyższy czas spełnić swoją powinność.

Jason wstał, żeby się pożegnać.

- Mam nadzieję, że pojedziesz ze mną do Stanhope'ów - rzekł na koniec. - Przyjadę przed dziewiątą.

Podszedł do niej, żeby się pożegnać, a dziewczyna cofnęła się odruchowo. Baron był tak potężny, że przywodził jej na myśl greckie posągi.

-Jeszcze tylko to. - Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

Caroline odniosła wrażenie, że całuje zimny marmur. Lord Radford wyprostował się i podszedł do drzwi. Skłonił się jej na pożegnanie, a następnie opuścił salon. Gdy została sama, usiadła ciężko na kanapie. Nie miała pojęcia, dlaczego jest aż tak zmęczona.

Jason "wsiadł do powozu i spojrzął na kamienicę przy Adam Street.

- Jedź - rzucił do woźnicy.

Czuł się dziwnie przygnębiony. Kiedy godził się na zakład, wydawało mu się, że bez trudu znajdzie dziewczynę, która zechce sprzedać swoją osobę za tytuł i majątek. Przypuszczał nawet, że jakaś dzierlatka może się w nim zakochać, chociaż miał nadzieję, że tak się nie stanie. Zakochana żona mogłaby mu się za bardzo naprzykrzać.

Niestety, wyglądało na to, że Caroline wcale się nie cieszy z jego oświadczeń. *Gdyby* miał użyć jednego słowa do opisanja jej postawy, określiłby ją krótko: rezygnacja. Bez wątpienia, poczuje się lepiej, kiedy się poznają. Jednak czy kiedykolwiek będzie przynajmniej zadowolona?

## 6

Jessica przeszła szybko przez salon, żeby przywitać się z siostrzenicą. *Caroline* przytuliła się do niej mocniej niż zwykle.

- Czy jesteście już oficjalnie zaręczeni? - spytała bez wstępów.

Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

- Miałaś rację ciociu, wyobrażenia były gorsze od rzeczywistości - przeszła od razu do sedna sprawy. - Lord Radford był bardzo miły, chociaż nie wyglądał na zakochanego. Zdaje się, że rodzina naciskała, żeby się już ożenił i z jakichś powodów wybrał "właśnie mnie. Odniosłam wrażenie, że będzie nam się dobrze układało...

*Caroline* zapłoniła się lekko. Nagle zrozumiała, dlaczego rodzinie barona zależało na małżeństwie i sama myśl o dziecku napełniła ją wstydem.

Ciotka dostrzegła jej zmieszanie i postanowiła zmienić temat:

- Czy dostałaś zaręczynowy prezent? - spytała.

Dziewczyna uniosła nieco głowę.

- Myślę, że będziesz zadowolona - powiedziała z uśmiechem. - Baron chce, żebym wybrała się do *Madame Arlette*.

- Tej słynnej modystki?! - ucieszyła się ciotka. - No, nareszcie!

- Trochę się boję, że uszyje mi coś niestosownego - wyznała Caroline. - Czy pojedziesz ze mną, Jess?

- Oczywiście. Zwłaszcza, że, jak wiesz, sama zajmuję się swoimi strojami i chętnie zobaczę, jak to się robi w wielkim świecie. - Jessica nie kryła podniecenia. - Masz zmienić całą garderobę? - Siostrzenica potwierdziła. - Być może nie doceniasz uczuć barona - stwierdziła po namyśle. - Mój świętej pamięci mąż pozwalał mi kupić najwyżej jedną lub dwie rzeczy.

Jednak Caroline wciąż miała poważną minę.

- Lord Radford nie żywi dla mnie żadnych głębszych uczuć - orzekła stanowczo. - Podejrzewam, że jego wybór to przypadek.

Jessica uścisnęła ją raz jeszcze, chcąc dodać otuchy.

- Nie przejmuj się. I przychodź zawsze, kiedy będziesz chciała się wygadać.

- A właśnie, jest jeszcze jedna sprawa. - Caroline zmarszczyła czoło. - Lord Radford zaprosił mnie do swojej posiadłości w Wildehaven. Gina chce odwiedzić z matką Fallsworthych w Lincolnshire, więc... - Spojrzała z nadzieją w oczy ciotki. - Czy mogłabyś mi towarzyszyć? Tam podobno jest bardzo ładnie, a baron zgodził się również na przyjazd Lindy! - dodała zachęcająco.

Jessica zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią. W zasadzie nic nie trzymało jej w Londynie.

- Chętnie poznam Diabolicznego Barona na jego własnym terenie - odparła w końcu. - Ale chciałabym zostawić Lindę u dziadków. Za bardzo przyzwyczajam się do jej towarzystwa. Zapominam, że już niedługo stanie się młodą damą i zechce wyfrunąć w świat. Krótka rozłąka doskonale nam zrobi.

Caroline przyjęła to do wiadomości, acz niechętnie, ponieważ uwielbiała małą kuzynkę.

- Jak myślisz, czy Radford zgodzi się zboczyć do Gloucestershire, do moich teściów? - spytała jeszcze Jessica. - To przecież niedaleko.

Dziewczyna potrząsnęła głową, szczęśliwa, że może liczyć na towarzystwo ciotki.

- Z całą pewnością - zapewniła. - Baron jest naprawdę bardzo uprzejmy. Zaproponował mi nawet, żebym mówiła mu po imieniu. Niestety, jakoś mi nie wychodzi. Może oswoję się z tym za parę lat...

Ciotka ścisnęła *mocno jej* ramię.

- Nie, kochanie. Na pewno znacznie szybciej - rzekła z uśmiechem. - A tak swoją drogą, kiedy planujecie wyjazd na wieś?

- Pod koniec przyszłego tygodnia - padła odpowiedź.

Rudowłosa dama wzięła się za głowę.

- I dopiero teraz mi to mówisz? Tak szybko? Wobec tego musimy pozałatwiać wszystkie sprawy. - Spojrzała na stojący w salonie wielki zegar, jakby odmierzał dni a nie godziny. - Kiedy planujesz wizytę u modystki?

Siostrzenica wzruszyła ramionami.

- Choćby zaraz - odparła. - Nie mam żadnych planów. Możemy jechać prosto do Madame Arlette!

Jessica zaśmiała się, słysząc te słowa.

- Pozwól przynajmniej, że się ubiorę - poprosiła, podchodząc do drzwi. - Ale zakupy, to dobry pomysł. Przynajmniej się trochę rozerwiesz.

Po kwadransie zasiadły obie w staroświeckim powozie Hanscombów. Po zaręczynach rodzice nie pozwalali *już* Caroline na piesze wycieczki. Musiała wszędzie jeździć powozem w towarzystwie lokaja i służącej.

Zajęte rozmową panie nawet się nie obejrzały, gdy dotarły do Madame Arlette. Przyjęła je jedna ze sprzedawczyń, ale na wieść, że przybyła narzeczona lorda Radforda, z zaplecza wyszła sama właścicielka. Była to niezwykle szykowna i godna kobieta. Nikt nawet nie podejrzewał, że jest córką paryskiej prostytutki. Anglikom wszyscy cudzoziemcy wydawali się podobni i jeśli ktoś twierdzi, że pochodził ze zubożałej arystokracji, wierzyli w to bez zastrzeżeń.

Madame Arlette podpłynęła niczym obłok do Jessiki i skłoniła jej się głęboko.

- Jestem dophawdy zaszczycona, że *enfin* mogę poznać przyszłą lady Hadfohd - zaczęła. - Muszę przyznać, że bahon dokonał właściwy wybóh. Pani jest rres *magnifique*.

Stropiona Jessica chrząknęła lekko i wskazała siostrzenicę.

- To jest przyszła lady Radford - wyjaśniła. - A ja jestem jej ciotką. Nazywam się Sterling po mężu.

- O! - Francuzka otworzyła tylko usta, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Caroline postanowiła jak najszybciej załagodzić sytuację:

- Proszę się nie przejmować, Madame Arlette - zwróciła się do właścicielki. - Przy ciotce nikt nie zwraca na mnie uwagi. Mam jednak nadzieję, że dzięki pani stanę się bardziej widoczna. Mój narzeczony chce, żebym wymieniła całą garderobę. Od czego więc zaczniemy?

Francuzka z ulgą przyjęła te słowa i zaczęła się przyglądać swojej klientce.

- Czy mogłaby pani, *mademoiselle* odgahnąć włosy z twarzy? O tak, dobrze. - Zmarszczyła czoło. -

Phoponuję delikatne, wiosenne kolony, które najlepiej współgają z tego typu uhadą. Leonoho, przynieś mi ten błękitny jedwab, który trzymamy na ostatnim stojaku. Tak, ten dla specjalnych klientów - dodała, widząc wahanie w oczach pomocnicy.

Czekając na materiał, Madame Arlette przyjrzała się jeszcze raz Jessice.

- Muszę przyznać, *madame*, że ma pani piękną suknię. Wspaniały *entourage*. Mogę spytać, która jest pani *modiste*?

*Jessica* uśmiechnęła się lekko.

- Sama projektuję i czasami nawet szyję swoje suknie - wyjaśniła.

- *Tres chic, tres chic* - powtórzyła Madame Arlette, przyglądając się jeszcze dokładniej złoto-zielonej sukni. - Jak to dobrze, że pani nie jest w ten intehes. Inaczej mogłabym mieć kłopoty. Phoszę mi, wobec tego, pomóc...

Jessica poczuła się pochlebiona i z dużym zapałem zabrała się do wybierania odpowiednich materiałów. Zdecydowała też, że Caroline powinna kupić parę gotowych sukien, chociaż większość z nich trzeba było podłożyć i poupinać, ze względu na niezbyt wysoki wzrost przyszłej lady Radford.

Następnie przyszła kolej na dodatki. Madame Arlette pokazała im chyba "wszystko, co miała na składzie. Caroline musiała więc bez przerwy przymierzać różnego rodzaju kapelusze i czepki, a także długie balowe rękawiczki, szarfy i wstążki. Dopiero teraz zaczęło do niej docierać, że bycie modną wiąże się ze sporym wysiłkiem. I zapewne podeszła by do tego pogardliwie, gdyby nie to, że feeria przewijających się przed jej oczami kolorów zaowocowała wkrótce mu-



zycznym tematem. Była to fantazja na temat strojów. Dominujące były skrzypce, czyli ona, które bez przerw próbowały „zakryć” inne instrumenty. Caroline nie zdecydowała jeszcze, jaki będzie koniec tej kompozycji, kiedy modystka oznajmiła:

- *Cest fin.* Na dzisiaj koniec.

- Na dzisiaj?! - jęknęła Caroline.

- Musisz jeszcze przyjść do przymiarki - przypomniała jej ciotka. - A potem niech sam baron oceni rezultaty.

Dziesięć dni później wszystko było gotowe do wyjazdu. Madame Arlette musiała jednak zatrudnić dwie dodatkowe szwaczki, żeby zdążyć na czas z zamówieniem. Natomiast Jessica zdecydowała, że siostrzenica musi się jeszcze wybrać do cyrulika, który tak przystrzygł jej włosy, że nareszcie widać było jej miłą i pełną wdzięku twarz. Następnie zatrudniono nową służącą na potrzeby przyszłej lady Radford. Caroline nie pamiętała, żeby ktokolwiek, kiedykolwiek poświęcał jej tyle uwagi. A w zasadzie nawet nie jej, tylko jej wyglądowi.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Baron, który był zajęty interesami, miał po raz pierwszy zobaczyć narzeczoną po transformacji. Caroline czekała na niego z niepokojem. Z odsłoniętą twarzą i w sukni skrojonej do figury czuła się niemal naga. Jednak to zażenowanie wynagrodził jej widok bezbrzeżnego zdumienia Jasona, gdy w końcu wprowadzono go do salonu.

- Ślicznie wyglądasz, Caroline! - wykrzyknął z zachwytem. - Madame Arlette to prawdziwa czarodziejka!

Nikt nie wiedział tego lepiej od niego. Ubierał przecież u niej kolejne swoje kochanki.

- Dziękuję. - Dygnęła lekko.

Do pełnego szczęścia brakowało mu tylko tego, żeby wykrzesać z siebie nieco więcej energii. Jej marzyzielskie, i co tu ukrywać, dosyć anemiczne usposobienie wciąż go trochę denerwowało.

- Tak się cieszę, że mogę wrócić do Wildehaven - rzekł po paru sekundach. - Czy możemy się pożegnać z twoją rodziną?

Caroline skinęła głową. Państwo Hanscombe już na to czekali w pokoju obok. Wymieniono więc niezbędne uprzejmości i tylko Giną wyściskała mocniej przyrodnią siostrę. Jak wszyscy zakochani zakładała, że stan narzeczeński jest niezwykle szczęśliwy. Zresztą Caroline robiła naprawdę wiele przez ostatnie dni, żeby nie wyprowadzić jej z błędu.

W końcu wyszli na ulicę, gdzie czekała na nią nowa niespodzianka. Wielki podróżny powóz, zaprzężony w dwa niezwyklej urody konie.

- O, jakie śliczne! - zachwyciła się.

Lord Radford spojrzął na nią z uznaniem.

- Siwki? Tak, to wspaniałe zwierzęta. I nareszcie moje - dodał enigmatycznie.

Bagaż Caroline znajdowały się już w powozie. Mogli więc ruszać. Do domu Jessiki dotarli przed dziesiątą. Lord Radford poinformował ją wcześniej, że mają wspaniałe "warunki do podróży. Przez ostatnie dwa dni padał deszcz i na drogach nie powinno być kurzu. Caroline kiwała głową, udając, że go słucha, chociaż myślami była zupełnie gdzie indziej. Zastanawiała się, jak ułoży się jej małżeńskie życie. Baron wydawał jej się już Znacznie mniej diaboliczny, ale wciąż się go trochę bała.

Kiedy służba wpuściła ich do domu ciotki, Caro-

line przeprosiła narzeczonego i szybko udała się na górę. Nie musiała pukać, gdyż drzwi do garderoby Jessiki stały otworem.

- Już jesteście? Zaraz zejść na dół.

Siostrzenica przyjrzała jej się uważnie.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - stwierdziła, oglądając złocisty strój podróżny Jessiki. - I tak władczo. Pewnie specjalnie to zrobiłaś, żeby baron wiedział, że trzeba się z tobą liczyć.

To u Madame Arlette Caroline dowiedziała się, do jak wielu celów może służyć ubranie.

- Właśnie! - roześmiała się Jessica. - Cieszę się, że zrozumiałaś, iż strój może być też bronią, nie tylko tarczą.

- A przy okazji, mogłaś sobie pod tym pretekstem sprawić nową suknię - zauważyła wesoło Caroline. - Chociaż, prawdę mówiąc, zwykle się bez nich obywasz. Czy Linda jest już gotowa?

Jessica usiadła jeszcze na moment przed lustrem.

- Spakowała się jakiś tydzień temu - odparła ze śmiechem. - Żałuje tylko, że nie może zabrać kota. Zajrzyj, proszę, do jej pokoju i zejście na dół. Ja się muszę jeszcze uczesać.

Caroline skinęła głową i wycofała się, wiedząc, że ciotka na pewno nie zrezygnuje z żadnej części toalety. Pozostawało im tylko czekać. Wzięła więc ze sobą małą kuzynkę i ruszyły na dół. W holu natknęły się na zajętą pakowaniem służbę.

- O, to mój kuferek - poinformowała Linda.

- Mam nadzieję, że nie przemycasz w nim Wellesleya! Chodź, poznasz mojego narzeczonego.

Gdy tylko weszły do salonu, Linda dygnęła przed Janem i rzekła z właściwą dzieciom bezpośredniością:

- Miło mi pana poznać, lordzie Radford. Mam nadzieję, że będzie pan dbał o Caroline.

- Ależ, Lindo! - przyszła lady Radford upomniała kuzynkę.

Natomiast Jasonowi od razu spodobało się to dziecko. Mała była po prostu żywą iskierką.

- Od razu widać, że jesteś córką żołnierza, moja panno - powiedział. - Zapewniam, że będę traktował Caroline tak, jak na to zasługuje.

- To dobrze. - Linda podskoczyła do góry, usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Widocznie uważała, że jej Caro zasługuje wyłącznie na dobre traktowanie.

Baron natomiast kucnął przy niej.

- Powiedz, skąd się wzięło twoje imię? Nie znam dziewczynki, która nazywałaby się Linda.

Mała wyprężyła dumnie pierś.

- Mój tata tak mnie nazwał. Linda znaczy po hiszpańsku „śliczna” - dodała dumnie. - Podobno byłam najśliczniejszym niemowlakiem, jakiego widział.

- A czy widział dużo niemowląt? - zaciekawiał się Jason.

Linda stropiła się nieco.

- Nie sądzę - odparła szczerze. - Mama za to mówiła, że wyglądałam jak kawałek tłuczonego mięsa.

Jason wyprostował się i spojrzał z uśmiechem w stronę drzwi.

- Prawdziwie kochająca rodzicielka. Mam wielką ochotę ją poznać.

- To chodźmy do holu. Powinna zaraz zejść - zaproponowała Linda.

Caroline tylko przysłuchiwała się tej rozmowie. Miała wrażenie, że kuzynka znacznie lepiej niż ona dogaduje się z baronem.

Przeszli więc do pustego holu. Służba spakowała już wszystkie kufry i pudła. Stały tu tylko dwa fotele, stolik i wazon z kwiatami.

Po chwili usłyszeli lekkie kroki.

A potem z góry spłynął złocisty obłok, który otulał najpiękniejszą kobietę w Londynie, a może w całej Anglii.

Jessikę.

Jessica podśpiewywała sobie pod nosem, schodząc po schodach. Myślała z przyjemnością o wyjeździe na wieś. Miała już dosyć Londynu i trzymała ją tutaj jedynie dom, który musiała utrzymywać. Tak naprawdę, wolała jednak otwarte przestrzenie, konne przejażdżki i polowania. Sądziła poza tym, że nie będzie jej brakować towarzystwa, ponieważ Radford zechce przedstawić narzeczoną rodzinie i znajomym.

Kiedy zeszła na dół, zmrużyła oczy, ponieważ w holu panował półmrok. Wkrótce dojrzała wysoką, ciemną sylwetkę i uśmiechnęła się najpiękniej jak potrafiła. Mężczyzna zbliżał się do niej, jakby nie był pewny kogo ma przed sobą. Nawet teraz czuła, że emanuje od niego siła i władza.

Nagle zachwiała się, dostrzegłszy, kogo ma przed sobą. Jason Kincaid Diabolicznym Baronem?! Jessica nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zamknęła je i otworzyła, ale wysoka, ciemna postać wciąż się przed nią znajdowała. Jason zachował swoją męską urodę, ale jego rysy stały się twardsze, może dlatego wydawał się starszy niż był w istocie. Patrzył na nią swoimi płonącymi oczami, w których gniew mieszał się z niedowierzaniem. Nie, niczego nie zapomniał. Daleki też był od wybaczenia.

Jessica miała ochotę uciekać, ale zauważyła Lindę i siostrzenicę, które patrzyły na nich, jak gdyby nic się nie stało.

- Co za niespodzianka, Caroline - zaczęła, zdziwiona że w ogóle może wydobyć z siebie głos. - Twój narzeczony, to mój dawny znajomy. Znałam go jeszcze jako Jasona Kincaida, a nie lorda Radforda.

Wyciągnęła do niego dłoń, a baron złożył na niej delikatny pocałunek.

- *Milo* mi cię *widzieć, pani* - przywitał się z kamienną twarzą. - Lordowski tytuł odziedziczyłem po starszym bracie jakieś pięć lat temu. Nic dziwnego, że o tym nie wiedziałaś.

Przez moment miała wrażenie, że w ogóle o niej zapomniał. Po gniewie przyszła pora na obojętność. Oczywiście nie było to logicznie, ale Jessica nie myślała w tej chwili *logicznie*. Najchętniej *znalazłaby się* jak najdalej stąd, ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Musiała nawiązać z Jasonem poprawne stosunki. Przecież po ślubie zostanie jego ciotką!

Caroline patrzyła to na Jessikę, to na barona. Czuła, że dzieje się między nimi coś niedobrego. Lord Radford chyba nie znosił samodzielnych, niezależnych kobiet. *Pewnie* dlatego zachował złe wspomnienia z pierwszego spotkania z ciotką. Czy polubi Jessikę, czy też wspólna wyprawa stanie się dla nich próbą sił?

- To niezwykle, że się już znacie. Panieńskie nazwisko mojej matki brzmiało Westerley. Nie wiedziałaś o tym? - zwróciła się do narzeczonego.

Lord Radford wciąż miał stężałe rysy, ale odpowiedział *jej uprzejmie*:

- Kiedy cię poznałem, kochanie, nie w głowie mi było sprawdzanie twojego pochodzenia.

Jednocześnie klął siebie w duchu za to, że nie poprosił George'a o przynajmniej pobieżne informacje na temat rodziny Caroline. Zadowolił się tylko zapewnieniem, że pochodzi ona z dobrego domu.

W całym towarzystwie jedynie Linda nie zdawała sobie sprawy z napięcia, które wytworzyło się między dorosłymi. Na początku znudzona słuchała rozmowy, a wreszcie podeszła do Jessiki i pociągnęła ją za rękaw.

- Kiedy jedziemy, mamo?

Jason drgnął, jakby się nagle obudził.

- Właśnie, powinniśmy już ruszać - zauważył.

- Tak, oczywiście - potwierdziła Jessica. - Lindo, włóż jeszcze szal. Kiedy wyjedziemy z Londynu, zrobi się chłodniej.

Mała od razu posłuchała polecenia. Była szczęśliwa, że dorośli są zajęci czym innym i nikt nie zwraca uwagi na jej pleciony koszyk z wieczkiem. Po paru minutach opuścili we czwórkę dom i zajęli swoje miejsca. Bagaze ciotki miały jechać oddzielnym pociągiem, więc w zasadzie powinno być im dosyć wygodnie. Jednak Jason żałował w duchu, że nie wziął ze sobą konia pod wierzch. Początkowo sądził, że dzięki wspólnej podróży lepiej pozna narzeczoną, ale teraz nie mógł oderwać oczu od jej ciotki. Wciąż był poruszony tym spotkaniem. Wspomnienia odżyły tak nagle, że musiał się bardzo pilnować, żeby chociaż trochę zwracać uwagę na Caroline. Jedynie Linda bawiła się świetnie i wychylała się co chwila przez okno, pokazując im coś ciekawego.

Po niecałej półgodzinie opuścili Londyn. Jednak Caroline nie miała ochoty na podziwianie widoków. Z powodu napięcia, które doskonale wyczuwała, za-

częła ją boleć głowa. Co gorsza, ten stan się pogłębiał i jeśli tak miały wyglądać następne tygodnie, z pewnością wyląduje w Bedlam, a nie na ślubnym kobiercu. Żeby jakoś uporać się z sytuacją, postanowiła przetworzyć ją na koncert. Nawet przy swoich niewielkich umiejętnościach instrumentacyjnych, była pewna, że główną rolę będą w nim pełnić bębny oraz kotły.

Caroline zupełnie pograżyła się w pracy. Mimo to, nie uszły jej uwagi ciche popiskiwanie, które rozległy się nagle w powozie. Były na tyle dyskretne, że można je było pomylić ze skrzypieniem osi, ale muzyczne ucho *od razu* odkryło ich *inne* pochodzenie. Czyżby to Linda powstrzymywała płacz?

Dziewczynka nie wyglądała jednak na zasmuconą. Wręcz przeciwnie, kiedy dziwne piski znowu dały się usłyszeć, wydała radosny okrzyk.

- O, patrzcie, jakie ładne drzewo!

Co prawda Caroline nie obserwowała krajobrazu, ale mogła się założyć, że minęli już sporo podobnych drzew. Jej wzrok padł na koszyk kuzynki i zaraz domyśliła się wszystkiego. Ze względu na atmosferę panującą w powozie, postanowiła jednak zachować to dla siebie.

- Spójrzcie, jaki śliczny rów! - zachwycała się dalej dziewczynka.

Niestety, jej wysiłki spełzły na niczym. Tajemnicze piski stały się jeszcze głośniejsze.

- Co to za dziwne dźwięki, Lindo? - spytała ją Jessica.

- To, a... po prostu dostałam czkawki, mamó - wyjaśniła niezbyt pewnie. - Nie mogę jej powstrzymać.

- Czkawki? Nietypowa ta czkawka. I tak, jakby dochodziła prosto z twojego brzucha...



Dziewczynka przycisnęła do siebie mocniej koszyk, z którego dobiegła cała seria „czknieć”, czy raczej rozpaczliwych kocich miauknięć. Wellesley miał coraz mniejszą ochotę na kryjówkę.

- Moja droga, czy ty nie wzięłaś ze sobą tego kota? - westchnęła ciężko Jessica.

Linda zwiesiła głowę na piersi.

- Tak, mam - bąknęła.

Być może kotek wyczuł, że o nim mowa, ponieważ rozpoczął prawdziwy koncert. Jason spojrział wymownie na Jessikę, chcąc dać do zrozumienia, co sądzi o tego rodzaju wybrykach, ale ona nie przejęła się tym specjalnie.

- Otwórz ten koszyk - poleciła córce. - Niechże ma choć odrobinę świeżego powietrza. Inaczej gotów się tam zadusić.

Linda spełniła jej polecenie i już po chwili wszyscy zobaczyli zabawną mordkę z białymi wąsikami. Jednak nie długo dane im było cieszyć się tym widokiem. Gdy tylko biedny kot zobaczył światło, wyskoczył jak z procy na zewnątrz. Oszołomiony starał się wdrapać jak najwyżej, a największym „obiektem” w powozie był oczywiście baron. Przez moment Wellesley próbował utrzymać się na głowie Jasona, ale kiedy stało się to niemożliwe, przeskoczył na ramię jego lordowskiej mości. Na twarzy barona dostrzec można było całą gamę uczuć, jednak żadne z nich nie należało do przyjemnych. Czas dłużył się niemiłosiernie, a panie nie wiedziały, co teraz począć z kotem.

I właśnie w takiej chwili biedny Wellesley wydał z siebie żałosne miauknięcie.

Jessica zadrżała, a następnie wybuchnęła śmie-

chem. By! on niezwykle gwałtowny, gdyż musiała go długo powstrzymywać.

- Och, Jason! Gdybyś mógł siebie zobaczyć! - zdołała wykrztusić między kolejnymi wybuchami.

Sparaliżowana do tej pory Caroline również wydała z siebie radosny chichot.

- Istotnie, panie, to bardzo zabawny widok. Dawid i Goliat, można powiedzieć, cha, cha...

Jason nie czuł się specjalnie pochlebiony tym porównaniem. Przez moment zastanawiał się, czy się nie obrazić, ale wkrótce zwyciężyło w nim poczucie humoru. Zaśmiał się krótko, a potem sięgnął po kotka i oderwał go od swego ramienia. Chwilę głąskał przerażone zwierzę, czekając aż się uspokoi.

- Powiedźcie przynajmniej, jak ma na imię - prosił. - To prawdziwy tygrys, a nie mały kotek.

- Wellesley - pospieszyła z odpowiedzią Linda, szczęśliwa, że nie stało się nic gorszego.

- Tak, jak Żelazny Księżę - dodała szybko Caroline, a następnie trąciła siedzącą obok ciotkę łokciem.

Obie raz jeszcze wybuchnęły śmiechem. Tym razem dołączyła do nich nawet Linda, wciąż niespokojna o los swego pupilka. Baron natomiast uśmiechnął się pod nosem i podrapał zwierzątko pod uchem.

- Wobec tego czuję się *mniej* sprofanowany - stwierdził, a następnie mrugnął porozumiewawczo do Caroline.

A może tylko jej się tak zdawało?

- Bardzo przepraszam, panie, ale po pierwsze, powinnam była sprawdzić, czy córka nie wzięła ze sobą swojego ulubieńca - zaczęła, uspokoiwszy się trochę Jessica. - A po drugie, należało jej wyjaśnić, dlaczego nie chcę, żeby brała ze sobą kota.

- Po pierwsze, myślę, że możemy mówić sobie po imieniu - przedrzeźniał ją Jason. - A po drugie, założył się, że byłas kiedyś taka sama, jak Linda.

Nagle wszyscy poczuli się swobodniej. Zniknęło gdzieś całe napięcie i znużenie, które się z nim wiązało. Caroline wręcz stwierdziła, że przestała ją boleć głowa.

- Gorsza - rzuciła lekko rudowłosa dama, przypomniawszy sobie wszystkie swoje dziecięce wybryki. - Jednak tutaj sprawa jest poważna - zwróciła się do córki. - Widzisz, kochanie, babcia nie może trzymać w domu kotów ani psów. Inaczej kicha bez przerwy i ma chroniczny katar. Dlatego pewnie przeniesie go do stodoły.

Mała zrobiła smutną minę.

- Wobec tego będę musiała spać w stodole - stwierdziła.

Baron chrząknął i raz jeszcze podrapał Wellesleya za uchem.

- Hm, nie ma takiej potrzeby. Możemy zabrać Żelaznego Księcia do Wildehaven - zaproponował, a następnie zwrócił się bezpośrednio do Lindy: - Co ty na to?

Mała westchnęła, ale w końcu skinęła główką.

- Trudno. I tak pewnie będzie mu lepiej niż w Londynie.

- Czy możesz mi wobec tego udzielić jakichś wskazówek dotyczących tego kotka? - spytał. - W zasadzie znam się tylko na koniach. Czy, na przykład, Wellesley jada owies?

Dziewczynka zakryła buzię dłonią, żeby nie "wybuchnąć śmiechem.

- Ależ nie, raczej mięso.

- No jasne! - Jason uderzył się otwartą dłonią w czoło. - I to wyłącznie pokonanych przez siebie przeciwników. Mam na myśli myszy - dodał, widząc, że mała otworzyła ze zdziwienia buzię.

- Nie, nie, to jest kot domowy! - protestowała. - Może jeść resztki z obiadu i pić wodę albo mleko. Zresztą wzięłam dla niego trochę jedzenia.

Baron spojrział na puszystą kuleczkę, którą trzymał w rękach.

- A co, hm, z innymi rzeczami? - spytał z pewną dozą niepokoju.

Linda początkowo nie wiedziała, o co mu chodzi, a kiedy wreszcie zrozumiała, oblała się rumieńcem.

- Ojej! Nie pomyślałam o tym! W domu mam specjalną skrzynkę z piaskiem.

Jason pokiwał głową.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Jestem przekonany, że dostaniemy taką *toilette* w najbliższej oberży.

Jessica z podziwem patrzyła na Jasona. Nikt inny nie potrafił tak łatwo porozumieć się z dosyć dziką i kapryśną dziewczynką. Nawet najbliższa rodzina skłonna ją była ganić za brak wychowania.

Druga część podróży okazała się być znacznie przyjemniejsza niż pierwsza. Lody zostały przełamane, co wcale nie znaczyło, że baron w pełni zaakceptował Jessikę w roli przyzwoitki. Odkrył jednak, że jej towarzystwo wciąż sprawia mu przyjemność. Co "więcej, jego narzeczona była przy niej znacznie mniej spięta niż wśród najbliższej rodziny.

W oberży istotnie dostali skrzynkę z piaskiem, która jednakowoż okazała się zbędna, ponieważ mądry kotek skorzystał z tego na dziedzińcu. Po posił-

ku ruszyli w dalszą drogę. Jeszcze przed zmrokiem dotarli do posiadłości Sterlingów w Wiltshire. Składały się na nią zabudowania gospodarcze oraz dworek, który od wieków stanowił siedzibę kolejnych żołnierskich pokoleń.

Panowała tu miła i niewymuszona atmosfera. Po powitaniach Linda od razu pobiegła z kuzynami do stajni, żeby sprawdzić, jak miewa się jej kucyk. Dorosli zaś najpierw udali się do swoich pokoi, żeby się troszkę odświeżyć, a następnie zgromadzili się w jadalni na uroczystej kolacji.

Najpierw podano aperitif. Pułkownikostwo Sterling, zawsze szczęśliwi widząc synową, namawiali ich, żeby zostali na dłużej. Jednak Jason nie chciał się zgodzić. Wydawało mu się, że na własnym terenie łatwiej mu będzie panować nad swoimi uczuciami. Wymówił się więc jakąś pilną sprawą, chociaż odpowiedział mu rzeczowy styl i sposób bycia pułkownika.

Następnego dnia wyjechali tuż po śniadaniu. Podróż tym razem była krótsza i szybko dotarli do stromych wzgórz Cotswold. Droga wiła się, ukazując coraz wspanialsze widoki. Caroline, która co prawda wychowywała się niedaleko, nigdy wcześniej nie była w Gloucestershire. Dlatego od razu dała się oczarować krajobrazowi. Pomyślała, że całe to otoczenie będzie dla niej jakąś rekompensatą za niechciany ślub.

Zaraz po południu, kiedy wjechali jeszcze wyżej, Jason zastukał laską w ścianę powozu i woźnica zatrzymał konie. Wyszli we trójkę, żeby obejrzeć widok. Przed nimi rozpościerały się wielkie, zalesione przestrzenie. Gdzieniedzie strzelały w niebo kościelne wieże. W dolinie płynęła spokojna, błękitna rzeka.

Jednak, przede wszystkim, przykuwał wzrok śliczny pałacyk w stylu neoklasycznym, z kolumnami zdobiącymi wejście. Caroline miała wrażenie, że doskonale pasuje do otoczenia, tak jakby architekt specjalnie spojrzął na niego z dalszej perspektywy.

- Co za piękny budynek! Do kogo należy? - zwróciła się z tym pytaniem do narzeczonego.

- To Wildehaven - odparł. - Twój nowy dom.

- Wcale mnie nie dziwi, że się tu spieszyłeś! ~ westchnęła.

Bardziej milcząca niż zwykle Jessica skinęła tylko głową. Powoli oswajała się z sytuacją, chociaż trudno jej było w pełni pogodzić się z tym, że siostrzenica zaręczyła się z jej pierwszym ukochanym. Długo zastanawiała się, czy będzie szczęśliwa w tym związku. O ile pamiętała, że młody Jason był miły i dobry, o tyle władczy i chłodny mężczyzna, którego miała przed sobą, stanowił dla *niej* zagadkę. Miała tylko nadzieję, że starczy mu cierpliwości i delikatności, żeby nie skrzywdzić Caroline, chociaż parę lat temu brakowało mu właśnie tej pierwszej cechy. Ze swojej strony postanowiła, acz niechętnie, że doloży wszelkich starań, aby jak najbardziej zbliżyć narzeczonych.

Patrząc w dół, nie potrafiła powstrzymać myśli, że mogłaby zostać panią na Wildehaven. Stwierdziła jednak, że nie ma czego żałować. Prowadzi przecież dostatnie życie, jest niezależna, no i przede wszystkim - może cieszyć się Lindą.

Dojazd do pałacyku zajął im niecałe pół godziny. Dojechali tam śliczną, choć dosyć krętą drogą okoloną szpalerem starych lip. Kiedy zatrzymali się na podejździe, Jason pierwszy wyskoczył z powozu. Po

chwili ceremonialnie podał rękę narzeczonej, pomagając jej wsiąść.

- Witamy w Wildehaven - rzeki uroczyście.

Caroline wysiadła, a następnie zadarła głowę, podtrzymując jeszcze nie zawiązany kapelusze.

- Och, jaki wielki! - powiedziała pełnym respektu głosem.

Z bliska „pałacyk” wyglądał na prawdziwy zamek. Stojąc przed kolumnadą czuła się malutka jak mrówka. Wyglądało na to, że budynek powstał dla jakichś olbrzymów, a nie zwykłych kobiet jej wzrostu.

- Rzeczywiście, imponujący - potwierdziła Jessica, na której siedziba Radfordów zrobiła wyraźnie dobre wrażenie.

Weszli po schodach, na których zebrał się już komitet powitalny. Zarówno główny lokaj, jak i ochmi-strzyni wydali się Caroline tak wyniośli, że z przerażeniem myślała o tym, iż będzie musiała wydawać im rozkazy. Ten dom zupełnie do niej nie pasował, chociaż dostrzegała jego piękno. Sama jednak wolałaby coś mniejszego i przytulniejszego.

- Czy nie chciałabyś troszkę odpocząć po podróży? - głos Jasona przywrócił ją do rzeczywistości.

Caroline skinęła z wdzięcznością głową.

- Z największą przyjemnością. O której obiad?

- O trzeciej - odparł. - Jadamy tu wcześniej niż w mieście. Pani Burkę pokaże ci drogę.

Pokażna gospodyni dygnęła przed Caroline, natomiast lokaj, którego baron przedstawił jako pana Burkę, wskazał drogę do holu. Jednak wystarczyło, że uchylił drzwi, a już pojawiła się w nich olbrzymia głowa, a potem stalowoszare ciało doga. Pies rzucił się w kierunku Jasona, żeby się z nim przywitać.

- Dobry piesek, dobry - powtarzał baron, gładząc zwierzę po lśniącym karku.

Jednak Wełlesley, który siedział bezpiecznie na rękach Jessiki, omal nie zeskoczył. Jego ciało wygięło się w łuk i kotek wydał z siebie głośne syknięcie. Zaintrygowany pies obrócił głowę w jego stronę.

- Spokojnie, Rufus! - rzucił władczo jego pan. - Pamiętaj, że nie wolno ci nawet dotknąć tego kotka! Zrozumiano?

O dziwo, w inteligentnych oczach zwierzęcia zapaliło się jakieś światełko. Wyglądało to tak, jakby doskonale rozumiał, o co chodzi.

- A ty, Wełlesley, możesz się uspokoić - ciągnął pewnym tonem baron. - Rufus na pewno cię nie skrzywdzi.

Caroline aż otworzyła usta, widząc, że kotek również się uspokoił. Co prawda pozostał *czujny*, ale przestał się prężyć i syczeć. Nie spodziewała się, że jej narzeczony ma taką władzę nad zwierzętami. A jeśli tak, to co dopiero mówić o ludziach. Zwłaszcza istotach, tak słabych, jak ona...

Kiedy to sobie uświadomiła, nie wiedziała, czy jej to odpowiada.

Lokaj chrząknął. Od pewnego czasu trzymał otwarte drzwi. Caroline uśmiechnęła się do niego przepraszająco i weszła do środka.

W holu znowu poczuła się jak zagubiona sierotka. Korytarze na szczęście były trochę przytulniej sze, ale miała wrażenie, że nigdy się nie skończą. Sama nie wiedziała, czy przeszła kilometr, czy może dwa. Żałowała, że podobnie jak Tezeusz, nie wzięła ze sobą nici Ariadny, nie była jednak przygotowana na tego rodzaju doświadczenia. A tak, nie była pewna, czy



udało by jej się trafić do wyjścia. W końcu ochmi-strzyni zatrzymała się przed ciemnymi, dębowymi drzwiami.

- Oto pani pokój, panno Hanscombe - poinformowała. - Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zadzwonić na służbę. Przydzielę pani pokojówkę, która pomoże pani przygotować się do obiadu.

- Dziękuję, pani Burkę - odrzekła Caroline, zaglądając ciekawie do środka. - Jestem pewna, że będzie mi tu wygodnie.

Komnata, do której weszła, była duża, ale dosyć sympatyczna. Wśród mebli królował styl Chippendale'a, z fantazyjnymi, lekkimi kształtami. Jeśli idzie o wystrój wnętrza, to dominowały pastelowe kolory, na czele z delikatnym różem i stonowaną zielenią. Największe wrażenie zrobiło na niej łoże z baldachimem, którego mogłaby jej pozazdrościć niejedna księżniczka.

Caroline nie bardzo wiedziała, co robić. Jej bagaże jeszcze nie przyjechały, nie mogła się więc nawet rozpakować. Dlatego podeszła do wychodzącego na park okna i usiadła na parapecie. Zadbany teren nie należał być może do największych, ale był bardzo urokliwy. Szczególnie interesujący wydał jej się staw z wysepką i prowadzącym wprost na nią mostkiem.

Po chwili usłyszała pukanie do drzwi. Nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy do pokoju wsunęła się podniecona ciotka.

- Na Jowisza, Caro, tu jest cudownie! - Jessica nie ukrywała swojego zachwytu. - Czuję się tak, jakbym znalazła się nagle w świecie moich dziecięcych fantazji. Dostałam pokój tuż obok, więc masz mnie na wyciągnięcie ręki.

- Jasne, pamiętaj, że jesteś moją przyzwoitką - przypomniała jej siostrzenica.

- I tak dobrze, że nie posłali mi siennika pod twoimi drzwiami - mruknęła rudowłosa dama.

Podeszła do okna i wyrzała na zewnątrz.

- Pięknie i spokojnie - dodała. - Wydaje się, że Jason doskonale sobie ze wszystkim radzi.

Caroline pokiwała głową. Słowa ciotki świetnie wpasowały się w *tej chwili w jej* myśli.

, - Pewnie dlatego wybrał mnie na żonę - powiedziała, marszcząc czoło. - Uznał, że ze mną też doskonale sobie poradzi. I, oczywiście, ma rację - przyznała z westchnieniem.

Jessica pogładziła ją po puszystych włosach.

- Nie, moja droga. To prawda, że jesteś posłuszna, ale do pewnych granic. Jeśli ci na czymś zależy, potrafisz walczyć o swoje. Jeśli nie siłą, to sposobem.

Przez chwilę milczały, czekając aż te słowa rozplyną się w powietrzu. Caroline zastanawiała się, czy ciotka ma rację. Tak rzadko zdarzało *jej się* sprzeciwiać komukolwiek. Ale być może rzeczywiście, jeśli już się w *coś* angażowała, wygrywała batalię.

- Na razie nie mam ochoty z nikim walczyć - rzekła w końcu. - Wolałabym raczej odpocząć po ostatnich tygodniach i skorzystać ze wszystkiego, co nam proponują. Mam nadzieję, że jako narzeczona, nie będę miała zbyt dużo obowiązków.

- Z całą pewnością będziesz musiała przyjmować gości i bywać na przyjęciach - zauważyła ciotka. - Nie sądzisz chyba, że to uciążliwe?

Caroline zerknęła z zaciekawieniem na Jessikę, jakby zobaczyła ją nagle w nowym świetle.

- Chcesz powiedzieć, że tego rodzaju imprezy

sprawiają ci przyjemność? - spytała z niedowierzaniem.

- Ależ naturalnie - padła odpowiedź. - Czy przypuszczałaś, że to z wyboru przestałam bywać? Po pierwsze, dłuższy czas mieszkałam poza Londynem i mam tam teraz mniej znajomych i przyjaciół. Po drugie, jestem wdową, co znaczy, osobą mniej towarzysko atrakcyjną.

- I tylko towarzysko, jeśli w ogóle. - Caroline pokręciła z zazdrością głową. - Wiesz, Jess, znacznie lepiej nadajesz się na lady Radford. Ja byłabym szczęśliwsza w jednym z tych skromnych domków, które mijaliśmy po drodze.

- Pod warunkiem, że byłby tam pokój z fortepianem - podchwyciła ciotka.

- Właśnie! - Roześmiały się obie. - A tak swoją drogą, kiedy poznałaś barona, to znaczy Jasona? Powinam się przyzwyczaić do mówienia mu po imieniu.

Jessica wskazała wyściełane krzesła, stojące nieopodal Chippendale'owskiej toaletki. Usiadły i dopiero wtedy rozpoczęła swoją opowieść:

- To było dawno temu. Miałam siedemnaście lat i szykowałam się do pierwszego sezonu. Ojciec, który praktycznie przegrał w karty cały majątek, zabierał mnie ze sobą do różnych swoich przyjaciół. - Zrobiła taką minę, jakby nie chciała o tym mówić. - Mieliśmy za darmo wyżywienie, a poza tym liczył na to, że wpadnę w oko jakiemuś bogatemu lordowi.

Na czole ciotki pojawiły się zmarszczki, a jej głos na chwilę nabrzmiał goryczą. Jednak po chwili mówiła już normalnie:

- No więc, poznałam Jasona na polowaniu. Zdaje się, że odwiedził kolegę, % którym razem studiował,

pewnie w Cambridge lub Oksfordzie. Spotkaliśmy się parę razy. Potem wyjechałam do Londynu. - Ton jej głosu był niemal obojętny. - Nie miałam pojęcia, że Jason został lordem Radford. Jeszcze wtedy nie liczył chyba na żaden majątek.

- A jaki był?

Jessica uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Nieobliczalny, zawsze skory do żartu. Miał opinię doskonałego strzelca i szermierza, ale często korzystał z tych umiejętności, żeby zrobić komuś dowcip. - Pokiwała w zamyśleniu głową. - Mam wrażenie, że bardzo spoważniał pod ciężarem obowiązków. Myślę jednak, że znajdziesz w nim coś z dawnej osobowości.

Caroline skurczyła się na tę wzmiankę. Wcale nie miała zamiaru odkrywać dawnej osobowości barona.

- Wiesz, zawsze się dziwiłam, że tak lubisz polować - próbowała zmienić temat. - Przecież jednocześnie troszczysz się o zwierzęta. Pamiętasz tę kawkę, której opatrzyłaś skrzydło? Tylko dzięki tobie mogła później latać.

Jessica wzruszyła ramionami.

- Być może jest w tym jakaś sprzeczność - powiedziała na poły *do* siebie, a na poły do siostrzenicy. - Ale ludzie są mieszaniną sprzeczności. W polowaniu uwielbiam szybkość, pęd, podniecenie, element walki... Kiedy pędzę na koniu za lisem, czuję *się* tak, jakbym leciała. A jeśli zwierzę na koniec ucieknie, to tym lepiej.

Znowu chwila milczenia, która wcale im nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie, dzięki *ciszy* osiągały większy stopień porozumienia.

- To tak, jak z muzyką - zauważyła Caroline, a ciotce pozostało tylko domyślać się, o co jej chodzi.

Jessica wstała i podeszła do drzwi.

- Być może masz rację - rzuciła na koniec. - A teraz, moja droga, spróbuj się trochę przespać przed obiadem.

Caroline zamyśliła się głęboko.

- Chcesz powiedzieć, że wieczorem czekają mnie jakieś towarzyskie obowiązki? - spytała z niepokojem.

- Nie, myślę, że baron oszczędzi cię do jutra - odparła po namyśle ciotka. - Co najwyżej czeka cię zwiedzanie domu.

Pożegnali się i dziewczyna została sama. Zaraz też zsunęła trzewiki i położyła się na miękkiej pościeli. Nie chciało jej się nawet zdejmować satynowej narzuty. Przez chwilę wpatrywała się w zieleniejący baldachim, myśląc, że pewnie trudno jej będzie zasnąć w tym nowym miejscu. Jednak szybko oddech *jej* się wyrównał, a oczy same się zamknęły. Zapadła w głęboki, zdrowy sen.

## 7

Po tym, jak obie panie udały się do swoich pokojów, Jason pognał na łeb na szyję do stajni. Normalnie zająłby najpierw do swego gabinetu, żeby sprawdzić korespondencję albo przebrałby się przynajmniej w strój do jazdy. Jednak teraz nie chciał tracić na to czasu. Kazał jak najszybciej osiodłać Cezara, swojego ulubionego ogiera, a następnie pomknął przed siebie niczym strzała. Było mu wszystko jedno, gdzie jedzie. Chodziło o to, żeby rozładować nagromadzoną energię.

Kiedy wjechał na kolejne wzgórze, zorientował się, że dotarł do granicy Wildehaven. Boki wierzchowca unosiły się i opadały coraz szybciej, dlatego Jason przyhamował nieco i rozejrzał się dookoła. Dzień był słoneczny i miły. Jednak nie to krążyło mu w tej chwili po głowie. Zastanawiał się, *jak radzić* sobie w zaistniałej sytuacji. Oczywiście już dawno uporał się ze swoim uczuciem do Jessiki. To chyba naturalne, że zakochał się w najładniejszej dziewczynie z sąsiedztwa. Teraz zaś nie może pozwolić, żeby tamte wydarzenia położyły się cieniem na jego nowym związku.

Jednak głos wewnętrzny mówił mu, że na próżno się oszukuje. Jessica nie była po prostu najładniejszą dziewczyną z sąsiedztwa, ale najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Co gorsza, zachowała swoją urodę. Może nawet stała się atrakcyjniejsza i dojrzała niż kiedyś...

Baron wstrzymał konia i spojrzął na wielki dąb, rosnący na zboczu wzgórza. Ten widok rozbudził w nim dawne wspomnienia. Miał wtedy po raz pierwszy wziąć udział w prestiżowym polowaniu. Chociaż liczył sobie zaledwie dwadzieścia dwa lata, wiedział że dorównuje umiejętnościami większości myśliwych.

Wyruszyli wcześniej rano spod wielkiego dębu rosnącego tuż pod lasem. We mgle, która powoli zaczynała opadać, prawie się nawzajem nie widzieli. Słyszeli tylko ujadanie psów, które przybrało na intensywności, gdy zanurzyli się w knieję.

Mgły przerzedziły się jeszcze bardziej. Jason nagle zdał sobie sprawę, że obok niego jedzie nie młody chłopak, jak mu się zdawało, ale dziewczyna. Gracja ruchów była nie do podrobienia. Miał wielką ochotę ją sobie obejrzeć, lecz właśnie w tym momencie psy wpadły na trop i tuż przed jego koniem pojawiła się ruda kita. Jason osadził rumaka w miejscu i sięgnął po broń. Jeszcze chwila, a zdobędzie swoje pierwsze myśliwskie trofeum. Podniósł strzelbę... i właśnie w tym momencie przejechała mu tuż przed nosem dziewczyna na koniu.

Jason zaklął siarczyście. Podjechał do dziewczyny, żeby powiedzieć jej, co o tym myśli, ale w tym momencie zapało mu dech z wrażenia. Nigdy wcześniej nie widział tak pięknej istoty. Mogła to być sama Diana, bogini łowów. W każdym razie jej zielony strój do jazdy doskonale harmonizował z kolorem oczu, a płomienne, związane z tyłu włosy, wystawały spod małego kapelusika.

Zjawisko zatrzepotało długimi rzęsami, niczym wcielenie niewinności.

- Przepraszam, koń mnie poniósł - szepnęła dziewczyna.

Główny łowczy, który również widział to zdarzenie, ruszył w jej stronę wyraźnie zirytowany. Był to stary generał, słynący z surowości i dyscypliny. Ale nawet on zmiękł trochę na widok Jessiki. Mimo to wygłosił swoje przemówienie, w którym podkreślił to, że jej zachowanie uważa za karygodne i ostrzegł ją, że po następnym takim zdarzeniu będzie musiała wrócić do domu. Ze szczególną goryczą wspomniał też o tym, że zbiegły lis to stary Rufus, najsprytniejsze i najniebezpieczniejsze zwierzę w całym lesie. I że on, generał, od lat nie mógł go upolować.

Dziewczyna słuchała skruszona. Jednak Jason odniósł wrażenie, że na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Czyżby zrobiła to specjalnie? Te podejrzania potwierdziły się jeszcze, kiedy zobaczył, jak radzi sobie z koniem. Rudowłosa nie miała najmniejszych problemów z zapanowaniem nad zwierzęciem.

Jason sam nie wiedział, czy nie powinien mieć do niej pretensji. Pozbawiła go w końcu jego myśliwskiego trofeum. Gdyby upolował Rufusa, miałyby już ugruntowaną pozycję. To przez nią musiał zacząć od początku.

Przez resztę polowania myślał tylko o jej pięknych oczach oraz delikatnej cerze i zapewne dlatego nie wykazał się niczym nadzwyczajnym. Następnego dnia wypytał o nieznaną parę przyjaciół. Bez trudu poznał jej nazwisko - Jessica Westerly. Dowiedział się też, że jej ojciec jest najmłodszym synem zubożałego "wicehrabiego i że uwielbia hazard. Z tego powodu zasoby rodzinne topniały coraz bardziej, a on postanowił w końcu zamienić córkę na pienią-



dze, czyli wydać ją bogato za męż. Przed rozpoczęciem sezonu chciał pokazać ją w nieco szerszym towarzystwie.

Jason starał się ustalić listę wspólnych znajomych. Stwierdził jednak, że najpewniej spotkają się na balu myśliwskim.

Tak też się stało. Jessica była tam najpiękniejszą kobietą. I chociaż nie mogła się poszczycić wspaniałą biżuterią, olśniła wszystkich urodą i modną kreacją. Jason zastanawiał się wówczas, skąd miała pieniądze na tak piękną suknię z muślinu obwiedzionego zielonym adamaszkiem.

Jej kalendarzyk z tańcami był pełny. Wszyscy panowie na balu mieli ochotę z nią zatańczyć. Na szczęście udało mil się ją porwać dwóm dżentelmenom, którzy spierali się o prawo do kolejnego tańca z młodą damą. Nawet teraz uważał, że było to bardzo śmiałe posunięcie, każdy z obu panów mógł go przecież wyzwać na pojedynek.

- Więc udało się pani ocalić kuzyna, panno Westerly - rzekł, kiedy Jessica znalazła się w jego ramionach.

- Kuzyna? - powtórzyła zdziwiona.

- Zdaje się, że jesteście spokrewnieni - powiedział z uśmiechem. - Chodzi nie tylko o kolor włosów, ale też spryt...

Nie przyznała się wówczas do niczego, ale zatańczyła z nim jeszcze jeden taniec. A potem umówili się na następny dzień. Przez kolejne dwa tygodnie widywali się codziennie, co oczywiście wywołało szereg plotek. Ale Jessica wcale się nimi nie przejmowała. Co najwyżej uśmiechała się, widząc ciekawe spojrzenia. Okazała się wspaniałą towarzyszką wypraw konnych,

ponieważ dorównywała mu umiejętnościami, a czasami go nawet przewyższała. Zwłaszcza wówczas, gdy trzeba było przejść z szaleńczego galopu w lekki lduś albo w ogóle zatrzymać wierzchowca. Wyglądało na to, że jej czar działa nie tylko na mężczyzn.

Czas mijał powoli, acz nieubłaganie. Jednak Jessica i Jason zdawali się tego nie dostrzegać. Nie pamiętali, że już niedługo całe towarzystwo miało się przenieść do Londynu, żeby rozpocząć nowy sezon. Dotarło to do nich dopiero wtedy, kiedy mieli wziąć udział w ostatnim wiejskim balu.

Tuż po pierwszych tańcach wymknęli się do ogrodu. Ponieważ wieczór był zimny, w ich przechadzce towarzyszył im tylko księżyc. Gdy dotarli do altany, nie mogli dłużej powstrzymywać swoich pragnień i Jason wziął ją w ramiona. Mimo, iż miał już pewne doświadczenia z kobietami, to co poczuł było nowe i świeże. Nigdy wcześniej nie chciał przecież związać się z kimś na zawsze. Uczucie do Jessiki było całkowite i zniewalające. Co więcej, wiedział, że jest odwajemnione. Brakowało jej słów, by je wyrazić, a także znajomości sztuki miłosnej, ale czuł, że kocha go ponad wszystko.

Po niecałej półgodzinie zorientowali się, że muszą wracać na bal. Powlekli się tam jak dwoje skazańców. Wkrótce Jessica miała zatańczyć z baronetem, którego nieopatrznie wpisała do swojego kalendarzyka, a potem z *łysym* hrabią.

Jason wyszedł wcześniej, żeby na to nie patrzeć. W nocy nie spał, bijąc się z myślami. W końcu wybrał się wcześniej rano do domu, w którym mieszkała Jessica i zaprosił ją na konną przejażdżkę.

Oboje byli doskonałymi jeźdźcami i bez problemu

zgubili stajennego, który pełnił rolę przyzwoitki. Tak się złożyło, że zatrzymali się pod starym dębem na skraju lasu. Jason zsiadł z konia, a Jessica poszła w jego ślady.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - oznajmił oficjalnym tonem.

- Tak, słucham?

Uwiązała konia i spojrzała na niego swymi błyszczącymi oczami. Jason wygłaszał już różne niemoralne propozycje. Nie miał pojęcia, dlaczego tym razem rozmowa sprawiała mu tyle problemów. Przecież chodziło tylko o małżeństwo. W końcu, po parokrotnych ponagleniach ze strony Jessiki, skłonił się jej sztywno i poprosił o rękę.

To, co nastąpiło później, przeszło jego najgorsze obawy. Jessica nie tylko odmówiła, ale zwymyślała go, używając słów, których nie powinna znad. Następnie wskoczyła na swojego rumaka, a on odsunął się ze strachem, bojąc się, że go stratuje.

Była dzika. Nieokiełznana. Właśnie taką ją kochał.

Kiedy odjechała, Jason usiadł na trawie i ukrył twarz w dłoniach. Nie, nie płakał. Był na to za twardy. Zastanawiał się, dlaczego Jessica mu odmówiła. Czyżby obraził ją swoją propozycją? Być może jego pozycja była zbyt niska w zestawieniu z jej aspiracjami. To prawda, że nie miał zbyt wiele do zaoferowania. Jednak w takim przypadku dziewczyna nie powinna pozwolić na to, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Chyba, że nie zależało jej na Jasonie i chciała się tylko wprawić przed rozpoczęciem sezonu.

To była najgorsza ze wszystkich możliwości. Ale im dłużej myślał, tym bardziej wydawało mu się to prawdopodobne. Być może już na początku utrafił w sedno, przypisując jej spryt starego lisa.

Jason wyjechał jeszcze tego samego dnia do niewielkiego majątku, który odziedziczył po matce. Mimo rozpoczęcia sezonu, nie pokazał się w Londynie. Wolał sam, w domowym zaciszu, lizać rany. Dopiero po trzech miesiącach wywabił go stamtąd George Fitzwilliam. Kolega z Cambridge prawie go nie poznał, kiedy do niego przyjechał. Jason wychudł, a na jego twarzy pojawiły się chmurne zmarszczki. Nie chciał też bawić się i żartować jak dawniej.

Mocno zaniepokojony George skłonił go w końcu do wyjazdu do Londynu, gdzie Jason rzucił się w ramiona kurtyzan. Ponieważ nie dbał o życie, właśnie wówczas zyskał opinię zabijaki. Pojedykował się o byle drobiazg i wkrótce wszyscy schodzili mu z drogi. Postanowił też, że nigdy nie będzie poważnie traktował kobiet.

To trochę pomogło. Po powrocie na wieś zajął się hodowlą koni. Zamienił swoją pasję w zawód i wkrótce okazało się, że jest jednym z najlepszych hodowców w kraju. Jego kłusaki wygrywały wszystkie wyścigi i zaczęły w związku z *tym* osiągać niebotyczne ceny. Po raz pierwszy w życiu mógł powiedzieć, że zarobił sporo pieniędzy.

To doprowadziło go do sformułowania pierwszej zasady, którą później zawsze się kierował: żeby coś robić dobrze, trzeba to najpierw polubić.

Kiedy zjechał po raz kolejny do Londynu, zauważył, że interesuje się nim coraz więcej panien na wydaniu. Jako bogaty właściciel ziemski stanowił doskonałą partię. Kto wie, może nawet teraz nie obraziłby Jessiki propozycją małżeństwa?

Te obserwacje spowodowały, że stał się jeszcze bardziej cyniczny. Znajdował prawdziwą przyjem-

ność w demaskowaniu dwuścicowych mężatek oraz matek, które usiłowały wydać córki bogato za męża. Stwierdził, że Londyn jest targowiskiem próżności, gdzie liczą się tylko pieniądze i tytuły. Kiedyś, podczas jakiegoś przyjęcia, ktoś wspomniał, że „boska panna Westerly” wyszła za jakiegoś nieznanego bliżej wojskowego, on jednak nawet nie mrugnął okiem i po chwili zmienił temat.

Jak na ironię, niespodziewanie zmarł jego starszy brat i Jason został lordem Radford. To podniosło znacznie jego notowania, ale jednocześnie spowodowało, że baron stał się jeszcze bardziej cyniczny i zgorzkniały.

Ze szczególną niechęcią odnosił się do małżeństwa, które traktował jako rodzaj handlu żywym towarem. Młode panny wystawiały na sprzedaż swoje wdzięki, a panowie sprawdzali, czy mają dostateczną ilość pieniędzy lub odpowiednie tytuły, by je kupić. Niektóre transakcje były lepsze, inne gorsze, ale z całą pewnością niewiele miały wspólnego z porywami uczuć i miłością.

Jason sam wiedział to najlepiej.

Właśnie z tego powodu postanowił, że chłodno skalkuluje swój przyszły związek. Caroline wydawała mu się doskonałym nabytkiem, ponieważ łączyła w sobie świeżość i nieśmiałość. Miał też nadzieję, że nie będzie dla niej szczególnie przykrym mężem i że wspólnie wychowają przyszłych dziedziców. Jason pragnął mieć dzieci, gdyż liczył na to, że przekaże im swoją wiedzę dotyczącą prowadzenia majątku. W ciągu ostatnich lat poznał parę prostych, jak mu się wydawało, praw rządzących światem pracy. Dziwiło go to, że tyle wspaniałych rodów popadło w nędzę. Nie

chciał, żeby to samo stało się z Radfordami i aż drżał na samą myśl o przejściu Wildehaven w ręce kogoś z dalszej rodziny.

Niestety, jego plany mogły lec w gruzy! Nagle bowiem poczuł, że Jessica zburzyła cały jego wewnętrzny spokój. Kto mógł przypuszczać, że to właśnie ona jest ciotką Caroline! Gdyby miał co do tego choćby najłżejsze podejrzenie, wymyśliłby jakiś pretekst, żeby zrezygnować z usług *ponętnej* damy. W ciągu najbliższych tygodni będzie się z nią spotykał, gdy tylko zechce zobaczyć się z narzeczoną. A Jessica zawsze będzie mu przypominać nieudany związek.

Ciche skamlenie przywróciło go do rzeczywistości. Baron spojrzął przed siebie, na walijskie wzgórza, które miał przed sobą, a następnie w dół, na psa. Wierny Ruf us odnalazł go tutaj i teraz chciał zwrócić na siebie uwagę swego pana. Jason nawet się nie uśmiechnął na jego widok. Skojarzył bowiem, że imię psa pochodzi od niesławnego lisa. Po raz pierwszy odniósł wrażenie, że Jessica oplatała go mackami, których istnienia nawet nie podejrzewał. Ile ich może być i jak głęboko sięgają?

Zawrócił konia, a potem gwizdnął na psa. Czas wracać. Nie może przecież zaniedbywać swoich obowiązków gospodarza. Pomyślał, że przede wszystkim musi zaprosić trochę więcej osób do Wildehaven. Chociażby George'a, znanego z tego, że potrafi czarować kobiety jak nikt inny. Może to właśnie Fitzwilliam zakocha się w Jessice i w ten sposób uwolni go od problemu.

O dziwo, ta myśl wcale nie wywołała w nim entuzjazmu.

Może również zaprosić ciotkę Honorię wraz

z kimś z rodziny. Przecież to ona skłoniła go do małżeństwa! Oczywiście lady Edgeware nie poświęci zbyt wiele uwagi Caroline. Natomiast piękna majorowa może stanowić dla niej właściwe wyzwanie. Jason aż się uśmiechnął na myśl o starciu tych dwóch osobowości.

Baron jeszcze w drodze obmyślił wszystkie swoje plany. Po dotarciu do domu przekazał Cezara stajennemu, pogłaskał Rufusa po wielkim łbie, a następnie udał się do swego gabinetu. Tutaj napisał list do ciotki, który następnie wysłał przez umyślnego. Sam natomiast postanowił wyjechać i zjawić się z powrotem po przyjeździe krewnych. Jason zdawał sobie sprawę, że nie jest to szczególnie grzeczne w stosunku do narzeczonej, ale miał nadzieję, że Caroline nie weźmie mu tego za złe. Był to też jakiś sprawdzian jej charakteru.

Przechodząc do swego apartamentu nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć w stronę skrzydła, w którym ulokował Jessikę. Musi się nauczyć myśleć o niej jak o ciotce swojej przyszłej żony. Co prawda ona sama zwróciła się do niego po imieniu, ale to tylko dlatego, że się zapomniała. Musiał wyglądać szczególnie zabawnie z kotkiem na ramieniu. Zresztą Jessica pewnie sporo przeżyła w swoim życiu. Podróżowała przecież po całym świecie i dawno już zapomniała o ciełej miłości pewnego chłopca...

Czy tego właśnie pragnął? Było mu trudno odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim, raz jeszcze powtórzył sobie, że dawna Jessica stała się panią Sterling. Ciotką. Po ślubie będzie dla niego kimś takim, jak lady Edgeware. Przynajmniej jeśli idzie o pokrewieństwo...

Baron dotarł wreszcie do swojego apartamentu, na

który składał się pokój dzienny, sypialnia i prywatny gabinet. Po wejściu, spojrzał na wielki zegar *stojący* na komodzie. No tak, przez ostatnią godzinę zajmował się roztrząsaniem przeszłości, a tymczasem zostało mu niewiele czasu na odświeżenie się przed obiadem.

Caroline szybko zbudziła się z głębokiego snu, w który zapadła po wyjściu ciotki. Wstała i wzięła do ręki lutnię, którą przywiozła w osobistych bagażach. Bezwiednie przesunęła palcami po jej strunach. No tak, musi się teraz nauczyć wielu rzeczy. Lord Radford, czyli Jason, chciałby zapewne, żeby jego żona potrafiła prowadzić tak duży pałac. Caroline domyślała się, że pani Burkę doskonale sobie z tym radzi, ale odnosiła wrażenie, że ona też powinna coś wiedzieć na ten temat. No i musi się nauczyć ubierać tak, żeby prezentować się dojrzej. Przecież ma już dwadzieścia jeden lat. Lord Radford, to znaczy Jason, na pewno "wolałby, żeby jego przyszła żona nie wyglądała jak dzierlatka. Madame Arlette miała rację! Jessica znacznie lepiej nadawała się na przyszłą lady Radford! Gdyby nie problemy z małżeństwem Giny, Caroline bardzo chętnie porozmawiałaby na ten temat z ciotką...

Jednak sam lord Radford, czyli Jason, wydawał *jej* się już mniej przerażający. Wciąż myślała o nim raczej z respektem niż z miłością, ale wyglądało na to, że mu to odpowiada. Caroline wyczuwała w nim jakąś tajemnicę, nie wiedziała tylko, z czym się ona wiąże. Być może baron był w głębi duszy człowiekiem czułym i wrażliwym. Dziewczyna zachichotała. Nie, to chyba jednak niemożliwe. Wystarczy spojrzeć, jak się zachowuje przy Jessice. Nareszcie trafił



na godnego przeciwnika, który nie drży niczym zając pod jego groźnym wzrokiem!

Caroline aż uderzyła mocniej w struny, przypomniawszy sobie zdarzenie w powozie. Sama nigdy nie miałaby tyle odwagi, żeby zacząć się śmiać, chociaż kotek na ramieniu barona wyglądał naprawdę komicznie.

Nagle posmutniała. Uświadomiła sobie, że być może też jest takim kotkiem, z którym lord Radford, czyli Jason, może zrobić, co mu się żywnie podoba. Nawet jej nieśmiałe plany, żeby zerwać zaręczyny po ślubie siostry obróciły się w niwecz, ponieważ baron zaproponował przyspieszenie całej sprawy. Bardzo możliwe, że zostanie mężatką jeszcze przed Giną!

Zresztą, Caroline zapewne tak czy tak nie zdecydowałyby się na zerwanie zaręczyn. Gdyby to nastąpiło, jej ojciec musiałby zwrócić lordowi pieniądze, które już pewnie przehulał. Znaczyłoby to, że trafiłby do londyńskiego więzienia za długi, co przyniosłoby niesławę całej rodzinie.

Nie, musi jak najszybciej pogodzić się ze swoim losem.

W tym momencie usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi. Odłożyła lutnię i wstała, chcąc godnie stawić czoła przeciwnościom.

- Proszę.

W drzwiach pojawiła się figurka na oko szesnastoletniej dziewczyny w prostej sukience i krochmalonym fartuszku oraz czepku.

- Ee, pani Burkę mnie przysłali, żeby mi pomogła panię się ubrać. Mogę teraz?

Caroline uśmiechnęła się do pokojówki, która była jeszcze bardziej speszona od niej. Pomyślała, że jej

życie byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby miała grać wielką damę wyłącznie przed takimi osobami.

- Oczywiście, tylko powiedz mi, jak się nazywasz. Bo ja, jak zapewne wiesz, Caroline Hanscombe.

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie, a potem wbiła oczy w podłogę.

- Betsy, panienko - odparła, skubiąc fartuszek.

- Dobrze, Betsy. Zobaczmy, co mamy w tym bagażu.

- Caroline podeszła *do* kufra, który jakiś czas temu wniesiono do pokoju. - To, zdaje się, jeszcze nie wszystko.

Betsy nie mogła się powstrzymać, żeby nie pogłodzić delikatnej tkaniny.

- Och, jakie śliczne! - wykrzyknęła.

- Czy nigdy nie pracowałaś jako pokojówka, Betsy?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, panienko. Jak tutaj przyjeżdżali damy, to pani Burkę mówili, że to nie jest towarzystwo dla takiej młodej sroki jak ja.

Caroline uśmiechnęła się, słysząc tę odpowiedź. Na szczęście nie była ani zakochana w Jasonie, ani też o niego zazdrosna. Już wcześniej przypuszczała, że miał on wiele kochanek, nie sądziła jednak, że zapraszał niektóre z nich do swojej posiadłości. To świadczyło o tym, że nie liczył się z opinią sąsiadów. Po raz kolejny zadumała się nad tym, dlaczego właśnie ją baron upatrzył sobie na żonę.

- I jak? Którą panienka będą chcieli? - Betsy spojrzała na nią, zmarszczywszy czołko.

Wzrok Caroline padł na pierwszą suknię z brzegu.

- Może być ta brzoskwiniowa - odparła.

Dziewczyna aż klasnęła w dłonie.

- W ogrodzie są maleńkie różyczki właśnie w tym kolorze - poinformowała ją podniecona. - Jakby pa-

nienka pozwolili, to wpięłabym parę w jej włosy.

- Doskonale - zgodziła się. - Widzę, że masz talent, Betsy. Możesz przynieść trochę róż.

Pokojówka natychmiast wyskoczyła z pokoju. Przypominała trochę żywe srebro i Caroline nie miała nawet do niej pretensji, że nie ukłoniła się przed wyjściem. Jej poprzednia służąca była zdecydowanie mniej sympatyczna. Poza tym lady Hanscombe zwolniła ją, gdy tylko okazało się, że pasierbica wyjeżdża do posiadłości barona.

Po chwili znowu rozległo się pukanie, a w drzwiach pojawiła się głowa Betsy.

- Och, panienko, zapomniałam spytać, czy powiedziec lokajowi, żeby przygotowali panience kąpiel?

Jeszcze jeden znakomity pomysł. Caroline z przyjemnością pomyślała o kąpeli i oczywiście natychmiast o nią poprosiła. Godzinę później była gotowa do obiadu. Czysta, pachnąca i ubrana w brzoskwiniową sukienkę. Poza tym okazało się, że pokojówka ma naturalny dar układania fryzur. Po krótkim zastanowieniu szesała jej włosy do tyłu, zostawiając parę niesfornych kosmyków przy uszach, i upięła je w kok, który następnie ozdobiła różyczkami.

Caroline nigdy nie wyglądała tak pięknie. Betsy aż otworzyła buzię, oglądając ją ze wszystkich stron.

- Bardzo ładnie - powiedziała z namaszczeniem. - Wszyscy się cieszą, że nasz pan się żeni z panienką, naprawdę!

- Ze się żeni ze mną, czy że w ogóle się żeni? - spytała przytomnie Caroline.

- No, że się w ogóle żenią - przyznała służąca. - Ale teraz, kiedy poznają panienkę, to się będą cieszyć jeszcze bardziej.

Caroline też żywiła taką nadzieję. Przecież miała spędzić w tym domu resztę swego życia i chciała dobrze ułożyć sobie stosunki ze służbą.

Na dziesięć minut przed posiłkiem w jej pokoju pojawiła się Jessica. Na jej widok mała Betsy otworzyła jeszcze szerzej buzię.

- Uch! - westchnęła tylko.

Jessica założyła długą, mocno wydekoltowaną suknię w swoim ulubionym, zielonym kolorze, złoty pasek i złotą opaskę na głowie. Z biżuterii miała na sobie jedynie mało wartościowy naszyjnik z nefrytem. Jednak musiał on robić piorunujące wrażenie na mężczyznach, a zwłaszcza ta jego część, która niemal stykała się z jej krągłymi piersiami.

- Jessico, mam wrażenie, że Pan Bóg zesłał cię po to, żebyś przywoływała mnie do porządku, kiedy jestem za bardzo zadowolona ze swego wyglądu! - rzekła ze śmiechem Caroline. - Betsy, to moja ciotka, Jessica Sterling.

Pokójówka dygnęła.

- Pani wyglądają naprawdę pięknie. - Dziewczyna nawet nie próbowała ukryć podziwu. - Jak niektóre damy, co tutaj przyjeżdżali. Tylko, że jeszcze ładniej!

Caroline mrugnęła do ciotki chcąc dać znać, żeby nie rozpytywała o te „damy”. Ciotka od razu pojęła w czym rzecz. Obejrzała z uznaniem siostrzenicę, a następnie zwróciła się do służącej.

- Czy to ty układałaś włosy Caroline? Widać, że dobrze ci to idzie. Będziesz mogła mi czasami pomóc?

Pokójówka dygnęła raz jeszcze, skubiąc z onieśmielenia fartuszek.

- Jak *tylko* pani będą chcieli.

Dziewczyna nie mogła uwierzyć swemu szczęściu.

Jeszcze dziś rano zajmowała się jedynie polerowaniem sreber, a już po południu została pokojówką. Co więcej, najelegantsza dama, jaką w życiu widziała, prosiła ją o pomoc przy układaniu włosów. Betsy wprost oniemiała z zachwytu.

Panie zeszyły na dół, gdzie przy schodach czekał na nie ugrzeczniiony Burkę.

- Proszę nas prowadzić do jadalni - zadysponowała Jessica.

Lokaj skłonił się im nisko.

- W Wildehaven wszyscy zbierają się najpierw w małym salonie - wyjaśnił. - Proszę za mną.

Caroline znowu pomyślała, że bez przewodnika łątwo mogłaby się zgubić w labiryncie korytarzy. O dziwo, Jessica radziła sobie doskonale. Tak, jakby miała jakiś instynkt, który podpowiadał jej, gdzie ma iść. A może po prostu częściej bywała w tego rodzaju pałacowych wnętrzach.

Jak się okazało, w małym salonie można by pomieścić ze trzy tuziny gości, dlatego Caroline z obawą pomyślała o dużym. Czuła się tutaj zagubiona. Pan Burke nalał im po kieliszku likieru, a następnie wyszedł.

Caroline spróbowała odrobinę alkoholu i odstawiała kieliszek na mahoniowy stół. Następnie podeszła do sięgającego podłogi okna i wyjrzała na zewnątrz. Piękna trawa lśniła świeżą zielenią w blasku słońca. Caroline spróbowała wyobrazić sobie swoje dzieci biegające między drzewami, ale na próżno. Równie dobrze mogła sobie myśleć o elfach albo trollach.

Oczywiście macocha udzieliła jej pouczeń na temat obowiązków małżeńskich. Były one jednak tak zenujące, że Caroline omal nie spaliła się ze wstydu.

Zwłaszcza w zestawieniu z delikatnymi i mądrymi wyjaśnieniami ciotki.

Nagle głęboki głos wyrwał ją z zamyślenia:

- Przepraszam za spóźnienie.

Caroline zaczerwieniła się, jakby baron przyłapał ją na gorącym uczynku. Czasami miała wrażenie, że potrafi czytać w jej myślach.

- Nic nie szkodzi - odparła. - Podziwiamy tereny wokół pałacu, panie.

Spojrzał na nią kpiąco, ale jego słowa pełne były rewerencji.

- Jason - poprawił ją. - Podobno ten park należy do najpiękniejszych w Anglii. Jeśli nie będziesz zmęczona, chętnie pokażę ci po obiedzie jego część.

~ Z przyjemnością... Jason.

Caroline postanowiła, że jednak ulegnie zmęczeniu. Nie czuła się jeszcze na tyle silna, by odbywać samotne spacerzy z narzeczonym.

Baron spojrział na Jessikę. Jej widok, który rozbrowiłyby większość mężczyzn, podziałał na niego zupełnie odwrotnie. Zaciśnął usta i przeszedł do drzwi.

- Zapraszam na obiad - rzekł, otwierając je, - Pójdę pierwszy, żeby pokazać drogę.

Nawet mała, rodzinna jadalnia wydawała się za duża dla trzech osób. Zwłaszcza, że Caroline siedziała obok narzeczonego, a Jessica daleko od nich, na honorowym miejscu. Rozmowa jakoś się nie kleiła. Wszyscy czuli się, nie wiedzieć czemu, skrępowani. Co więcej, brakowało tu kotka, który rozładowałby atmosferę. Rudowłosa piękność znowu próbowała mówić baronowi na „pan”, ale przypomniał jej, że przecież postanowili już mówić sobie po imieniu.

- Przykro mi to powiedzieć, ale będę *musiał* was

opuścić - oznajmił już przy deserach. - Mój zarządca poinformował mnie, że muszę niezwłocznie udać się do Suffolk. Jeszcze jutro zostanę w Wildehaven, ale wyjadę pojutrze wcześniej rano.

Z przykrością stwierdził, że na twarzy Caroline odmalował się wyraz ulgi. Również Jessica nie wyglądała na zasmuconą tą wiadomością.

- Powinnyście się tutaj rozgościć i poznać okolice - ciągnął baron. - Jessico, na pewno chętnie skorzystasz z moich stajni. Pamiętam, że doskonale jeździłaś konno.

Pani Sterling drgnęła, ale w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że jest poruszona.

- Od lat tego nie robiłam, ale z przyjemnością przypomnę sobie dawne czasy - odrzekła. - Wzięłam nawet strój do jazdy.

Jason spojrzął na nią ostro. Czyżby się z nim drażniła? Jednak Jessica wyglądała w tej chwili na wcieloną niewinność.

- Zaprosiłem też paru przyjaciół - dodał po chwili. - Na pewno przyjedzie tu George Fitzwilliam. Poza tym, ciotka Honoria chciałaby poznać moją przyszłą żonę.

Caroline zrobiła nieszczęśliwą minę, a z ust jej ciotki wymknęło się głośne: „O!”

- Znasz ją? - zainteresował się Jason.

Jessica natychmiast pożałowała swojej reakcji.

- Tak, spotkałam ją jakiś czas temu - odparła. - Jednak obawiam się, że nie przypadłam jej do gustu.

Baron odłożył łyżeczkę i odsunął od siebie talerzyk z kawałkiem ciasta.

- Wobec tego będzie miała okazję zweryfikować swoje pierwsze wrażenia - powiedział. - Zwłaszcza,

kiedy przekona się, że stałaś się stateczną i godną poważania damą.

Wydawało mu się, że Jessica zazgrzytała zębami, słysząc tę uwagę. Kiedyś pewnie obraziłaby się, gdyby usłyszała coś takiego z jego ust.

- To tylko pozory, Jason - rzuciła lekko. - W rzeczywistości wciąż czuję się trzpiotowatą siedemnastolatką.

Caroline patrzyła to na barona, to na ciotkę, nie bardzo rozumiejąc, o co im chodzi. Jednak powoli zaczynało do niej docierać, że ich aluzje dotyczą przeszłości i że to, co się zdarzyło, wciąż ma dla nich jakieś znaczenie.

Tylko co mogło się zdarzyć?

- Czy mamy się spodziewać gości przed twoim przyjazdem, pa... Jason?

Trochę już go złościło to, że narzeczona nie była w stanie zwracać się do niego po imieniu.

- Nie sądzę. Ale nawet, gdyby zjawili się wcześniej, służba będzie wiedziała co robić - uspokoił ją. - Naprawdę bardzo mi przykro, że muszę wyjechać, ale sprawa jest poważna.

Bo jak długo mógłby jeszcze znosić spojrzenie zielonych oczu? Ile czasu wytrzymałby widok wspaniałego dekoltu, bez myślenia o obietnicy, którą oferuje?

Nikt z zebranych nie miał już ochoty na desery. Zaraz po *wstaniu od* stołu Caroline oznajmiła, że chciałaby odpocząć, a ciotka pożegnała się z baronem i poszła za nią. Jason też chciał wyjść, ale jego wzrok padł na karafkę z porto, stojącą na stoliku obok. Podszedł do niego i nalał sobie duży kieliszek czerwonego jak krew płynu.



Następnego dnia, tuż po śniadaniu, wybrali się we trójkę na obiecane zwiedzanie domu. Początkowo Jessica myślała o tym, żeby wymówić się migreną, ale potem zdecydowała, że będzie to dla niej jakąś rozrywką. Poza tym chciała poznać pałacowe zakamarki, gdyby kiedyś musiała skorzystać z jakiejś kryjówki, czy schować gdzieś Caroline. Po jakimś czasie dołączyła do nich ochmistrzyni, ale to Jason służył za przewodnika, sypiąc jak z rękawa informacjami i anegdotami na temat Wildehaven.

- Początkowo te ziemie były jednym terenem łowieckim - ciągnął swoje wyjaśnienia. - Jednak Henryk II rozdzielił je między dwóch swoich faworytów. W ten sposób powstało "Wildehaven i Wargrave Park. Obie posiadłości kurczyły się lub rosły w siłę, ale domy pozostały bardzo blisko siebie. Od pałacu Wargrave dzieli nas zaledwie mila.

Z przyjemnością zauważył, że Caroline słucha go z uwagą.

- To chyba zdarza się bardzo rzadko - zauważyła.

- Tak, ale musisz pamiętać, że posiadłości należały do prawdziwych przyjaciół. Nasze rody wspierały się w ciągu kolejnych wieków. - Jason zadumał się na chwilę. - Niestety, to się już skończyło. Zmarły hrabia Wargrave uważał nawet, że Wildehaven jest w złym guście, chociaż wydaje mi się, że był po prostu zazdrosny. Patrzył, jak Radfordowie się bogacą, a jego znakomitsza rodzina, powoli schodzi na psy. O ile dobrze się orientuję, w Wargrave nikt teraz nie mieszka poza podstawową służbą.

- Ile lat ma ten pałac? - spytała Jessica, rozglądając się dokoła.

- Niecałe sto - padła odpowiedź. - Powstał na miej-

scu dawnego domu, który spłonął w wyniku podpalenia. Podobno zrobił to mój dziadek, który był już znudzony brzydota starego zameczku. Następnie zlecił budowę Nicholasowi Hawskmoorowi i jest to podobno jeden z jego najlepszych projektów.

Pałac, zwłaszcza przy dokładnym zwiedzaniu, wyglądał jak perełka architektury. Miał cudowne proporcje i odpowiednie zdobienia. Radfordowie nie żałowali środków na jego budowę, pełno więc w nim było marmurów i greckich posągów. Każdy pokój miał też czynny kominek, co pomagało szczególnie w czasie zimowych wieczorów.

Przeszli dalej i po chwili znaleźli się w rodzinnej galerii. Jason zaczął omawiać kolejne portrety, natomiast Caroline co jakiś czas zerkała to na niego, to na kolejny obraz. Nie sposób było nie zauważyć tych spojrzeń.

- Masz rację, w rodzinie Kincaidów pojawiają się charakterystyczne cechy - rzekł z uśmiechem.

Dziewczyna skinęła głową.

- Mm, na przykład myślałam, że masz wyjątkowe brwi, ale teraz widzę, że...

Nie dokończyła. Dla wszystkich było jasne, co chce powiedzieć. Krzaczaste brwi i ostre rysy charakteryzowały większość mężczyzn w tej rodzinie. I nawet kobiety patrzyły wyniośle na świat. Caroline pomyślała, że być *może* będzie pierwszą, która wniesie w stosunki rodzinne trochę łagodności. Oczywiście, jeśli podoła temu zadaniu.

- Oto Rupert Kincaid, szósty baron, który poczuł się osobiście dotknięty wojną dwóch róz - Jason ciągnął objaśnienia. - A dalej jego prawnuk, który poróżnił się o coś z królową Elżbietą i musiał schronić się

w Wildehaven. Jednak wszystko zaczęło się od sir Ral-  
pha Kincaida, zwanego w rodzinie Wielkim Rajf urem.

- Dlaczego? - wyrwało się Caroline, chociaż wie-  
działa, że jako młoda dama nie powinna pytać o ta-  
kie rzeczy.

- Podobno to on stręczył Piękną Rozamundę Hen-  
rykowi II - wyjaśnił Jason, przewróciwszy diabolicz-  
nie oczami. - Poza tym, służył królowi jak mógł... tru-  
jąc i mordując kogo się dało.

Jessica pokiwała głową.

- Bardzo ciekawa historia. I pouczająca.

Baron nie wiedział, czy kpi sobie teraz z niego, czy  
też mówi to poważnie.

- I jakże aktualna...

Caroline poczuła się znowu tak, jakby weszła mię-  
dzy ostrza potężnych szermierzy. Jednak napięcie,  
które pojawiło się na moment między ciotką i Jaso-  
nem szybko zniknęło.

- Czy Ralph Kincaid był rzeczywiście takim szu-  
brawcem? - spytała *drżącym* głosem.

- A kim innym mógłby być z takim wyglądem? -  
Baron odpowiedział pytaniem. - Wystarczy spojrzeć.

Wszyscy, nie wyłączając ochmistrzyni, raz jeszcze  
spojrzeli na portret. Caroline odwróciła się po chwili-  
li do narzeczonego.

- Ależ on bardzo przypomina ciebie! - zauważyła.

- A kto mówi, że nie?

Jessica pierwsza wybuchnęła śmiechem. Po niej  
przyszła kolej na Caroline i nawet pani Burkę wy-  
tarła oczy fartuchem. Jason patrzył na to wszystko  
z pobłażaniem. Do Caroline zaczęło powoli docie-  
rać, że ma on specyficzne poczucie humoru, które  
żywiło się nieszczęściami i złymi wydarzeniami. Je-

go ostrze trafiało albo w rozmówcę, albo w samego barona.

Kiedy już panie się uspokoiły, Jason zrobił tajemniczą minę i zaprosił je do następnego pomieszczenia. "Weszli tam po ciemnych, ponurych schodach.

- Dobry Boże! Myślałam, że coś takiego można zobaczyć tylko w "warownych zamkach w Szkocji! - wykrzyknęła Caroline.

Jessica była bardziej powściągliwa, ale jej mina wskazywała, że również na niej to miejsce zrobiło wielkie wrażenie. Była to prawdziwa zbrojownia, z rzędami mieczy, skrzyżowanymi pikami, a także różnego rodzaju bronią palną. Znajdowały się tu długie aż do podłogi okna i stara szafa, zapewne wypełniona amunicją i strzelbami.

- Chciałem ci przypomnieć, że pierwotnie stał tu zamek - powiedział Jason. - Ta broń przetrwała pożar, więc *moi* przodkowie umieścili ją tutaj. Czasami używamy tego pomieszczenia do lekcji fechtunku, chociaż na wiosnę i w lecie znacznie lepiej korzystać z parku.

Przeszli jeszcze przez kilka wspaniałych pokoi i w końcu zakończyli zwiedzanie. Caroline czuła, że powinna coś teraz powiedzieć.

- To naprawdę cudowny pałac, ale... - zaczęła.

- Ale? - podchwycił natychmiast baron, a dziewczyna zadrżała na widok jego ściągniętych brwi.

- Niestety, *nie* widziałam *nigdzie* pokoju muzycznego - dokończyła, rozkładając ręce.

Na czole Jasona pojawiły się dwie poprzeczne zmarszczki, a on sam tylko pokiwał głową.

- To prawda, moja rodzina nigdy nie była zbyt muzykalna - wyznał. - Matka prawie nie korzystała z fortepianu, a po jej śmierci oddaliśmy go córce pa-

stora, bo nikomu nie był potrzebny. Oczywiście, kupię ci wszystko, co zechcesz. Musisz tylko wypisać mi nazwiska producentów - dodał szybko. - Bardzo mi przykro, że się zawiodłaś.

Caroline, która nie przywykła do tego, żeby ktokolwiek spełniał jej prośby, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przecież wcale tego nie powiedziałam - zaprzeczyła gwałtownie. - Dom jest wspaniały. Tyle, że po prostu bardzo lubię grać.

Jason zmarszczył brwi, szukając wyjścia z sytuacji. Natomiast Caroline czuła się nieswojo, ponieważ mogła sprawiać -wrażenie kapryśnej pannicy, której nie można dogodzić.

- Wiem! - wykrzyknął wreszcie baron. - Na odpowiedni instrument musiałabyś czekać parę tygodni. Dlatego proponuję, żebyś na razie korzystała z fortepianu w Wargrave Park. Zmarła hrabina była bardzo muzykalna, a Somers, dawny lokaj Davenportów, będzie szczęśliwy, że ktoś zechce tam bywać.

Caroline po raz pierwszy była naprawdę uradowana.

- To cudownie! Dziękuję!

Wspięła się wysoko na palce i niezgrabnie pocałowała go w policzek. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali. Jason spojrzał na nią z uśmiechem i pomyślał, że dopiero teraz naprawdę mu się podoba.

## 8

Richard Davenport obejrzał siedzibę przodków bez należytego szacunku, a nawet z pewnym rozbawieniem. Nie miał też poczucia, że wraca do domu. Raczej, że odbywa kolejną podróż.

Jednak, kiedy Josiah Chelmsford kazał zatrzymać powóz przed bramą do Wargrave Park i poprosił go, żeby rzucił okiem na swoją posiadłość, kapitan z przyjemnością opuścił ciasne wnętrze. Bardzo źle znosił siedzenie w *jednej* pozycji i teraz z ulgą rozprostował nogi. Dopiero po chwili zauważył niezwykle budynek, który stał nieco bardziej w dole, w otoczeniu starych drzew. Na jego widok na ustach Richarda pojawił się pobłażliwy uśmiech.

- Wygląda tak, jakby go wybudowano pięćset lat temu - zauważył.

Stary prawnik poklepał go po ramieniu.

- A wiesz, że prawie zgadłeś, mój drogi - pospieszył z wyjaśnieniami. - Najstarsza część zamku pochodzi z trzynastego wieku. Żaden z Davenportów nie chciał niszczyć tego, co wcześniej wybudowano, stąd zapewne wrażenie... mieszaniny stylów.

W rezultacie powstało coś, co mogło się przyśnić tylko szalonemu architektowi. Centralną część stanowiła bryła w stylu elżbietańskim, z dzielonymi kamiennymi słupkami otworami okiennymi i szerokim gzymsem. Po lewej stronie, znajdowała się niewielka

część, sprawiająca wrażenie średniowiecznej, a po prawej, duża część w stylu niemal współczesnym. Poza tym, ktoś w rodzinie miał chyba bzika na punkcie wież, ponieważ te właśnie budowle były nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do samego zamku. Jednak z ich wyglądu trudno było wnosić, czy wybudowano je dawno, czy też może przed paroma laty. Między drzewami prześwitywała jeszcze niewielka kopulasta budowla, położona w głębi parku, która przypominała grecką świątynię.

Richard przyglądał się całemu miejscu z rosnącym zdumieniem. Im dłużej patrzył, tym bardziej wydawało mu się jednorodne. Może dlatego, że całość powstała z miejscowych materiałów i że szarozłoty kamień z Cotswold nadawał budynkom zbliżony charakter? A może dlatego, że zamek doskonale wpisywał się w krajobraz i nawet wieże w pewnym sensie powtarzały linie dwóch, znajdujących się nieopodal pagórków?

W końcu obaj mężczyźni wrócili do powozu i podjechali przed wejście główne. Patrząc na asymetryczną bryłę, Richard zastanawiał się, dlaczego jego ojciec nigdy tu nie wrócił. Pojedynki wprawdzie były zakazane, ale wystarczyło skryć się na parę miesięcy na wsi lub wyjechać za granicę, a wszyscy chętnie o nich zapominali. A Julius zdecydował się wyjechać na zawsze. Dlaczego?

Richard nie mógł się powstrzymać i spytał o to Chelmsforda, ale stary prawnik wzruszył tylko ramionami. Dopiero, kiedy kapitan zaproponował przechadzkę, chcąc jeszcze bardziej rozruszać nogę, stał się bardziej rozmowny:

- Sam nie wiem, dlaczego tak się stało - powiedział, kierując się w stronę dosyć zaniedbanego par-

ku. - To był jakiś straszny skandal. I mimo, że twój ojciec zabił przeciwnika w uczciwej walce, tamta rodzina wytoczyła mu proces o morderstwo. Barford miał olbrzymie "wpływy i twój ojciec, chłopcze, zdecydował, że musi uciekać. Był u mnie tuż przed wyjazdem. Prosił, żebym zlikwidował jego sprawy i przesłał pieniądze do paryskiego banku.

Prawnik zatrzymał się na moment, ponieważ Richard miał problemy z nadążeniem. Zwłaszcza, że jego laska nie znajdowała właściwego oparcia w żwirze, którym był *wysypany* podjazd.

- Musisz pamiętać, mój drogi, że w grę mogły też wchodzić inne motywy - dodał po chwili. - Twój dziadek był niezwykle silną osobowością i Julius być może bał się, że zechce mu narzucić swą wolę. Osobiście bardziej dziwi mnie to, że wychował cię w przekonaniu, iż jesteś Anglikiem. Przecież prawie całe życie spędziłeś za granicą.

Richard skinął głową.

- To zasługa obojga rodziców. Zawsze chcieli, żebym był patriotą. Nigdy też nie mieszkaliśmy na tyle długo w jednym miejscu, żebym mógł utożsamić się z jakąś miejscową kulturą. Chociaż w dalszym ciągu kocham Grecję... - kapitan urwał na chwilę. - Jednak, kiedy podrosłem, przenieśliśmy się do Belfastu, żebym mógł chodzić do brytyjskiej szkoły, a potem skończyłem Oksford. Ale ani mama, ani tata nigdy nie stanęli na rodzinnej ziemi. Nawet, kiedy było to wygodniejsze w czasie podróży. Sam nie wiem, dlaczego, ale sądzę, że kryje się tu jakaś tajemnica.

Chelmsford rozłożył ręce.

- Historia twojej rodziny kryje niejedną tajemnicę - zakonkludował. - Sam się o tym przekonasz.



Najważniejsze, że twoi rodzice byli szczęśliwi.

Miody Davenport rozejrzał się po parku i spróbował wyobrazić sobie, że ojciec biegał tu jako dziecko. Na próżno. Jak wszystkie dzieci widział rodziców tylko w ich dorosłych rolach. Kiedy miał mniej więcej siedem, osiem lat, zrozumiał, że jego rodzina jest inna. Po pierwsze, wszyscy byli sobie nad wyraz oddani. Po drugie, nigdy nie mówiło się o żadnych krewnych, tak jakby rodzice całkowicie odcięli się od korzeni.

Przystanął i poprosił Chelmsforda, żeby wrócili do zamku. Przez moment przyglądał się kamiennemu budynkowi, zastanawiając się, jakby się czuł jako kolejny hrabia Wargrave. Czy nie ugiąłby się pod ciężarem obowiązków? Czy potrafiłby poradzić sobie z tyloma podwładnymi?

W wojsku nie było z tym najmniejszych problemów, ale miał tam niewielki pododdział i jasno wyznaczone cele. Nie musiał się martwić o to, że byt jego żołnierzy zależy tylko od niego. Chociaż oczywiście było mu przykro, kiedy dostawali żołd ze znacznym opóźnieniem, albo kiedy dowództwo skąpiło grosza na odszkodowania dla rodzin poległych.

W końcu dotarli do schodów.

- Chodź, chłopcze, przedstawię ci służbę - powiedział stary prawnik.

Następne pół godziny spędzili w towarzystwie pełnego godności lokaja Somersa i dawnego zarządcy hrabiego, Haina. Chelmsford przedstawił go oczywiście jako kapitana Daltona, który będzie się zajmował inwentaryzacją majątku na potrzeby kancelarii. Następnie poprosił obu starszków, aby służyli mu wszelką pomocą. Lokaj i zarządca zapewnili go, że chętnie jej użyją.

- Dobrze, mój chłopcze - Chelmsford znowu zwrócił się do niego. - Muszę teraz omówić z panami parę ważnych spraw, a ty *możesz rozejrzeć* się po zamku.

Richard skinął głową.

- Z przyjemnością.

Gdy tylko wyszedł, stary prawnik wstał i podszedł do drzwi. Następnie wsłuchał się w odgłosy oddalających się kroków i w końcu zwrócił się do obu starców:

- Jeżeli kapitan Dalton wam kogoś przypomina, to bardzo proszę, żebyście zachowali to dla siebie.

Somers skinął tylko lekko głową i milczał, jak wcielenie dyskrecji. Bardziej ciekawy Joseph Hain zerknął na Chelmsforda.

- Jeśli mnie oczy nie mylą, to jest jeszcze jakaś nadzieja dla Wargrave - rzekł niepewnie.

- Tak, ale trzeba uważać, żeby go *nie* spłoszyć. - Prawnikiem zrobił efektowną przerwę. - Teraz wszystko w waszych rękach. Musicie odpowiednio zadbać o kapitana Daltona - położył nacisk na nazwisko.

Obaj służący skinęli głowami i w pokoju zapadła porozumiewawcza cisza.

Dom robił znacznie lepsze wrażenie wewnątrz niż na zewnątrz. Pełno w nim było różnego rodzaju zakątków i kryjówek, a poza tym, kiedy się przechodziło przez kolejne sale, znikało wrażenie dysonansu, a pojawiało się uczucie podróży w czasie.

W zamku rzeczywiście znajdowała się wielka średniowieczna sala, od której Richard rozpoczął swoje eksploracje. Szczególnie spodobał mu się w niej balkon dla orkiestry, chociaż niezwykle interesujące było też otwarte palenisko, na którym można było piec

całe świnie i barany. Jednak, przede wszystkim, ta sala nadawała się na wielkie bale i przyjęcia.

Ruszył dalej. Większość mebli w następnych komnatach pochodziła z epoki elżbietańskiej, chociaż zdarzały się też starsze i nowsze. Jego uwagę przyciągnęły rzeźbione schody, a także wielkie szafy, które stanowiły jakby przejście do innego świata. Pomyślał, że w takim starym domu muszą być jakieś tajne przejścia i jeśli kiedyś tu osiadzie, będzie mógł je odnaleźć.

Wreszcie dotarł do najnowszego skrzydła domu i ku swojemu zdziwieniu usłyszał tu jakąś niezmierną melodię. Początkowo wydawało mu się, że to złudzenie. Podeszedł nawet do okna, żeby sprawdzić, czy to nie wiatr, ale dzień był wyjątkowo spokojny. Ruszył więc dalej i po chwili odróżnił coraz wyraźniejsze dźwięki harfy, dobiegające zza solidnych, dębowych drzwi.

Richard podeszedł i zajrzał ciekawie do pomieszczenia. Początkowo wydawało mu się, że zobaczył anioła. Zjawisko było tak piękne i tak niebiańsko natchnione. Potem jednak zdecydował, że anioły nie potrzebują nut, musi więc to być istota pochodzenia ziemskiego. Ale nie wskazywał na to ani jej wygląd, ani muzyka, jaka ulatywała spod jej palców. Dziewczyna miała delikatną twarz okoloną aureolą blond włosów, a jej biała suknia błyszczała w świetle słońca niczym szata proroka.

Kapitan z trudem poznał melodię, którą grała. Po pierwsze, ze względu na znakomite wykonanie tej w sumie prostej piosenki, a po drugie dlatego, że dziewczyna zmieniła szereg miejsc, niektóre wzbogaciła, inne zaś uprościła. Ciekawe, czy właśnie taki zapis miała w nutach?

W muzyce poruszyło go też coś jeszcze. To, że cała była hymnem na cześć życia i radości. Doznanie było tak intensywne, że nie wytrzymał i zaczął pogwizdywać sobie tę melodię pod nosem. Na koniec harfistka wydobyła ze swego instrumentu prawdziwą kaskadę dźwięków.

Richard pchnął drzwi i zaczął klaskać. Dziewczyna spojrzała na niego tak, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest, ani co się z nią dzieje.

- To był pan, prawda?

- Co, ja? - spytał zaskoczony nietypowym powitaniem.

- Początkowo wydawało mi się, że mam słuchowe omamy, bo to przecież nie może być flet - wyjaśniła. - Dopiero teraz rozumiem, że to pan. Czy pan gwizdał?

Zawstydzony Richard skinął głową.

- Przykro mi, że pani przeszkodziłem. Niestety, czasami nie potrafię się powstrzymać. A czasami nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, że to robię - dodał.

- Nie, nie, wcale mi pan nie przeszkodził - zapewniła gorąco. - Doskonale pan gwizdże. W dodatku zna pan zapewne tę melodię?

- Tak, to kompozycja Turlougha O'Carolana - odparł.

- Więc słyszał pan o kompozytorze! - ucieszyła się. - A ja go nawet nie znałam. Po prostu znalazłam nuty z tą melodią, a potem ją trochę zmieniłam... - zawstydziała się nagle.

To potwierdzało jego przypuszczenia.

- Był świetnym kompozytorem, który łączył wątki ludowe z muzyką włoską - zaczął wyjaśnienia. - Niestety, nie jest specjalnie znany poza Irlandią. Nie wiele osób decyduje się na wykonanie tych utworów

na oryginalnych instrumentach. To zadziwiające, że nauczyła się pani grać na harfie celtyckiej.

Nieznajoma zmieszała się jeszcze bardziej, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Ja nie, nie umiem - tłumaczyła się niezręcznie. - Znalazłam ten instrument dziś rano w pudle i pomyślałam, że jest trochę podobny do harfy, a trochę do lutni.

- Bo to jest harfa, tyle że celtycka - Richard wpadł jej w słowo. W głowie nie chciało mu się pomieścić, że dziewczyna dopiero dziś rano rozpoczęła naukę gry na tym instrumencie. - Zwana też lirą, albo *crwth*.

Caroline słuchała go z otwartymi ustami. Jej włoski nauczyciel nigdy nie wspominał o takim instrumencie.

- Czy... czy grałam dobrze? - spytała niepewnie.

- Najlepszy Irlandzki bard nie powstydziliby się takiego wykonania - zapewnił ją. - Wiem coś o tym, bo kończyłem szkołę w Belfaście.

Na moment zamilkli i atmosfera przestała być tak swobodna. Richard nie mógł oderwać oczu od nieznajomej, ale czuł, że ją to peszy. Dlatego w końcu rozejrzał się po pokoju.

- Co to za miejsce? - spytał,

- Dla mnie to niebo - odparła dziewczyna. - Ale podejrzewam, że normalnie mówi się o nim pokój muzyczny.

No tak, gdzie indziej mógłby przebywać anioł, jeśli nie w niebie? Zresztą to pomieszczenie mogło przypominać raj, zwłaszcza komuś, kto kochał muzykę. Na jego środku stał wspaniały fortepian, a w kątach i na półkach znajdowały się różnego rodzaju instrumenty. Niektóre z nich wyglądały na bardzo egzotyczne.

Richard podszedł do jednej z półek, wziął z niej gruby zeszyt nutowy i otrzepał go z kurzu. *Drobiny* pyłu wyglądały niczym złote iskiereki roztańczone w prześwietlonym *stońcem* powietrzu.

- Jan Sebastian Bach, „Koncerty skrzypcowe” - przeczytał, sięgając po następny zeszyt. - Mozart, sonaty.

Caroline zbliżyła się do niego bezwiednie.

- Czyż to *nie* zadziwiające? Nigdy dotąd nie widziałam takiego muzycznego bogactwa. Podobno zmarła hrabina świetnie grała na *różnych* instrumentach. Ale to wszystko - zatoczyła wielki krąg ręką - musiało być dorobkiem *jej życia*. Instrumenty są doskonałej jakości, a wśród kompozycji jest wiele takich, o których nie słyszałam.

Richard jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu.

- No tak, mamy tu cymbały, klawikord i klawesyn, a także ten wspaniały fortepian. Jak na mój gust, brakuje tylko organów - zauważył na koniec.

Caroline uśmiechnęła się do niego promiennie.

- A właśnie, że miały być organy! - odrzekła triumfalnie. - W parafialnym kościele! Tyle, że hrabia nie zgodził *się na nie*, bo bał się, że muzyka zniszczy tynki! Tak przynajmniej mówił Somers.

- *Biedny człowiek* - westchnął Richard.

- Kto, Somers?

- Nie, hrabia - poprawił ją. - Pewnie nie był zbyt muzykalny.

Roześmiali się oboje z tego zabawnego nieporozumienia.

Kapitan od dłuższego czasu spoglądał tęsknie w stronę fortepianu. W końcu pokuśtykał do niego i pogłaskał ciemną obudowę.

- Proszę mi wybaczyć, ale niemal od roku nawet

nie widziałem takiego instrumentu. - Przebiegł palcami po klawiszach. - Piękne dźwięki.

Nie patrząc w jej stronę zaczął grać jedną z sonat Mozarta. Jak na kogoś, kto nie ćwiczył od roku, szło mu nadzwyczaj dobrze. A pewne formalne niedociągnięcia nadrabiał żarliwością interpretacji.

Caroline była zauroczona. Nie bardzo wiedząc co robi, przysunęła sobie drugi taboret i zaczęła improwizować do głównej melodii. Mężczyzna był trochę zaskoczony, ale nie zgubił rytmu. Wspólnie wykonali "wspaniały improwizowany utwór.

- Dziękuję, pani - rzekł, odwracając się do niej. - To było naprawdę wspaniałe.

- Czy zna pan inne sonaty Mozarta? - spytała, spuściwszy oczy.

Richard skinął głową i zaczął grać. Caroline po chwili znowu się włączyła, chociaż teraz z większą ostrożnością. Pamiętała jeszcze spojrzenie brązowych oczu, które wytrąciło ją z równowagi. Siedziała tuż obok mężczyzny i ich ciała niemal się stykały. Ale, o dziwo, nie chciała uciekać, jak wtedy, kiedy baron jej dotykał. Dziwne ciepło rozchodziło się po całym ciele dziewczyny. Jednak muzyka wciągała ją coraz bardziej. Zwłaszcza, że nieznajomy nabierał wprawy i grał coraz szybciej.

Skończyli jedną sonatę i zaczęli drugą. Grali tak mniej więcej pół godziny i właśnie w trakcie kolejnego utworu zastał ich Chelmsford. Znalazł ich bez trudu, ponieważ dębowe drzwi pozostały otwarte i muzyka rozchodziła się po całym zamczysku. Stary prawnik nie zdziwił się nawet, że Richard gra tak dobrze, ponieważ tradycje muzyczne w rodzinie były bardzo żywe i to zarówno ze strony matki, jak i ojca.

Zdumiał go nieco widok ślicznej osóbkki, która mu towarzyszyła, jak również to, że oboje doskonale do siebie pasowali. Tak, jakby zostali dla siebie stworzeni.

Z przyjemnością dosłuchał do końca kolejnego utworu, a następnie wynagrodził wykonawców brawami.

- Wspaniale, mój chłopcze. To prawdziwa przyjemność, słyszeć takie wykonanie - zwrócił się do Richarda. - Może przedstawiś mnie teraz swojej partnerce.

Młodzi spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Bardzo *mi* przykro, ale jeszcze *nie doszliśmy do nazwisk* - rzekł z rozbawieniem, a następnie wstał i skłonił się dziewczynie. - Pani pozwoli, jestem Richard Dalton i na zlecenie obecnego tu pana Chelmsforda, zajmuję się inwentaryzacją zamku. Czy pani tu mieszka?

*Jej strój wskazywał na to, że nie może być służącą, ani nikim takim.*

- Nazywam się Caroline Hanscombe - powiedziała wyraźnie spłoszona dziewczyna. - Mieszkam nieopodal. I... i dostałam pozwolenie, żeby tutaj ćwiczyć.

Chelmsford skłonił *jej* się uprzejmie.

- Caroline Hanscombe? - powtórzył. - Wobec tego musi pani być narzeczoną lorda Radforda. Czytałem notatkę w gazecie. Proszę przyjąć moje gratulacje.

Richard nagle posmutniał, ale i Caroline nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Tak, baron jest dla mnie... - szukała odpowiednich słów - bardzo uprzejmy.

Stary prawnik patrzył na młodych z wyraźnym smutkiem. Panna Hanscombe wydawała mu się nadzwyczaj sympatyczna. Szkoda, że ma narzeczonego. Jednak Richard powinien zrozumieć sytuację. Lord Radford nie należał do ludzi, którzy pozwoliliby na kłusowanie w swoich włościach.



Odnalazłszy swojego młodego towarzysza, Chelmsford zapragnął pokazać mu posiadłość przy tej wspa-  
niałej pogodzie. Jednak, kiedy dotarli do obory, stało  
się jasne, że nawet najpiękniejsze oświetlenie nie zmie-  
ni jej wyglądu. Budynek był stary i zapuszczony, cho-  
ciaż ze środka dochodziły zwierzęce odgłosy.

Przeszli do stajni, która znajdowała się w równie  
opłakanym stanie. Richard powstrzymał się od ko-  
mentarza, ale stary prawnik i tak poczuwał się do wy-  
jaśnień:

- Próbowałem ratować te zabudowania, ale do-  
chód, niestety, jest za mały. Musiałem przede wszyst-  
kim dbać o zamek.

Weszli do wielkiej stajni. Większość boksów była  
pusta, ale w ośmiu-dziesięciu stały dobrze utrzyma-  
ne konie. Wokół nie było widać stajennych. Daven-  
port sam wziął siodło i oparł łaskę o ścianę.

- Ciekawe, jak mi pójdzie - powiedział na poły do  
siebie, a na poły do towarzysza. - Od roku nie sie-  
działem na koniu.

Zaniepokojony prawnik spojrzął na jego nogę.

- Myślisz, że sobie poradzisz, mój chłopcze?

Richard wzruszył ramionami.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. - Za-  
rzucił *siodło na grzbiet* bułanka, poprawił je i zacis-  
nął popręg.

Chelmsford z niepokojem stwierdził, że kapitan  
wybrał największego i najgroźniej wyglądającego ko-  
nia o dźwięcznym imieniu Pędziwiatr. Chciał zapro-  
testować, ale w końcu uznał, że Richard wie, co ro-  
bi. Sam zabrał się do siodłania Stokrotki, na której  
jeździł już wcześniej.

Co jakiś czas spoglądał z obawą w stronę Pędzi-

wiatra. Bułanek zachowywał się tak, jakby miał zamiar nie dopuścić, by ktokolwiek go dosiadł. Jednak Richard pochylił się i coś do niego zagadał.

- Co ty robisz, mój chłopcze? - zainteresował się.

- Staram się przemówić temu koniowi do rozumu - wyjaśnił kapitan.

- Po hiszpańsku?

- Wygląda na to, że mu się podoba. - Richard ujął lejce i opierając się na zdrowej nodze, dosiadł konia.

Pędziwiatr był łagodny jak baranek. Wkrótce też ruszył posłusznie do wyjścia. Josiah Chelmsford patrzył na to z *rosnącym* zdziwieniem. Postanowił też, że w przyszłości będzie bardziej doceniał Richarda Davenporta.

Trzy godziny później zatrzymali się na wzgórzu, z którego roztaczał się wspaniały widok na wioskę Wargrave. Znajdowała się ona ponad milę od zamku. Większość szarych, kamiennych chałup stała nad rzeką, chociaż niektóre znajdowały się też na okolicznych wzgórzach. Oczywiście największym budynkiem był kościół, ufundowany, jak wyjaśnił Chelmsford, przez Davenportow.

Richarda dziwiły przede wszystkim rozmiary posiadłości. Nigdy nie przypuszczał, że jeden majątek może stanowić samowystarczalną całość. Jak się okazało, Wargrave Park mogło się poszczycić własną mleczarnią i przędzalnią, a także zakładem kowalskim, gorzelnią i tym "wszystkim, co potrzebne jest do sprawnego funkcjonowania małej społeczności. Niestety, część z tych miejsc była zamknięta lub rzadko używana, a samo miasteczko ożywiało się teraz tylko podczas dni targowych.

- Czy wszyscy mieszkańcy miasteczka są uzależnieni od zamku? - spytał Richard.

Chelmsford skinął twierdząco głową.

- Tak. Są zwykle dzierżawcami rodzinnych włości - wyjaśnił. - Niektórzy mają własne, nadane ziemie.

- A co tutejsi mieszkańcy myślą o Davenportach? Prawnik wzruszył ramionami.

- Nikt mi się specjalnie nie zwierza - mruknął. - Ale wiem, że stary hrabia wydał własne prawo dotyczące grodzenia gruntów, w wyniku czego zabrał gminne ziemie. Część ludzi nie mogła się tutaj utrzymać i musiała wyjechać.

- Gdzie?

- Różnie - padła odpowiedź. - Niektórzy do zakładów w Lancashire, a inni do miast albo za ocean. Twój ojciec sprzeciwiał się grodzeniom. Podobno pokłócił się o to z hrabią, a potem pomagał ludziom, którzy chcieli stąd wyjechać.

Richard tylko uśmiechnął się pod nosem. Znał dobrze swojego ojca i wiedział, że tego należało się po nim spodziewać.

- Mam wrażenie, że czytałem gdzieś o grodzeniach. Czy to znaczy, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta? - zwrócił się do swego preceptora z kolejnym pytaniem.

- Naturalnie. I zapewniam cię, że gdybyś chciał zrobić tutaj coś dobrego, będziesz miał więcej szans jako hrabia Wargrave.

Mężczyźni spojrzeli w dół na senną wioskę.

- A inaczej? - rzucił Richard.

- Cóż, różnie może się zdarzyć. Ludzie tutaj liczą po cichu na to, że wykupi ich lord Radford. - Chelmsford zamilkł na chwilę. - Muszę przyznać, że

to dobry zarządca. Jeśli decyduje się na wysiedlenia, to tylko wtedy, kiedy jest to konieczne. A poza tym nie jest obcy.

- Co to znaczy - obcy? - zainteresował się kapitan.

- Ktoś, kto nie urodził się w promieniu kilkunastu mil od Wargrave - odparł pogodnie Chelmsford.

- Wobec tego ja byłbym dla tych Judzi kimś z innej planety!

- Być może, ale wielu z nich pamięta twego ojca. - Prawnik pokręcił w zamyśleniu głową. - Na pewno większość by cię poparła.

Richard już tego nie komentował. Zawrócił konia i ruszył w dół wzgórza. Chelmsford patrzył przez chwilę za nim, myśląc, że jeśli nawet nie docenił jego jeździeckich zdolności, to i tak wie, iż kapitan byłby *doskonałym* panem na Wargrave.

Następnego ranka Caroline zasłaniała co i rusz usta, starając się powstrzymać ziewanie. Cieszyło ją jednak to, że mogła zjeść śniadanie tylko z Jessiką, która była przyzwyczajona do porannej niedyspozycji siostrzenicy.

- Zdaje mi się, że znów cię słyszałam koło północy - zauważyła ciotka. - Czyżbyś coś komponowała?

Dziewczyna ziewnęła raz jeszcze i wypita łyk kawy.

- Tak, musiałam napisać coś na harfę celtycką - wyznała. - Te instrumenty z Wargrave Park są naprawdę fascynujące.

A także mężczyźni, którzy potrafią na nich grać, dodała w duchu.

- O której poszłaś więc spać?

Caroline spuściła głowę.

- Troszkę po drugiej - szepnęła.

Jessica pokręciła z dezaprobatą głową.

- Czyli pół do trzeciej - domyśliła się. - Doprawdy, Caro, jesteś prawdziwym nocnym markiem. Popatrz, jest dziewiąta, a tobie się jeszcze kleją oczy. Ja już byłam na konnej przejażdżce, wzięłam kąpiel i napisałam list do Lindy. Wellesley przypieczętował go własną łapą.

Dziewczyna dopiła swoją kawę i zastanawiała się, czy spróbować zmierzyć się teraz z resztą posiłku. Jak na jej gust było stanowczo zbyt wcześnie na śniadanie.

- Wiesz, ciociu, gdybyśmy mieszkały razem, pewnie rzadko miałybyśmy okazję się widywać - stwierdziła. - Chciałam wczoraj z tobą porozmawiać, jeszcze przed dziewiątą, ale już podobno poszłaś spać.

Jessica z apetytem przełknęła kolejną porcję pasztetu.

- Ale obudziły mnie hałasy dochodzące z twego pokoju. - Wycelowała w siostrzenicę oskarżycielski palec.

- Możliwe, że wystukiwałam rytm - przyznała dziewczyna.

Przez moment zastanawiała się, od czego zacząć śniadanie. Ani pasztet, ani duszone nereczki jakoś jej nie pociągały. W końcu zdecydowała, że spróbuje zacząć od jajka na miękko. Tymczasem ciotka posmarowała sobie grzanek grubą warstwą konfitury z róży.

- Jedz, Caro - zachęciła. - Trzeba przyznać, że baron ma doskonałego kucharza. A jeśli chcesz wstać trochę wcześniej, mogę ci pożyczyć Wellesleya. Dzisiaj nawet jak dla mnie pospieszył się z rozpoczęciem dnia.

Caroline pokręciła głową.

- Obawiam się, że mogłabym go udusić, gdyby jakimś cudem udało *mi się go* złapać o tej porze.

Lord Radford wyjechał dwa dni temu i od tego czasu atmosfera w domu stała się znacznie lżejsza. Caroline sama się dziwiła, że zupełnie nie brakuje jej towarzystwa narzeczonego. Czasami nawet czuła 'się trochę winna z *tego* powodu, ale normalnie po prostu cieszyła się z całkowitej swobody.

- Czy dzisiaj też wybierasz się do Wargrave Park, Caro?

To pytanie spowodowało, że panna Hanscombe

nagle obudziła się do życia. Oczy jej pojaśniały, a na policzkach pojawiły się wypieki. Z większym entuzjazmem zabrała się też do swego jajka na miękko.

- Oczywiście, Jess! To naprawdę niezwykle miejsce. Nawet w sklepach z nutami nie znajdziesz tylu partytur! A instrumenty są po prostu cudowne.

I nie tylko instrumenty, dodał jej wewnętrzny głos.

- Dobrze, ja wobec tego skończę projektowanie nowej sukni.

Nagle do Caroline dotarło, że zaniedbuje Jessikę. A przecież sama ubiegała się o jej towarzystwo.

- Oczywiście możemy zrobić coś razem, jeśli wolisz - dodała szybko.

Jednak ciotka tylko machnęła ręką.

- Daj spokój, nie musisz się mną przejmować. Mam tutaj mnóstwo zajęć. Mogę przecież swobodnie korzystać z pałacu, a także jeździć konno. - Pochyliła się w jej stronę i zniżyła głos do szeptu: - Odkupiłam od jednego ze stajennych koszulę i spodnie do jazdy i nareszcie znowu używam męskiego siodła. Zwłaszcza rano. Czyż to nie wspaniałe?!

Caroline stłumiła śmiech.

- Jesteś niepoprawna. Zwłaszcza jak na ciotkę. Czasami zastanawiam się, kto tutaj powinien grać rolę przyzwoitki?

- Nie przesadzaj, moja droga. Po prostu już teraz pracuję na to, by stać się w przyszłości ekscentryczną starszą panią.

- Chyba nie musisz specjalnie się wysilać, by uchodzić za ekscentryczną - roześmiała się siostrzenica. - Gorzej z tym drugim.

- Wszystko przychodzi we właściwym czasie - rzekła sentencjonalnie Jessica. - Ale wracając do War-

grave, może po prostu zajrzę tam do ciebie w czasie konnej przejażdżki i posłucham, jak grasz.

Caroline skończyła jajko, dojadła grzanekę i uznała, że śniadanie ma już z głowy.

- Świetny pomysł! - ucieszyła się dziewczyna. - Tylko może nie w męskim stroju.

Ciotka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego nie? Tam przecież chyba nikogo nie ma?

- Jest Somers, lokaj, o bardzo konserwatywnych poglądach - wyliczała - a poza tym wczoraj przyjechał prawnik z Londynu, ze swoim pomocnikiem.

- Prawnika? - powtórzyła Jessica. - To znaczy, że posiadłość wkrótce przejdzie w ręce prawowitego spadkobiercy. Mam nadzieję, że to będzie miły człowiek. Będziecie się przecież często z nim spotykać.

Caroline westchnęła ciężko.

- Najchętniej wyswatałabym go tobie - powiedziała, marszcząc czoło. - Chciałabym, żebyś osiedliła się gdzieś w pobliżu.

- Nie przejmuj się. Na pewno będę cię często odwiedzać - zapewniła ją ciotka. - Oczywiście, jeśli baron na to pozwoli. Natomiast, gdy idzie o hrabiego...

W normalnej sytuacji Caroline natychmiast usłyszałaby tę uwagę i zaczęłaby się dopytywać, dlaczego miałyby nie pozwolić. Ale w tej chwili była myślami przy Richardzie Daltonie. Pamiętała jeszcze kolor jego oczu, a w jej uszach dźwięczał jego miły głos. Caroline przywiązywała nawet większą wagę do głosów ludzi niż do ich wyglądu. Być może dlatego nie spodobał jej się lord Radford, który uchodził za niezwykle przystojnego mężczyznę. Nie znaczyło to, że nie lubiła jego głosu, ale wydawał jej się on zbyt osty i rozkazujący.



- Caroline, czy ty mnie słuchasz? - dobiegło do niej nagle pytanie ciotki.

- Ależ naturalnie, mówiłaś, że... mówiłaś...

- Że nie chciałabym wyjść za mąż za hrabiego, gdyż są to zwykle ludzie zepsuci i chełpliwi - powtórzyła Jessica. - Chyba, że dałabyś mi gwarancję, że mój mąż zakończy żywot dwie godziny po ślubie.

Caroline uśmiechnęła się do siebie. Oczywiście nie lubiła uogólnień, ale w słowach ciotki było jakieś ziarno prawdy. Ludzie, którzy nagle zyskiwali wielką władzę, często tracili umiar i zdrowy rozsądek.

- Caroline!

- Tak, słucham?

- Pytałam cię, na którą przygotować kolację. Oczywiście, jeśli jesteś pewna, że obiad możesz zjeść w Wargrave.

- Tak, Somers powiedział, że to żaden kłopot. - Dziewczyna spojrzała błagalnie na ciotkę.

- Dobrze, niech będzie siódma. - Jessica właściwie pojęła wymowę spojrzenia. - Później nic nie mogłabym przełknąć.

- Wobec tego poproszę Somersa, żeby przypomniął mi o szóstej, że mam wracać do domu - powiedziała rozradowana Caroline.

Rudowłosa dama pokręciła tylko głową.

- Lepiej od razu poproś, żeby powtórzył to po kwadransie!

Panie spojrzały na siebie, a potem wybuchnęły śmiechem. Jessica dobrze znała swoją siostrzenicę. Wiedziała, że gdy zasiada do gry, cały świat przestaje dla niej istnieć.

Caroline z prawdziwą przyjemnością odbyła drogę z Wildehaven do Wargrave Park. Ścieżka biegła przez niewielkie laski i polany, na których słychać było mnóstwo ptasich głosów. Nigdy nie widziała aż takiej czeredy. Co jakiś czas przebiegała jej też drogę sarna lub zając, a wiewiórki skakały z drzewa na drzewo.

Dziewczyna zastanawiała się, jak można by to wszystko przekazać w muzyce i uznała, że flet mógłby imitować rozśpiewane ptaki, a skrzypce powiewy wiatru. Nie wiedziała jednak, co dalej. Starła się nad tym popracować, ale przeszkadzał jej dziwny ptasi odgłos, dobiegający zza kępy sąsiednich drzew. Był on niezwykle melodyjny i głośny. Tak, jakby ptak starał się zwrócić na siebie uwagę wszystkich.

Caroline podkraśniała się do drzew i nie chcąc spłoszyć skrzydlatego śpiewaka, wychyliła się tylko z ukrycia. Jej oczom ukazał się niezwykle widok. Kapitan Dalton siedział na zwałonym drzewie, a obok niego unosiła się chmura ptaków. Obok stała oparta o ułamany pień jego laska. Dziewczyna dopiero po chwili zorientowała się, że to właśnie on wydawał z siebie niezwykle ptasie dźwięki. Mimo, że nie przypominały one śpiewu żadnego konkretnego ptaka, skrzydlaci mieszkańcy lasu traktowali kapitana jak przyjaciela. Caroline rozpoznała skowronki i dzwońce, a także makolągwy i sikorki, które przysiadły mu na ramionach.

Chociaż tkwiła nieporuszona za drzewami, Richard wyczuł na sobie jej wzrok i powoli obrócił się w stronę drzew. Kiedy przestał gwizdać, ptaki odleciały do lasku. Caroline wstała i ruszyła w stronę zwałonego drzewa.

- To był naprawdę niezwykły widok - rzekła bez zbędnych powitań. - Do tej pory myślałam, że tylko święty Franciszek potrafił robić takie rzeczy.

Kapitan uśmiechnął się do niej przyjaźnie, a następnie sięgnął po laskę.

- Mam nadzieję, że nikomu pani o tym nie powie, panno Hanscombe. To zrujnowałoby moją żołnierską reputację.

Caroline usiadła zanim zdążył wstać. Zauważyła, że wcale nie czuje się skrępowany jej widokiem i że w jego orzechowych oczach igrają wesołe iskierki.

- Bardzo mi przykro, że panu przerwałam - przeprosiła. - Co pan mówił tym ptakom?

- Nie jestem pewny, ale zdaje się coś w rodzaju: „podano do stołu”. - Wskazał leżące nieopodal okruszki.

Dziewczyna tylko pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Jak pan się tego nauczył?

- Kiedy byłem mały i mieszkałem... - kapitan zaczął wyjaśnienia, a Caroline, która nigdy tego nie robiła, przerwała mu gwałtownie.

- W Belfaście - wykrzyknęła.

Richard pokręcił głową.

- W Grecji - poprawił ją. - Kiedy mieszkałem w Grecji, pewien rybak nauczył mnie imitować głosy mew, a potem już samo poszło. Czy wie pani, panno Hanscombe, że ptaki w różnych częściach Europy ćwierkają z różnymi akcentami? To nie jest tak, jak z językami ludzi, ale zawsze.

- Czy sądzi pan, kapitanie, że to też może być kara za jakąś ptasią wieżę Babel? - spytała ze śmiechem.

Jednak Dalton spojrział na nią poważnie.

- Wołałbym, żeby nie mówiła pani do mnie per kapitanie, tylko po prostu Richard - powiedział.

- Dobrze, ale jeśli pan będzie mi mówił! Caroline.

Spojrzeni sobie w oczy i nagły dreszcz przeszył ich ciała. Było jednak za późno, żeby się wycofać. Ustaliли, że *od* tej pory będą sobie mówić po imieniu. Dziewczyna miała wrażenie, jakby znali się od dawna. Zupełnie zapomniała o tym, że po raz pierwszy ujrzała go wczoraj po południu.

Richard wstał.

- Pewnie idziesz do Wargrave, Caroline. - Aż się zdziwił, że nie ma żadnych oporów, żeby mówić jej na „ty”. - Pozwól, że będę ci towarzyszył. Pan Chelmsford chciał mi pokazać księgi rachunkowe.

Pragnął wziąć od niej nuty, które pożyczyła z Wargrave, ale dziewczyna odparła, że doskonale sobie poradzi. Chociaż była dobrym piechurzem, szła wolno, żeby dostosować się do tempa Richarda.

- Czy będziesz mógł zajrzeć do pokoju muzycznego?

- Tak, po południu - odrzekł bez namysłu, jakby czekał na to pytanie.

Szli wolno, gawędząc o różnych rzeczach i oboje nawet nie zauważyli, kiedy dotarli do zamku.

- Ojej! - zmartwiła się Caroline, na widok szarozłotej budowli.

- Nie podoba ci się zamek - domyślił się Richard. - Mnie też wydawał się... niespójny.

- Nie, nie! - zaprotestowała. - Być może na początku budzi zastrzeżenia, ale potem łatwo można zauważyć, że jest w nim coś... ładnego.

Rozdzielili się w głównym holu. Richard poszedł do Chelmsforda, a Caroline skierowała się do poko-

ju muzycznego. Przez dłuższy czas nie mogła się zdecydować, co ma robić. Wreszcie stwierdziła, że zajmie się dopracowaniem nowej kompozycji na harfę celtaicką, którą zaczęła dziś w nocy. Odłożyła na półkę pożyczone partytury i wyjęła z torby swój papier nutowy i pióro.

Ocknęła się dopiero, kiedy usłyszała delikatne pokasywanie. Nie miała pojęcia, że ktoś wszedł do pokoju.

- Przepraszam panią, panno Hanscombe, ale pan Chelmsford pytał, czy byłaby pani uprzejma przyjść na obiad? - rzekł Somers i skłonił się jej lekko.

- Ojej, nie wiedziałam, że już tak późno! Tak, tak, zaraz przyjdę. Będzie mi bardzo miło.

Kiedy lokaj wyszedł, Caroline zajrzała do torby w poszukiwaniu grzebienia. Okazało się jednak, że zupełnie o nim zapomniała. No cóż, nie będzie się mogła uczesać. Dobrze przynajmniej, że ma na sobie tę nową, zieloną suknię.

Przy stole zapomniała jednak o swoich włosach. Wyzbyła się nawet nieśmiałości i ze swadą opowiadała o pierwszym sezonie, który spędziła w Londynie. Odkryła w sobie również pewien talent aktorski, zwłaszcza, gdy opowiadała o dwóch arystokratkach, którzy mieli się pojedykować, a na miejscu okazało się, że nie potrafią władać szpadami. W końcu ustalono, że będą strzelać z pistoletów, ale jeden z nich zemdłał, a drugi tak się przestraszył, że odmówił dalszego udziału w pojedynku.

Prawnik wraz ze swym pomocnikiem wybuchnęli śmiechem.

- Znałem takie typy - podjął w końcu kapitan, kiwając głową. - Tych wszystkich arystokratów, któ-

rzy zaciągali się do wojska w nadziei, że znajdą tam romantyzm i przygodę. Najczęściej wystarczało im, że musieli wstawać wcześniej rano i brać udział w musztrze. Ale nie to było dla nich najgorsze...

- A co? - spytał zaciekawiony Chelmsford.

- Zabłocone buty! - odparł Richard i całe towarzystwo ponownie wybuchnęło śmiechem.

Jednak kapitan po chwili posmutniał. Przypomniał sobie tych wszystkich młodych ludzi, którzy zaciągali się do dziewięćdziesiątego piątego pułku strzelców, a potem uciekali w przerażeniu z pola bitwy.

Po posiłku zdecydowano, że Richard może przejść z Caroline do pokoju muzycznego.

- Masz bardzo łagodnego zwierzchnika - zauważyła, kiedy przechodzili przez część elżbietańską zamku.

- Pewnie spostrzegł, że już dłużej nie mógłbym zajmować się rachunkami - stwierdził kapitan. - Chelmsford to mądry człowiek.

- A czym właściwie masz się tu zajmować? - spytała, zwolnwszy nieco.

- Kancelaria dostała w powiernictwo całe Wargrave aż do końca roku. *Potem ma ono przejść w ręce prawowitego spadkobiercy* - wyjaśnił. - Ale ponieważ *zmarły* hrabia był człowiekiem *skrytym*, musimy sprawdzić stan majątku. Innymi słowy, musimy wiedzieć, co jest do przekazania.

- Rozumiem - odrzekła Caroline, chociaż nie wydawała się szczególnie zainteresowana tym tematem. Szybko jednak przypomniała sobie rozmowę z ciotką. - A kto jest tym spadkobiercą? To będzie przecież mój... sąsiad.

Po raz pierwszy wspomniała, chociaż pośrednio,

o tym, że ma wyjść za mąż za pana na Wildehaven. Richard wyraźnie posmutniał, chociaż natychmiast pospieszył z odpowiedzią.

- To jeszcze nie jest pewne, ale najprawdopodobniej niejaki Reginald Davenport, bratanek hrabiego.

- Czy... czy to miły człowiek? - drążyła temat z myślą o Jessice.

- Widziałem go tylko raz, ale nie odniosłem takiego wrażenia.

Wreszcie stanęli przed dębowymi drzwiami. Richard pchnął je i znaleźli się w muzycznym niebie. Caroline spojrzała z nadzieją w stronę fortepianu, ale Richard podszedł do jakiegoś dziwnego instrumentu.

- Co to? - spytała zdziwiona.

- To hiszpański instrument. Nazywa się *guitarra* - wyjaśnił.

- Trochę przypomina lutnię - zauważyła.

- Tak, tyle, że jest prostsza i łatwiej ją nastroić. Być może ma nieco wulgarny, ale za to mocny i czysty dźwięk. Hiszpanie potrafią tak na niej grać, że włosy same unoszą się w górę. Niestety, moja *guitarra* wraz z innymi rzeczami zaginęła pod Waterloo. - Kapitan dotknął palcami strun *guitarry*, a potem uderzył w jej pudło rezonansowe. - Ole! Szkoda. Jak mówiłem, nie wymaga wielu zabiegów.

- Ciekawe, na czym to polega - powiedziała w zamysleniu Caroline. - Moją lutnię muszę stroić codziennie i zajmuje mi to mnóstwo czasu.

- Umiesz grać na lutni? - zaciekał się.

- To mój ulubiony instrument zaraz po fortepianie. Tyle, że swoją lutnię trzymam w Wildehaven - dodała z westchnieniem. - Zagraj mi coś hiszpańskiego na tym instrumencie - poprosiła.

- Z prawdziwą przyjemnością.

Poprosił ją, żeby usiadła, a sam zasiadł naprzeciwko. Oparł *guitarre* na kolanie i zaczął grać jakąś egzotyczną melodię. Momentami była ona niepoohamowanie szybka, ale czasami niezwykle smutna z charakterystycznym szarpaniem strun.

- To *canto flamenco* - rzucił.

Caroline po raz pierwszy słyszała tę nazwę.

Muzyka skończyła się tak nagle, jak się zaczęła.

- Przepraszam, ale nie mogę dalej grać - rzekł Richard, odkładając instrument. - Wyszedłem z wprawy i jutro miałbym bąble *na* palcach.

- Szkoda - westchnęła dziewczyna. - To naprawdę wspaniała muzyka. Czy mogę spróbować? Mam skórę zgrubiałą od lutni.

Richard chętnie się zgodził. Pokazał jej, jak trzymać instrument i już po kwadransie była w stanie zagrać prostą melodyjkę. Tyle, że była ona słabo słyszalna.

- Mocniej - zachęcał ją kapitan. - O, teraz grasz, jak prawdziwa hiszpanka.

Wyjaśnił jej pokrótce, jak się gra *canto flamenco*. Nawet, gdyby tego nie powiedział, Caroline i tak domyśliłaby się, że jest to taniec. Sama muzyka narzucała odpowiednie ruchy. Mogła je sobie nawet wyobrazić.

Nagle zza drzwi dobiegły do niej lekkie kroki. Od razu je poznała. Zapomniała przecież o Jessice, która miała ją tu odwiedzić. Po chwili w drzwiach ukazała się ciotka. Zgodnie z obietnicą miała na sobie suknię do jazdy, w której zresztą wyglądała oszałamiająco.

Dziewczyna spojrzała z niepokojem na Richarda. Bała się, że przy ciotce zapomni zupełnie o muzyce i... o niej.



Kapitan wstał i skłonił się przybyłej damie. Jednak gdy tylko uniósł głowę, na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. Zapomniawszy o lasce w paru krokach przebył pokój i wziął Jessikę w ramiona.

Caroline wiedziała, że jej ciotka robi wielkie wrażenie na mężczyznach. Nigdy wszakże nie widziała czegoś podobnego. Łzy same cisnęły jej się do oczu, ale powstrzymywała je resztkami woli. Natomiast kapitan i ciotka wyczałowali się z dubeltówki.

- Jessico, nie miałem pojęcia, że cię tu zastanę! - powiedział Richard, poklepując ciotkę po ramieniu.

- Richard! A ja w ogóle nie wiedziałam, że przeżyłeś! Dlaczego się do mnie nie odezwałeś? Po Hiszpanii w ogóle cię nie widziałam!

Kapitan zamilkł na moment. Jego policzki pobrały.

- Jeszcze w Hiszpanii dowiedziałem się o śmierci majora Sterlinga - rzekł poważnie. - Ale nie dostaliśmy żadnych wiadomości o tobie, czy Lindzie. Ale powiedz mi, co robisz w Gloucestershire?

Caroline poczuła, że cała drży. W ciągu paru chwil zrobiło jej się zimno.

- Wyobraź sobie, że pełnię rolę przyzwoitki - roześmiała się Jessica. - Dla tej tutaj młodej damy, którą, jak się domyślam, już poznałeś.

Richard przesunął się trochę tak, żeby włączyć Caroline do rozmowy. Dziewczyna spróbowała przywołać uśmiech na twarz, ale wciąż była spięta.

- Jak to miło zobaczyć spotkanie starych przyjaciół - próbowała mówić obojętnym tonem. - Pewnie długo się nie widzieliście. Zdaje się, że wyjechałaś z Hiszpanii "w 1812 roku, prawda? - zwróciła się do ciotki.

Jessica skinęła głową, a w jej zielonych oczach pojawił się cień.

- Tak, wkrótce po Salamance - odparła.

Richard zawahał się, a następnie schylił głowę.

- Wiem, że spóźniłem się całe cztery lata, ale przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia - powiedział z właściwą sobie prostotą. - Major był nie tylko dzielnym żołnierzem, ale też wspaniałym człowiekiem.

Jessica uścisnęła jego dłoń.

- Nigdy nie jest za późno, żeby usłyszeć takie słowa.

W komnacie zapanował smutek i Caroline poczuła, że ciotka *jest* w wyjątkowo melancholijnym nastroju. Wciąż jednak myślała przede wszystkim o tym, że jest ona z Richardem na bardzo przyjacielskiej stopie. Być może, próbowała sobie tłumaczyć, tak już po prostu jest w wojsku.

W tym momencie w pokoju pojawił się Somers. Skłonił się gościom i spytał, czy nie mieliby ochoty na coś do picia. Zebrani przyjęli propozycję z wdzięcznością i już po kwadransie mogli się raczyć doskonałą herbatą. Caroline wciąż czuła się nieco odsunięta, ponieważ Jessica rozmawiała z kapitanem o Hiszpanii i wypytywała o starych znajomych. Do tej pory nigdy nie zazdrościła ciotce urody, ale teraz, patrząc na nią, czuła lekkie ukłucia w sercu. Chciałaby jednak być odrobinę ładniejsza i atrakcyjniejsza towarzysko. Tak, żeby przynajmniej niektórzy mężczyźni zwracali na nią uwagę...

Caroline raz jeszcze spojrzała na uśmiechniętą twarz ciotki, okoloną płomiennymi włosami. W jej wieku Jessica już była matką, a poza tym zwiedziła kawał świata. A ona? Dziewczyna tylko zdusiła westchnienie. Rzadko ruszała się poza rodzinne strony. Nigdy nie była za granicą. A poza tym, potrafiła roz-

mawiać tylko o muzyce, a nie tak jak ciotka, o różnych światowych sprawach.

Po jakimś czasie Jessica zauważyła smętną minę siostrzenicy.

- Czy Richard demonstrował ci już swoje muzyczne umiejętności? O, widzę, że macie tu *guitarę*. - Wskazała instrument. - Czasami grał na niej, a ja tańczyłam. Te hiszpańskie tańce są zupełnie inne niż nasze. Trochę barbarzyńskie, ale tyle w nich energii...

Caroline skinęła głową.

- Tak, grał *canto flamenco*. Chętnie zobaczyłabym ten taniec. - Zastanawiała się, czy będzie się pokrywał z jej wyobrażeniami.

Jessica wahała się przez chwilę. W końcu jednak odstawiała filiżankę i wstała.

- Niestety, do *flamenco* potrzebny jest odpowiedni strój, a nie taka krępująca ruchy suknia. - Wskazała dzieło swoich rąk. - Zrobię jednak, co będę mogła.

Zdjęła buty i stanęła boso na podłodze. Rozpuściła też związane z tyłu włosy i stanęła w charakterystycznej pozie. Richard sięgnął po *guitarę* i rozpoczął ostrym akordem, a Jessica odpowiedziała pstryknięciem palcami. Po chwili zawirowała gwałtownie, żeby zaraz zwolnić.

Taniec był dużo dzikszy i bardziej swobodny niż Caroline to sobie wyobrażała. Stwierdziła, że ciotka wcale nie wygląda w tym momencie na damę, ale na jakąś tygrysięc gotową do skoku. Momenty wolne mieszały się z szybszymi partiami, a całość wyraźnie stanowiła jakąś historię. Tak, jakby taniec opowiadał o *miłości*, Zazdrości i zdradzie. Takie *przynajmniej* odnosiła wrażenie.

W końcu muzyka się urwała, a Jessica zastygła z uniesionymi do góry rękami. Po czym opadła na fotel i wyciągnęła przed siebie bose stopy.

- Uff! - westchnęła.

- Czy... czy wszystkie Hiszpanki są takie? - wyrwało się Caroline.

Kapitan i ciotka spojrzeli na siebie i wybuchnęli głośnym śmiechem na widok jej zdumionej miny.

W drodze powrotnej Jessica wyjaśniła, że Hiszpanki zwykle przebywają w domu i mają o wiele mniej swobody niż angielskie damy. Jednak prawdą też jest, że znacznie częściej krwawo rozprawiają się z niewiernymi kochankami. W ogóle Hiszpania to niezwykły kraj...

Ciotka chyba po raz pierwszy zaczęła tak szeroko rozwodzić się na temat klimatu Półwyspu Iberyjskiego, a także temperamentu mieszkających tam ludzi. Widać było, że wspomnienia są w niej wciąż żywe.

- John uwielbiał ten kraj. Bardzo żałował, że nie możemy spokojnie poznawać jego uroków - powiedziała, patrząc w przestrzeń. A potem nagle przeniosła wzrok na siostrzenicę. - Przepraszam, Caro, że ciągle papłę, ale to spotkanie przypomniało mi moje małżeństwo. Przez ostatnie lata starałam się o wszystkim zapomnieć. Teraz widzę, że nie tędy droga.

- Czy... czy kapitan Dalton należał do twoich bliskich przyjaciół? - spytała niepewnie Caroline.

- John bardzo go cenił. Podobno słynał z odwagi... Był dwukrotnie odznaczony, chociaż nigdy o to nie zabiegał.

Dziewczyna zamyśliła się na chwilę. Przypomniała sobie grę na fortepianie na cztery ręce i Richarda z ptakami na ramionach.

- To dziwne. Wydaje się bardzo łagodny - szepnęła. Jessica uśmiechnęła się do siebie w zamyśleniu. Ileż to razy słyszała podobne opinie na temat ludzi, którzy zasłynęli w czasie wojny. Jej mąż, dobierając sobie żołnierzy wystrzegał się zawadiaków. Zwykł mawiać, że tacy ludzie pierwsi biorą nogi za pas, kiedy stają w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Potrafią bić się jedynie ze słabszymi i zastraszonymi.

- Oczywiście, że jest łagodny - potwierdziła. - Tak jak mój John. Jednak zapewniam cię, że potrafi się też bronić i rzadko traci zimną krew. Słyszałam, że jako dowódca patrolu trafił kiedyś ze swoimi ludźmi pod ostrzał francuskich wyborowych strzelców. Wśród żołnierzy wybuchła panika, ale on ich zdołał uspokoić, a następnie sam podczołgał się do okopów i zabił Francuzów. Został wtedy ranny.

- W nogę?

- Nie, to było jeszcze w Hiszpanii. Miał wówczas unieruchomioną lewą rękę, ale nie zostawił swojego pododdziału i walczył prawą - opowiadała Jessica. - Jego ludzie go uwielbiali.

- Wcale się im nie dziwię - rzekła w zadumie Caroline.

Trudno się było do tego przyznać, ale ona sama żywiła coraz większy podziw dla Richarda Daltona.

Josiah Chelmsford pożegnał się z nim następnego dnia rano. Richard wiedział, że będzie mu brakować jego objaśnień, ale z drugiej strony czuł, że wraz z nim pozbędzie się presji dotyczącej Wargrave. Nie podjął jeszcze decyzji dotyczącej majątku. Chciał mieć nieco więcej czasu na zastanowienie, chociaż myślenie szło mu ostatnio opornie. Gdy tylko usiło-

wal zastanowić się nad swoją przyszłością, przed jego oczami pojawiała się postać delikatnej dziewczyny, która z natchnioną miną grała coś na fortepianie.

Obaj panowie zjedli jeszcze razem śniadanie i oczywiście prawnik poczuł się zobligowany do poruszenia najważniejszej sprawy:

- Czy może już się zdecydowałeś, mój chłopcze?

- Nie, jeszcze nie - padła odpowiedź.

Chelmsford westchnął ciężko. Następnie dopił kawę i wstał od stołu.

- Wobec tego daj mi znać, gdybyś się w końcu namyślił. Somers i Hain mają ci pomagać, jakbyś miał jakieś problemy.

Richard również się podniósł i przeszedł za nim do wyjścia.

- Chciałem panu podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił - odezwał się, ściskając *dłoń* Chelmsforda. - Niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję, doceniam pańskie starania i życzliwość.

Stary prawnik skierował się do powozu. Przystanął jednak na moment i odwrócił się w jego stronę.

- Nie robię tego dla ciebie, mój chłopcze. A w każdym razie, nie tylko dla ciebie - poprawił się. - Majątek Davenportów zasługuje na dobrego dziedzica. Wszystko jest w twoich rękach...

Z tymi słowami Chelmsford wszedł do powozu.

- Będę o tym pamiętał! - krzyknął za nim Richard.

Konie ruszyły, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Po paru minutach powóz przejechał przez bramę. Kapitan czekał aż jego ciemna sylwetka ukaże się jeszcze na zboczu wzgórza, a następnie skierował się do domu.

W jadalnym Zostawił nie dopitą kawę, ale nie miał

w tej chwili na nią ochoty. Skierował się więc do gabinetu, ale nie mógł się skupić na papierach, które pozostawił mu Chelmsford. W końcu, nie bardzo wiedząc jak, dotarł do pokoju muzycznego. Skoro się już tutaj zabłąkał, wziął *guitarre*, żeby trochę na niej poćwiczyć. Grał jakieś pół godziny aż poczuł, że od strun rozboleły go palce. Trzeba będzie czasu zanim na opuszkach pojawią się odpowiednie zgrubienia.

Odłożył więc instrument i przeszedł się po pokoju. Jego noga goiła się w zaskakującym tempie. Już teraz mógł praktycznie chodzić bez laski. Jeśli tego nie robił, to częściowo z przyzwyczajenia, a częściowo po to, żeby mniej utykać. Mijając fortepian, zauważył skórzaną saszetkę, z której wyglądał papier nutowy. Przystanął, chcąc sprawdzić, co ostatnio ćwiczyła Caroline. Uderzyło go jednak to, że papier, który miał w rękach, wcale nie wyglądał na stary.

- Sonata e-dur, Caroline Hanscombe - przeczytał.

Rzucił tylko okiem na nuty, a następnie podszedł równym krokiem do fortepianu. W tym momencie zupełnie zapomniał o bólu. Umieścił kartki przed sobą i zaczął grać. Trochę się pogubił, kiedy muzyka stała się zbyt skomplikowana i musiał powtórzyć kilka pasaży, czując, że nie trzyma tempa. W końcu wykonanie wydało mu się znośne i zaczął grać od początku. Był to jeden z tych utworów, który nigdy się nie nudził, ponieważ miał w sobie tyle świeżości i czaru, a jednocześnie stawiał spore wymagania pianiście.

Richard zupełnie stracił poczucie upływu czasu. Przerwało mu dopiero ciche jęknięcie, które nagle rozległo się w pokoju. Uniósł oczy i zauważył Caroline zastygłą w przerażeniu tuż przy fortepianie.

Kapitan przerwał i uśmiechnął się do niej, ale dziewczyna tylko spojrzała na niego z rozpaczą. W jego spojrzeniu mieszały się sympatia i podziw. Jeszcze nigdy nie spotkał kompozytora tak wspaniałego utworu.

- Czy mogę prosić o moją teczkę z nutami? - spytała żałośnie. - Gdzieś ją musiałam zostawić.

Richard wstał i zrobił krok w jej kierunku.

- Co się stało? Dlaczego płaczesz? - spytał, widząc łzy na jej policzkach.

- Czy mógłby mi pan oddać moje nuty? - powtórzyła Caroline. - Muszę iść do domu.

- Czy płaczesz dlatego, że zagrałem twoją sonatę? Nigdy bym tego nie zrobił, gdybym wiedział, że sprawi ci to przykrość - próbował się tłumaczyć. - To ty napisałaś, prawda?

Dziewczyna zaczęła płakać jeszcze głośniej.

- Nie miał pan prawa tego grać! - wybuchnęła, powstrzymując szlochanie. - Proszę mi to oddać!

Richard uniósł lekko jej brodę i spojrzał głęboko w łagodne oczy Caroline. Co też mogło doprowadzić ją aż na skraj hysterii?

- Dlaczego nie chcesz, żeby ktoś grał twoje kompozycje? - dopytywał się.

- To dlatego, że pan na mnie patrzył tak, jakbym była jakimś dziwolągiem. - Wytarła łzy, ale nowe natychmiast napłynęły jej do oczu. - Proszę mi to zwrócić i nikomu nie mówić o tych kompozycjach. Nie będę już pana niepokoiła.

Richard objął ją mocnym ramieniem i poprowadził w stronę stojącej w kącie kanapy. Następnie dał jej swoją chusteczkę, ponieważ Caroline zupełnie prze-moczyła tę, którą miała.



Dziewczyna powoli dochodziła do siebie.

- Już możesz rozmawiać? - spytał.

Wydmuchała zaczerwieniony nosek i skinęła głową.

- Przepraszam, że tak na ciebie patrzyłem, ale rzadko mam okazję spotkać się z muzycznym geniuszem - ciągnął, spoglądając na nią łagodnie. - Ta sonata to prawdziwe arcydzieło. Powiedz mi, czy sama ją napisałaś?

Caroline zerknęła, żeby sprawdzić, czy z niej nie kpi. Wyglądało jednak na to, że jest poważny.

- Sama - wyznała. - Ale wątpię, żeby to było arcydzieło.

- Oczywiście, że jest! - zapewnił ją z mocą. - I nie chodzi tylko o stronę techniczną, której również nie mam nic do zarzucenia. Ale można też tu znaleźć indywidualne piętno. Ta sonata ma w sobie coś z lekkości Mozarta i niepowtarzalności Beethovena, ale jednocześnie nie ma wątpliwości, że napisał ją ktoś zupełnie inny.

Caroline słuchała tego z mieszaniną zażenowania i dumy. Nigdy jeszcze nie słyszała tak pochlebnej opinii na temat swoich kompozycji. Jessica, która jako jedyna wysłuchiwała większości, zwykle mówiła, że jej się podobają albo, że są bardzo ładne. Natomiast kapitan dostrzegł w nich to, co sama chciała w nich zawrzeć. Wiedziała, że to nietrudno naśladować jakiegoś znakomitego kompozytora. Znacznie trudniej wypracować sobie własny styl.

- Naprawdę tak uważasz?

Richard położył dłoń na sercu.

- Oczywiście - stwierdził z uroczystą miną - ale mogę się tylko wypowiadać o tej jednej kompozycji, którą widziałem - dodał zaraz, bojąc się, że w istocie

pozostałe utwory mogą nie dorównywać tej jednej sonacie.

- I... i nie uważasz, że kobiety nie powinny komponować? - dopytywała się Caroline. - Że to przeciwne naturze?

Kapitan spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Kto ci coś takiego powiedział?! To skrywanie talentu jest przeciwne naturze. Pod warunkiem, że się go ma. - Przypomniał sobie, że nie powinien za bardzo schlebiać Caroline. Byłoby mu bardzo przykro, gdyby ocenił niżej pozostałe jej kompozycje.

Dziewczyna spojrzała na chusteczkę, którą wciąż trzymała w zaciśniętej dłoni. Po chwili wahania oddała mu ją i spróbowała się uśmiechnąć.

- Przepraszam za moje zachowanie, ale rodzice zawsze mi powtarzali, że kobieta nie powinna komponować. - Caroline zawahała się. - Mój ojciec raz zobaczył, jak to robiłam i podarł mi wszystkie nuty. Musiałam całość odtwarzać z pamięci.

Groźny skurcz przebiegł po twarzy kapitana. Poinformował jednak nie wypowiadać się w sprawach rodzinnych Caroline.

- Czy ktoś widział twoje kompozycje?

- Podobały się *Jessice* ~ rzekła rozradowana dziewczyna. - Poza tym, pan Ferrante, mój nauczyciel muzyki, uważał, że powinnam je opublikować.

- Świetny pomysł - podchwycił Richard. - Czy mógłbym spojrzeć na kilka innych?

Caroline zgodziła się, acz po krótkim wahaniu. Richard podszedł do saszetki i wyjął z niej kolejne zapisane kartki papieru nutowego. Przebiegł rozgorączkowanym wzrokiem po następnej i stwierdził, że jest co najmniej równej jakości. Dopiero w trze-

ciej znalazł pewien, jak mu się zdawało, błąd.

- Coś tu jest nie tak - powiedział, próbując zagrać karkołomny pasaż.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, to trzeba inaczej...

Kiedy zagrała sama, Richard pojął, że to on nie docenił kompozycji. Była za trudna, jak na jego możliwości, dlatego wydawało mu się, że tego fragmentu nie da się poprawnie zagrać.

- Wspaniałe - rzekł z pełnym przekonaniem, przeglądając papier nutowy. - Zwłaszcza kwartety wydają mi się niezwykle oryginalne. Chętnie bym skopiował niektóre fragmenty, żeby móc im się lepiej przyjrzeć. Obawiam się, że nie wszystko jeszcze rozumiem.

Caroline promieniała.

- Chętnie ci wyjaśnię, co tylko zechcesz - zapewniła.

Wskazał jej więc kilka fragmentów w kompozycjach, a ona grała je po kolei. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że dziewczyna jest naprawdę świetnym kompozytorem. Z całą pewnością była też najlepszą pianistką, jaką spotkał. Już wcześniej się tego domyślał, ale teraz, po wykonaniu kolejnych fragmentów, nie mógł już mieć najmniejszych wątpliwości.

Kiedy skończyła, Richard podszedł do niej i ucałował jej prawą dłoń.

- Dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę.

Ich oczy spotkały się na moment i Caroline poczerwieniała. Nie wyrwała mu jednak dłoni, bo czuła, że nie byłaby w stanie tego zrobić. Richard jakby ją zaczarował. Przez ciało dziewczyny przebiegało miłe ciepło. Miała poczucie siły, a jednocześnie w ogóle nie chciała się ruszać od fortepianu.

Przez chwilę trwali wpatrzeni w siebie. Caroline zawsze była wstydliva, nie wiedziała więc, skąd bierze śmiałość, by wytrzymać jego spojrzenie. Może stąd, że czerpała z niego radość? Richard patrzył na nią jak przyjaciel, a nie wróg czy bierny widz.

- Muszę już wracać - szepnęła w końcu. - Powiedziałam w Wildehaven, że idę tylko po tę teczkę.

Kapitan odprowadził ją do bramy, a potem zdecydował się na dalszy spacer przez las. Zatrzymali się jeszcze na tej samej polanie, na której ostatnio się spotkali, i usiedli, żeby posłuchać ptaków. Po odpoczynku, Caroline, już sama, ruszyła do pałacu.

Przez cały dzień wspominała to spotkanie. Czuła na palcach dotyk dłoni Richarda. Wciąż zadziwiało ją to, że czuła się tak swobodnie w jego towarzystwie. Gdyby to było możliwe z baronem!

Dopiero myśl o narzeczonym przywołała ją do rzeczywistości. Niedługo Jason wróci, a wówczas powinna zapomnieć o kapitanie. Będzie jej trudno. I to nie tylko ze względu na jego uzdolnienia muzyczne. Po drodze tyle jej opowiadał o różnych krajach: o Grecji, Irlandii, Italii i Hiszpanii. Było to ciekawe, a jednocześnie czuła, że Richard traktuje ją jak prawdziwą partnerkę do rozmowy. Jason widział w niej raczej materiał na układną żonę. Wcale nie krył, że nie zależy mu na jej opiniach, chociaż, zapewne ze względów towarzyskich, uważał, że powinna przejawiać więcej samodzielności. Richard nie żądał od niej samodzielności. W ogóle niczego od niej nie chciał - i to było w tym wszystkim najpiękniejsze.

Caroline pomyślała ze smutkiem o ciężkiej sytuacji swojej rodziny. A potem nagle zaczął narastać w niej bunt. Dlaczego to ona ma być kozłem ofiar-

nym? Czemu na jej dziewczęce barki spada tak wielki ciężar? Dlaczego rodzice chcą ją wydać za smagłego pogańskiego boga?

W tym momencie zachichotała. Rozśmieszyło ją to, jak dalece dała się ponieść swojej wyobraźni. To jasne, że baron nie jest żadnym pogańskim bożkiem. Do tej pory traktował ją przecież z szacunkiem i oddaniem. Jednak Caroline wyczuwała w nim coś groźnego. Tak, jakby pogniewał się kiedyś na cały świat i ten gniew jeszcze w nim nie wygasł.

## 10

Jason obudził się o świcie i przeciągnął szeroko niczym lew. Nareszcie, po dziesięciodniowej nieobecności, znalazł się w domu. Początkowo sądził, że wróci wcześniej, ale na koniec musiał się jeszcze zająć kilkoma ważnymi sprawami i przedłużyć wyjazd. W drodze powrotnej zatrzymał się w Londynie, żeby zabrać George'a Fitzwilliama. Do Wildehaven dotarli późno w nocy. *Znając zwyczaj przyjaciela*, baron nie spodziewał się go zobaczyć przed dziesiątą. Nawet tu, na wsi.

Jason wstał i spojrzął na różowiejące niebo. Nad wzgórzami Cotswold zalegały mlecznobiałe mgły, które pewnie opadną nieco później. Ptaki śpiewały na powitanie dnia i nawet jemu odpowiadał ten koncert. Najstarsi ludzie nie pamiętali tak pięknego lata, chociaż baron obawiał się suszy. Teraz jednak włożył strój do jazdy i zszedł na dół, chcąc się nacieszyć tak urokliwym porankiem.

Trochę popsuło mu humor to, że w stajni nie było jego ulubionego Cezara. Przez chwilę zastanawiał się, co też się mogło stać, a potem stwierdził, że spyta później koniuszego. Być może któryś z młodszych stajennych postanowił przejechać się na koniu zarezerwowanym zwykle dla jego pana.

Jason wybrał innego wierzchowca i wyprowadził go ze stajni. W ten piękny rano nie sposób było się dłużej gniewać. Wskoczył na rumaka i pogalopował

przed siebie, wdychając głęboko świeże, nasiąknięte zapachami roślin powietrze. Właśnie tego brakowało mu przez ostatnie dni. Nareszcie mógł się poczuć "wolny. W mieście zwykle grał znudzonego arystokratę, ale tylko tutaj był naprawdę sobą.

Kiedy wyjechał na pola, daleko na wzgórzu dostrzegł sylwetkę Cezara. To musiał być jego koń. Choćby ze względu na swoją wielkość. Ciekawe tylko, kto zdecydował się go wykraść? Baron popuścił cugli swojemu wierzchowcowi i popędził w stronę wzgórza. Tamten jeździec jeszcze go nie widział, ponieważ jechał wolno, jakby rozkoszując się poranieniem. Tak, jak przypuszczał, był to jeden ze stajennych, jednak Jason nie potrafił w tej chwili mieć do niego żadnych pretensji. Postanowił tylko, że go upomni i zamieni rumaki.

Krzyknął głośno. Na szczęście jeździec się zatrzymał. Gdyby zdecydował się na ucieczkę, trudno by było go dopędzić. Jason z groźną miną podjechał w jego stronę. I nagle poznał winowajcę. Nie sposób było pomylić z czymkolwiek te miedziane włosy. Przez moment patrzył z otwartymi ustami na Jessikę, która w bryczesach i białej koszuli wyglądała młodziej niż wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

- Witaj! - rzekł w końcu. - Mam nadzieję, że odpowiada ci mój koń.

Rudowłosa dama wyglądała na zmieszaną, co zdarzało jej się niezwykle rzadko. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, a zielone oczy unikały jego spojrzenia.

- Dzień dobry, Jason. Chciałam ci przypomnieć, że pozwoliłeś mi korzystać ze swojej stajni - od razu przeszła do defensywy.

- Ale nie ze strojów chłopców stajennych - skontrował, wskazując koszulę i bryczesy.

- Przepraszam, nigdy nie ośmieliłabym się obrazić gospodarza w jego własnym domu - powiedziała poważnie. Nie byłaby jednak sobą, gdyby zaraz nie dodała: - Nie było cię jednak tak długo, że powoli zaczynałam zapominać, kto jest tutaj panem.

Jason uśmiechnął się i skinął głową.

- Masz rację, zaniedbałem swoje obowiązki. Przecież nie zajmowałem się wami od kiedy wstąpiłyście w me skromne progi - przyznał żartobliwie.

Jessica wreszcie wybuchnęła śmiechem.

- Obawiam się, że przymiotnik „skromne” nie bardzo pasuje do Wildehaven. A tym bardziej do jego właściciela - dodała, patrząc mu w oczy.

Jason poczuł dziwne ukłucie w sercu. Miał nadzieję, że wyjazd wyleczy go z sentymentu do Jessiki. Niestety, doświadczał teraz tego samego, co przed dziesięciu dniami, tyle, że doznanie było intensywniejsze.

Szturchnął konia piętami i ruszył na szczyt wzgórza. Jessica zdecydowała się mu towarzyszyć, chociaż wolałaby, żeby wróciła do domu. Wciąż wydawała mu się tak samo piękna i świeża jak dawniej. Wiele w ich życiu się zmieniło, ale czuł też, że pewne rzeczy pozostały takie same.

Wiedział, że powinien zapytać o Caroline. Jednak narzeczona jakoś nie bardzo go w tym momencie obchodziła. W końcu i tak będzie się musiał z nią spotkać.

- Powinnaś wybrać innego wierzchowca - rzekł wreszcie po dłuższej przerwie. - Cezar nie nadaje się dla dam.

Jessica tylko machnęła ręką.

- Obawiam się, że żadna ze mnie dama - rzuciła.



Jason wstrzymał na chwilę konia.

- Nie powinnaś tak o sobie mówić!

Wciąż jadąc pokręciła przecząco głową.

- Boję się, że ludzie mówili o mnie gorsze rzeczy. Niesforna, zaczepna, ladaco, harpia, cyganicha... - wylizwała.

Jason dał wierzchowcowi ostrogę i po chwili zrównał się z jej koniem.

- Przestań! - powiedział spokojnie, lecz stanowczo. - Wiem, co potrafiały wymyślić te nabożne panie z salonów. Zwłaszcza, jeśli są zazdrosne, bo brakuje im urody i wdzięku.

Jessica tylko wzruszyła ramionami.

- Już do tego przywykłam - stwierdziła. - Początkowo próbowałam z tym walczyć, ale potem mi przeszło. Na szczęście, mężczyźni zawsze traktowali mnie lepiej...

- Nie wątpię - warknął.

Dojechali na szczyt wzgórza i wstrzymali konie. Rozciągał się stąd wspaniały widok. Spośród mgieł prześwitywało nawet lustro rzeki. Jednak żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Zerkali na siebie tak, jakby obawiali się ataku drugiej strony.

- Wiesz, to najdziwniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się prowadzić - Jessica postanowiła przerwać milczenie. - Przecież niedługo ożenisz się z Caroline! Powinniśmy zostać przyjaciółmi!

Baron spojrział na nią ponuro.

- Nigdy nie chciałem być twoim przyjacielem.

- Rudowłosa dama skurczyła się trochę, ale wytrzymała jego spojrzenie.

- Kiedyś byliśmy więcej niż przyjaciółmi. - Zniżyła głos. - Byłam młoda, głupia i nie przeczę, że sama

wszystko zniszczyłam. Ale teraz naprawdę życzę ci jak najlepiej.

Jason wyczuł, że jest z nim całkowicie szczerza, wyciągnął więc rękę na zgodę.

- Dobrze, zostanemy przyjaciółmi.

Chwyliła jego dłoń i uściśnęła ją mocno, po męsku.

- Czy, wobec tego, mogę cię o coś prosić? - *Jej* oczy przypominały teraz dwa lśniące szmaragdy. Czy mógłby jej czegokolwiek odmówić?

- Być może nie wyda ci się to zbyt delikatne... - zaczęła.

- Nigdy nie grzeszyłaś delikatnością - wpadł jej w słowo.

- To prawda. Ale pamiętaj, że proszę jako ciotka i przyjaciółka Caroline. - Przez moment zastanawiała się nad dalszym ciągiem. - Wcale się nie dziwię, że pokochałaś Caroline. To naprawdę miła i słodka dziewczyna. Poza tym, *nie* ma w niej *żadnej* przewrotności czy obłudy...

- Tak, Caroline to ideał - zgodził się, acz bez przekonania.

- Właśnie. Tyle, że jest jeszcze bardzo młoda i pod pewnymi względami niedojrzała - urwała i spuściła oczy. - Można powiedzieć, że praktycznie nie miała żadnych doświadczeń z mężczyznami. Gdybyś więc... gdybyś mógł być dla niej dobry i z niczym się nie spieszyć. Zapewniam, że będzie najlepszą i najbardziej kochającą żoną!

Kiedy skończyła, miała ochotę puścić się pędem w dół. Czekwała jednak cierpliwie na to, co powie Jason.

- Myślisz, że moje niepohamowane żądze mogłyby ją wystraszyć? - upewnił się.

Jessica żałowała, że w ogóle zaczęła tę rozmowę.

Zwłaszcza, że sama w ogóle nie obawiała się jego „niepohamowanych żądz”.

- Sama nie użyłabym tych słów, ale można powiedzieć, że o to mi chodzi - rzuciła i popędziła Cezara.

Baron miał problemy, żeby za nią nadażyć. Dogonił ją dopiero, kiedy znalazła się na bitej drodze prowadzącej do stajni, a i to tylko dlatego, że zdecydowała się zwolnić. Patrząc na jej powiewające z tyłu, związane grubą wstążką włosy, miał wrażenie, że to w niej buzują bez przerwy owe żądze, o których wcześniej wspomniał.

- Dobrze, obiecuję, że będę ostrożny - powiedział, patrząc na jej doskonały profil. - Czułbym się fatalnie, gdyby moja żona drżała na mój widok. Zresztą, to już drugie ostrzeżenie, które usłyszałem. Twoja córka była jednak bardziej bezpośrednia.

- Linda? Kiedy?

- W waszym domu w Londynie - odparł. - Ostrzegła mnie, żebym nie śmiał skrzywdzić Caroline. Inaczej będę miał z nią do czynienia.

Tak naprawdę, baron nie miał najmniejszego zamiaru skrzywdzić przyszłej żony. Prawdę mówiąc, nie spieszyło mu się nawet jakoś do nocy poślubnej. Sam widok potulnej Caroline sprawiał, że cichły w nim jakiegokolwiek pragnienia.

Jessica westchnęła i zmarszczyła brwi.

- Nie zdziwię się, jeśli powiesz, że masz dosyć kobiet z naszej rodziny. Zapomnij więc o całej rozmowie i po prostu zostańmy przyjaciółmi.

- Doskonale - zgodził się. - Chociaż zapewniam cię, że nie chciałem skrzywdzić Caroline.

- Nigdy tak nawet nie myślałam - zapewniła. - Odniosłam tylko wrażenie, że nie do końca ją rozumiesz.

I doceniasz, dodała w duchu, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno.

Wreszcie zatrzymali się przed stajnią i Jessica zeskokczyła z siodła. W męskim przebraniu wyglądała jeszcze bardziej kobieco. Bryczesy uwydatniały jej cudownie ukształtowaną figurę, a koszula opinała się miłośnie na jej krągłych piersiach. Jason odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na te zabronione mu cudowności.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia - rzekł, a w jego pociemniałych z pożądania oczach pojawiło się nagle złośliwe światełko.

- Tak? - Spojrzała na niego zdziwiona.

- Czy chcesz, żebym mówił ci w dalszym ciągu po imieniu, czy też wolałabyś, żebym zwracał się do ciebie per „ciociu”?

Jessica puściła lejce i rzuciła się na niego niczym furia. Musiał złapać jej rękę, żeby go nie uderzyła. Kiedy ich ciała zetknęły się, poczuli nagłą falę gorąca. A przecież upał się jeszcze tak naprawdę nie zaczął.

Baron natychmiast puścił jej dłonie, a ona spuściła oczy.

- Jessica będzie lepiej - szepnęła.

Chciała mu przypomnieć, że jest od niej starszy, ale w tym momencie przeszła jej ochota na żarty. To, co czuła w żaden sposób nie przypominało ciotczy-nych doznań. Jej ciało płonęło, a rozsądek... milczał jak zaklęty.

Zmieszani weszli do stajni. Na szczęście nie pojawił się tu ani koniuszy, ani żaden ze stajennych. Wprowadzili więc konie do boksów i nie patrząc na siebie ruszyli do zamku. W holu pożegnali się oficjalnie, ale Jessica *nie* kwapiła się z *odejściem*.

- Jestem potwornie głodna - zakomunikowała.

Jason spojrział na nią z nadzieją. Czy będzie mógł jeszcze zjeść śniadanie w jej towarzystwie? Szybko, w obawie, że się rozmyśli, zapewnił ją, że służba nakryje do stołu w ciągu paru minut. Rudowłosa dama z ukontentowaniem skinęła głową, a następnie ruszyła chyłkiem do swego pokoju, żeby się przebrać.

Wbrew oczekiwaniom, George Fitzwilliam pojawił się w jadalni tuż po godzinie siódmej, kiedy to Jessica i baron kończyli posiłek. Przeciągnął się i przetarł oczy, a potem spojrział na zebranych. Jego strój był teraz w nieco gorszym stanie niż zwykle.

- Do licha, Jason, czy nie można by zrobić czegoś z tymi upiornymi ptakami?!

Baron nie bardzo wiedział, o co mu chodzi.

- Jakimi ptakami? Czy coś się stało?! - spytał zaniepokojony.

George wykonał kilka bezładnych ruchów i przeszedł niczym lunatyk w stronę stołu.

- Obudziły mnie w środku nocy swoim śpiewem - poskarżył się. - Nie masz pojęcia, jak się teraz czuję!

Rzeczywiście, baron nawet nie próbował sobie tego wyobrazić. Zagryzł tylko wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. A kiedy już przewyciężył pierwszy napad wesołości, zwrócił się poważnie do przyjaciela:

- Porozmawiam z moją ochmistrynią, panią Burkę, czy nie mogłaby im przemówić do rozsądku. Powiadasz, ptaki... - urwał i szybko zakrył usta. Jednocześnie zerknął, żeby sprawdzić, czy George nie zauważył tego gestu. Przyjaciel był jednak na tyle śpiący, że w ogóle nie zwracał uwagi na świat zewnętrzny.

- Kawy! - jęknął, siadając na miejscu obok Jasona.

W tym momencie jego nie do końca przytomny

wzrok padł na *Jessicę*. Początkowo myślał, że ma przywidzenia, ale kiedy zjawisko nie zniknęło, uznał, że nie jest to żadna nimfa czy bogini. Zresztą bogini posilała się właśnie jajecznicą, co było chyba rzadkie w kręgach nieśmiertelnych.

Fitzwilliam poruszył parę razy ustami, chcąc się odezwać.

- Pani, pozwoli... pani - plątał się.

Czy to możliwe, żeby Jason sprowadził sobie jedną z aktoreczek w czasie wizyty narzeczonej? Nie, chyba by się do tego nie posunął. Jednak kobieta wyglądała tak pięknie, że nie mogła być zwykłą damą z towarzystwa. W swojej kremowej, jasnej sukni nie wyglądała też na kurtyzanę, ale niektóre z nich potrafiły się maskować.

Nieznamoma uśmiechnęła się do niego. Pod nieobecność służby wzięła nawet jedną z filiżanek i nalała mu kawy. George odruchowo poprawił ubranie. Teraz żałował, że nie poświęcił zbyt wiele uwagi toalecie.

Baron *doskonale się* bawił, widząc niepewną minę przyjaciela. Nie miał też ochoty przyjść mu w sukurs. Na szczęście w tym momencie do jadalni weszła też nieco zaspana Caroline. Zimna woda spowodowała jednak, że odzyskała już jako taką równowagę. Przywitała się z narzeczonym, a potem spojrzała na biednego George'a.

- Dzień dobry, panie Fitzwilliam - zwróciła się do niego. - Jak widzę, poznał pan już moją ciotkę, panią Sterling.

Wyraz zdumienia pogłębił się jeszcze na twarzy przybysza.

- Chce pani powiedzieć, panno Hanscombe, że to jest właśnie przyzwoitka? Ten smok, który ma strzec pani cnoty?!

Jessica uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Tak, ale jestem bardzo łagodnym smokiem - zapewniła. - Mam tylko jedną głowę i w dodatku nie zieję ogniem.

Fitzwilliamowi zrobiło się jeszcze bardziej głupio, kiedy zdał sobie sprawę, że chyba nie powinien wygłaszać takich opinii.

- Pozwól więc, ciociu, że ci przedstawię. To pan Fitzwilliam, który poznał mnie z lordem Radfordem - Caroline dokonała oficjalnej prezentacji.

Jason wstał i pocałował narzeczoną w policzek.

- Pięknie dzisiaj wyglądasz - powiedział.

Caroline uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję... Jason. Mam nadzieję, że wszystko już w porządku. Bardzo nam ciebie brakowało.

Baron w zamyśleniu pokiwał głową. Caroline wydawała mu się w tej chwili naprawdę ładna. Poza tym była teraz znacznie bardziej odprężona niż wtedy, gdy się żegnali. W jej oczach płonęło nowe światło i Jason myślałby z przyjemnością o tym, że dziewczyna powoli oswaja się z perspektywą rychłego ślubu, gdyby nie inna para oczu, która niepokoiła go po drugiej stronie stołu.

Fitzwilliam trochę się już pozbierał po doznanym szoku. Musiał przyznać, że pani Sterling nie była jedyną niespodzianką, którą tu zastał. Równie, a może jeszcze bardziej, zaskoczył go wygląd Caroline.

- Jason ma rację. Naprawdę pięknie pani wygląda, panno Hanscombe. - Przeniósł wzrok na jej „przyzwoitkę”. - Co zdaje się nie jest niczym wyjątkowym w pani rodzinie.

Za to spojrzenie baron najchętniej dzieliłby go w szczękę.

W końcu zasiedli we czwórkę *do* śniadania. Caroline i George zadowolili się na razie kawą, natomiast Jason i Jessica z przyjemnością zjedli coś większego. Rozmowa obracała się wokół wyjazdu barona i wszystkich spraw, które musiał załatwić. Jednak w pewnym momencie przypomniało mu się coś, o czym najchętniej by zapomniał.

- Dostałem list od mojej ciotki, lady Edgware - poinformowała narzeczoną. - Chciałaby wydać bal na twoją cześć. Powinna się tutaj pojawić w ciągu paru dni. Jeśli odpowiada ci ten pomysł, mogłabyś jej pomóc.

Caroline zgodziła się bez wahania. Z zadowoleniem zauważył, że nawet nie zadrżała tak, jak jakiś czas temu na samo wspomnienie lady Edgware. Wildehaven najwyraźniej dobrze jej służyło.

- Ginę powinna niedługo skończyć wizytę w Lincolnshire - rzekła w zamyśleniu. - Czy mogłabym ją zaprosić wraz z rodziną? Pewnie będzie z nimi Gideon Falsworthy...

Jason ścisnął jej dłoń.

- Możesz zaprosić kogo tylko chcesz - zapewnił. - Zresztą ciotka też będzie chciała tu podjąć sporo miejscowej szlachty. Wychowała się w tych stronach i doskonale zna najlepsze rodziny w okolicy.

I tylko najlepsze, pomyślała złośliwie Jessica.

- Naprawdę?! - Caroline ucieszyła się jego pierwszą uwagą. - W Wargrave Park pracuje pewien oficer, który nie zna tutaj nikogo. Czy on też mógłby przyjść?

Baron machnął ręką, chcąc zakończyć ten temat.

- Powiedziałem, kogo tylko zapragniesz. Im szybciej poczujesz się tu gospodynią, tym lepiej - stwierdził. - Ten dom zbyt długo świecił pustkami. Będę się cieszył, jeśli znowu ożyje.



Pewien oficer zajęty był w tym czasie nawiązywaniem sąsiedzkich stosunków, chociaż nie byli to *znajomi* lady Wargrave, ani nawet osoby, które mogły liczyć na zaproszenie do Wildehaven. Tuż po wschodzie słońca wybrał się do dzierzawionych zagród, w nadziei, że zastanie tam chłopów. Chciał ich wypytać o zbiory i majątek.

Ponieważ niektórzy z nich patrzyli na niego ciekawie, pomyślał, że być może Chelmsford nie miał racji. Ktoś mógł go tu przecież rozpoznać jako Davenporta. Nikt jednak nawet nie wspomniał tego nazwiska.

Chłopi okazali się dość rozmowni. Mówili, że spodziewają się dobrych zbiorów, chociaż wszyscy czekali na deszcz. Pokazali mu też, jak można by poprawić plony. Potrzebowali przede wszystkim narzędzi i więcej zwierząt. Wieś jednak była biedna i nikt nie miał pieniędzy na tego rodzaju ulepszenia. Richard żałował, że nie wie więcej o uprawie ziemi. Może wówczas mógłby coś poradzić.

Droga prowadziła przez wieś, kapitan zatrzymał się więc przy kościele. Tak, jak wszystkie budynki w "Wargrave, wybudowano go z kamienia z Cotswald. Jego normańska wieża pochodziła z trzynastego wieku, ale niektóre fragmenty nawy głównej wyglądały na starsze.

Richard wszedł do środka, chłonąc atmosferę spokoju. Nie wychowano go w żadnej religii. Rodzice zabierali go do kościołów różnych wyznań, gdzie starali się zwrócić jego uwagę nie tylko na stronę religijną ceremonii, lecz również na jej muzyczną i plastyczną oprawę. A ponieważ Richard czuł to samo w kościele, jak i w lesie, uznał, że jest w równym stopniu poganinem co chrześcijaninem.

Z przyjemnością obejrzał wielkie organy z ich rozmaitością piszczałek. Mogło to znaczyć, że zmarła hrabina dopięła jednak swego. Richard ruszył dalej w stronę prezbiterium. W pewnym momencie zauważył niewielką figurkę, układającą kwiaty pod krzyżem. Na dźwięk jego kroków kobieta wyprostowała się i odwróciła w jego stronę. Mogła mieć z siedemdziesiąt lat, ale trzymała się prosto, a na jej twarzy widać było ślady minionej urody.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- To pan jest tym oficerem, który zatrzymał się w Wargrave Park - bardziej stwierdziła niż spytała.

Richard skinął głową.

- Chyba nie ma sensu zaprzeczać, prawda?

Na twarzy kobiety pojawił się lekki uśmiech.

- Powinien pan wiedzieć, że w takich wioskach jak nasza wieści rozchodzą się lotem błyskawicy - powiedziała, starannie wymawiając słowa.

Kapitan tylko wzruszył ramionami.

- Pewnie tak samo, jak w innych zamkniętych środowiskach - skonstatował. - Zdziwiłaby się pani, jak szybko rozchodzą się wieści w wojsku.

Nieznajoma potrząsnęła głową.

- Wątpię. Po tylu latach życia niewiele już mnie dziwi. Pańska twarz wydaje mi się znajoma - dodała, przyglądając się mu uważnie. - Ale to pewnie dlatego, że tyle już ich widziałam. A poza tym, coraz gorzej z moimi oczami...

Kobieta zamyśliła się, wpatrując się w niego uważnie.

- Nazywam się Dalton, Richard Dalton - przedstawił się pośpiesznie.

Staruszka wytarła dłoń w fartuch, a następnie "wyciągnęła ją w jego kierunku.

- A ja jestem żoną pastora i nazywam się Helen Chandler. - Uścisnęli sobie ręce. - Może usiądzie pan na chwilę? Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu to święte miejsce?

Richard uśmiechnął się nieznacznie.

- Absolutnie, nie - odparł. - Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że mam sumienie czystsze niż niejeden cywil. Po prostu, w czasie służby brakuje okazji do grzechu.

Staruszka roześmiała się serdecznie, a w jej oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Tutaj też ich pan nie znajdzie - zapewniła go. - Już bardziej w Londynie czy choćby Liverpoolu.

- Czy to znaczy, że w Wargrave nie ma grzechów i grzeszników?

Śmiech nagle się urwał.

- Nie. Ale trzymamy je wszystkie pod korcem - odparła. - Na tym, między innymi, polega różnica między prowincją i modnym światem. Grzechy nie są dla nas powodem do chwały. Co nie znaczy, że nie lubimy ich popełniać - dodała uczciwie po chwili namysłu.

Patrząc na nią, Richard zastanawiał się, czy mieszkała tutaj trzydzieści lat temu, kiedy to jego ojciec musiał uciekać z Wargrave Park w atmosferze skandalu. Jednak bał się o to zapytać.

- Co jeszcze mówiły plotki na mój temat? - postawił więc bezpieczniejsze pytanie.

- Och, niewiele. - Starsza pani machnęła ręką. - Tyle, że jest pan byłym kapitanem, rannym pod Waterloo i że nie zajmuje się pan zbyt gorliwie inwentaryzacją w zamku.

Richard nie miał pojęcia, że jest to tak oczywiste dla postronnych obserwatorów. Starał się przecież

codziennie spędzać trochę czasu nad papierami, co szczerze powiedział, nie zawsze mu się udawało.

- Poza *tym*, wiejskie powietrze rnuś panu służyć, bo wygląda pan teraz lepiej niż na początku. I w dodatku przestał pan używać laski, co znaczy, że pana rana powoli zaczyna się goić. No i widzę, że ma pan dobrze skrojone, ale nie nazbyt modne ubranie.

- Nawet w Hiszpanii .nie mieliśmy lepszego wywiadu - rzekł, kręcąc ze śmiechem głową.

Starsza dama pochyliła tylko pokornie głowę.

- Mój mąż zajmuje się sprawami duchowymi mieszkańców Wargrave, a ja... - zrobiła przerwę - bardziej praktyczną stroną ich życia.

- Założę się, że są pani za to bardzo wdzięczni.

- Do tego stopnia, że wielu życzy mi, żebym znalazła się w niebie - powiedziała ze skromną miną. - I to jak najszybciej.

Tym razem Richard nie mógł powstrzymać śmiechu. Zawsze wydawało mu się, że żony pastorów są łagodne i dyskretne, ale pani Chandler *nie* była zdaje się obdarzona żadną z tych zalet.

- Ale zawiodą się. - Kobieta wyprostowała się i spojrzała na niego ostro. - Moja droga jeszcze się nie skończyła. To pokuta, którą muszę odprawić.

Przez moment zastanawiał się, czym mogła zawinić. Z pewnością nie było to byle głupstwo. Wiedział jednak, że nie powinien o to pytać. Zresztą po minucie lub dwóch do kościoła wszedł siwowłosy pastor. Był to wysoki, chudy staruszek z uduchowioną twarzą. Wyglądał na człowieka, który rzadko stykał się z rzeczywistością. Na widok obcego pastor zamrugał oczami, a jego usta rozkwitły w serdecznym uśmiechu.

- Bardzo mi miło, bardzo mi miło - powtórzył. - Czy ja gdzieś już pana spotkałem?

- Obawiam się, że nie, panie pastorze. Nazywam się Dalton, Richard Dalton.

Żona spojrzała z politowaniem na małżonka, który wydawał się zupełnie zagubiony. Zapewne słyszał już to nazwisko, ale nie potrafił go z niczym skojarzyć.

- Ten ranny kapitan, który mieszka w Wargrave Park - wyjaśniła świszczącym szeptem pani Chandler.

Duchowny uścisnął dłoń Richarda.

- Jest mi tym bardziej miło - zapewnił. - Czy napije się pan herbaty ze mną i z moją żoną? Mam nadzieję, że skończyłaś już układanie kwiatów, kochanie? - zwrócił się do małżonki, a następnie przeniósł spojrzenie na nieznanego. - Czyż moja Helen nie jest cudowna? Pan Bóg był bardzo hojny, gdyż wynagrodził mnie dwiema wspaniałymi towarzyszkami życia.

Czyżby znaczyło to, że Helen Chandler jest jego drugą żoną? Mogła więc tu przyjechać nie tak dawno temu. Richard nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać, ponieważ patrzyły na niego dwie pary wyblakłych, starczych oczu. Jedno spojrzenie było ostre i uważne, a drugie uduchowione, lecz nieobecne.

Przez chwilę wahał się, a potem stwierdził, że żona pastora może być cennym źródłem informacji o mieszkańcach wioski.

- Z przyjemnością - odparł.

Pastor rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Wobec tego pozwoli pan, panie kapitanie, że najpierw oprowadzę go po kościele - zaproponował. - Założę się, że jeśli był pan tu i kilkanaście razy, to i tak nie odkrył pan wszystkich jego tajemnic.

Ponieważ Richard przyszedł tu po raz pierwszy,

bez oporów zgodził się na zwiedzanie. Nastawiał się na nudny wykład, ale okazało się, że pastor Chandler potrafi pięknie opowiadać o historii świątyni, co więcej, umie ją powiązać z historią samej wioski i najbliższych okolic. Przy okazji obejrzał sobie grobowce co znamienitszych Davenportów, a także rzeźbę w kamieniu wyobrażającą lorda Hughę, zaginionego w czasie wypraw krzyżowych i mosiężną tablicę upamiętniającą Gilesa Davenporta i jego trzy żony, ufundowaną przez liczne dzieci.

Ponieważ gość zdradzał wyraźne zainteresowanie historią tego rodu, pastor zaproponował, żeby przeszli na pobliski cmentarz, gdzie znajdowały się groby pozostałych Davenportów. Temu jednak sprzeciwiła się stanowczo pani Chandler. Pociągnęła męża za rękaw i ostatecznie zasiedli we trójkę w zacisznym refektarzu, gdzie podała herbatę i ciasteczka. Ona również chętnie odpowiadała na pytania kapitana i po jakimś czasie wiedział on mniej więcej, co ważnego wydarzyło się ostatnio w Wargrave.

W drodze powrotnej Richard zajął się rachunkiem zysków i strat związanych z dziedzictwem przodków. Już teraz był pewny, że mógłby wiele zrobić dla ludzi mieszkających w wiosce. Nie miał tylko pojęcia, czy udałoby mu się poprawić produkcję rolną. Wbrew zapewnieniom Chelmsforda uważał, że potrzeba do tego wiedzy i doświadczenia. Nie wątpił jednak, że w końcu znalazłby sobie tutaj jakichś doradców. Najwięcej straciłby rezygnując ze swojej wolności. Przez ostatnie lata wciąż był za kogoś odpowiedzialny. I teraz, kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, by się od tego wyzwolić, *los* spłatał mu takiego figla! Poza tym, odpowiadałby nie tylko za swoją

posiadłość, ponieważ przyjęcie tytułu łączyło się z zasiadaniem w Izbie Lordów. Czy sprostałby tym zadaniom? Czy znalazłby w sobie tyle siły, żeby nie ulec perswazjom pochlebców? Do głowy przychodziły mu wciąż nowe pytania, a on nie był w stanie odpowiedzieć na żadne z nich.

Te niewesołe myśli zupełnie go pochłonęły. Dopiero wraz ze zbliżaniem się do zamku, zaczął się do siebie uśmiechać i gwizdać coś pod nosem. Zatrzymał się przed stajnią, zdziwiony tym, że znajduje się tam wóz, a także lekka dwukółka. Czyżby jakieś odwiedziny? Chelmsford nic mu o tym nie wspominał.

- Na miłość Boską, uważajcie, barany! - dobiegł do niego czyjś rozeźlony głos. - To nie kamienie, tylko butelki wina! Prawdziwego wina, rozumiecie huncwoty?!

Po chwili Richard dosłyszał brzęk tłuczonego szkła, a potem stek przekleństw, którego nie powstydziliby się nawet najbardziej zapalczywy sierżant.

Kapitan zostawił konia i pokuśtykał na tyły wozu, by zorientować się w sytuacji. Przede wszystkim, zobaczył tam miotającego się na wszystkie strony Reggie'ego Davenporta. Czerwone wino, zapewne dobrej jakości porto, wsiąkało właśnie w ziemię, na co patrzyli z zafrasowanymi minami dwaj zamkowi służący. Woźnica w liberii i białych rękawiczkach, który zapewne przywiózł tu Reggie'ego, obserwował to z obojętną miną, jakby chciał pokazać, że nie jest stworzony do tego typu pracy.

- No i co robicie, durnie! - wrzasnął Reggie, kiedy służący splunęli w dłonie, żeby wziąć następną skrzynkę. - Każę "was zwolnić! Wychłostać!

Nagle urwał, widząc obcego. Przez parę sekund przyglądał mu się podejrzliwie, a potem mruknął:

- Skądś pana znam.

Richard uśmiechnął się do niego i uprzejmie skinął głową.

- Tak, pracuję dla pana Chelmsforda - wyjaśnił.

Kuzyn skrzywił się jeszcze bardziej, co było trudne, bo i tak miał twarz zniekształconą okropnym grymasem.

- Dla Chelmsforda? - powtórzył. - Po co tu pana przysłał? Żeby mnie szpiegować?

- Pan Chelmsford nie miał pojęcia, że się pan tu zjawi - odparł chłodno Richard. - Czy informował go pan o tym zamiarze?

- Jasne, że nie - odburknął kuzyn. - Zresztą do wczoraj sam nie miałem pojęcia, że tutaj przyjadę. No dobrze, więc kim pan jest, do diaska?

Richard pomyślał, że będzie musiał się przedstawić po raz trzeci tego ranka. Tyle, że to spotkanie jest najmniej przyjemne ze wszystkich.

- Nazywam się Richard Dalton - odpowiedział spokojnie. - "Widział mnie pan w kancelarii, kiedy omawiałem szczegóły mojego tutaj przyjazdu.

Reggie jeszcze raz zmierzył go wzrokiem, a potem skinął głową.

- Miał pan na sobie mundur - zauważył.

- Jestem kapitanem.

- To po co się pan teraz pcha w cywilne sprawy?

- Na zlecenie pana Chelmsforda mam przeprowadzić inwentaryzację majątku - Richard nie tracił cierpliwości. - Chodzi o to, żeby przekazać spadkobiercy wszystko w nienaruszonym stanie.

Kuzyn spojrział z niechęcią najpierw na kapitana, a potem przeniósł wzrok na dwóch nieszczęsnych służących.



- Wobec tego może pan odliczyć tych dwóch - warknął. - Zwalniam ich od zaraz!

Richard nagle jakby urósł. Cała sylwetka zamieniła się w autorytet.

- Nic takiego nie nastąpi - rzekł spokojnie, lecz stanowczo. - Nie ma pan tutaj żadnej władzy, a ci ludzie są potrzebni w zamku.

Jeden ze służących trącił w bok drugiego.

- To był przypadek, jaśnie panie. Nic innego, tylko przypadek - odezwał się starszy.

Richard zastanawiał się, czy nie celowo przekręca to tak istotne w tej sprawie słowo. Natomiast Reginald wpadł w jeszcze większą wściekłość.

- Jak to, nie mam władzy! - wykrzyknął. - Przecież wiadomo, że to ja odziedziczyłem tytuł i prawa do tych hultajów!

Kapitan uniósł lekko brew.

- Nie słyszałem o tym, żebyśmy znowu mieli wrócić do okresu niewolnictwa - skontrował kpiąco. - A jeśli idzie o pańskie domniemane prawa, to nikt ich nie kwestionuje. Na razie jednak to ja zarządzam całym majątkiem.

- Chce pan powiedzieć, że nie mam tutaj czego szukać? - spytał już potulniej Reggie, przytłoczony siłą autorytetu tego dziwnego człowieka.

- "Wręcz przeciwnie - odrzekł Richard. - Dom jest duży i doskonale nadaje się do tego, by się schronić przed wierzycielami.

Reginald spojrział na niego osłupiały, a następnie wybuchnął śmiechem. Nie spodziewał się, że ten niepozorny wojskowy odgadnie, dlaczego się tutaj znalazł. Oczywiście wolałby Brighton, a nie Gloucestershire, ale to właśnie tam przede wszystkim poszukiwano dłużników.

- Pan wybaczy, ale muszę iść, wyczyścić mego konia - dodał kapitan.

- Dżentelmeni nie czyszczą koni - zauważył Reggie. Richard skinął głową.

- Dżentelmeni być może nie, ale wojskowi tak - stwierdził. - Zawsze to robiłem. Nawet po najgorszych walkach w Hiszpanii.

- To tam pana okulawili? - spytał jeszcze kuzyn.

- Nie, pod Waterloo...

Kpiący uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Reggie'ego.

- Mówią, że to była ciężka bitwa - rzucił.

- I mają rację.

Czekał jeszcze, czy kuzyn zechce coś powiedzieć. Ponieważ milczał, Richard skierował się na tyły wozu, po swego konia. Był pewny, że jeśli Reginald odziedziczy majątek, połowa służby zechce stąd odejść. Miał on rzadki dar zrażania do siebie ludzi. Oczywiście tylko tych, którzy od niego zależeli. Kapitan nie wątpił, że bez mrugnięcia okiem potrafił schlebiać znaczniejszym i bogatszym od siebie.

Reginald jeszcze przez chwilę patrzył za oddalającą się sylwetką. To dziwne, że ktoś, kto wygląda tak niepozornie, ma w sobie tyle siły i autorytetu. Początkowo wydawało mu się, że owinie sobie tego Daltona wokół palca. Teraz musiał zweryfikować swoje opinie.

Richard spojrział nieco przychylniejszym wzrokiem na kuzyna dopiero w czasie wspólnego posiłku. Służba, która nie dostała jasnych dyspozycji, nakryła dla nich obu. Reggie był już w nieco lepszym nastroju, ponieważ tuż po wprowadzeniu odwiedził zamkowe piwnice i odnalazł w nich spore zapasy

przedniego wina. Cóż mogła znaczyć jedna butelka wobec tej obfitości! Dlatego starał się być miły dla kapitana, a jego cyniczne komentarze na temat Londynu lub rodziny były nawet zabawne.

Richard starał się nie angażować za bardzo w rozmowę. Zwykle odpowiadał tylko na pytania. Jego zdaniem Reginald wyrósłby na kogoś znacznie lepszego, gdyby miał mniej pieniędzy i więcej obowiązków. A tak, zaprzepaścił swe zdolności, oddając się wyłącznie różnym rozrywkom. Kapitan miał teraz okazję w pełni docenić to, że ojciec trzymał go z daleka od Wargrave. Inaczej mógłby być zupełnie innym człowiekiem i czekać, tak jak Reggie, aż coś mu spadnie z nieba.

Kończyli właśnie obiad, kiedy do jadalni wpadła zaróżowiona Caroline.

- Somers mi powiedział, że jesteś tutaj i... - urwała gwałtownie. - O, przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa.

Caroline zaczerwieniła się ze wstydu i oddychała ciężko, ponieważ ostatnie metry pokonała biegiem. Wyglądała naprawdę pięknie, co podkreślała jeszcze jej fryzura i kremowa suknia. Obaj mężczyźni wstali, żeby ją powitać.

- Proszę, proszę... - Reggie pospieszył w jej stronę. - *Życie na wsi wcale nie musi być nudne. Pani pozwoli, że się przedstawię. Reginald Davenport, do pani usług.* - Skłonił się elegancko.

Po chwili Richard już był przy nich.

- A to jest panna Hanscombe - dopełnił formalności. - Mieszka nieopodal, w Wildehaven.

Oczy Reginalda pociemniały, a na jego ustach pojawił się dwuznaczny uśmiezek.

- Wobec tego musi pani być narzeczoną lorda Rad-

forda, czy tak? Moje gratulacje. Chyba trudno go było złowić, prawda?

Caroline poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Oczywiście zaraz pan za *to przeprosi* - głos kapitana zadźwięczał jak stal. - Przecież nie chciał pan *obrazić* panny Hanscombe.

Reggie spojrział na niego jak na uprzykrzoną muchę. Dlaczego ten człowiek bez przerwy go strofował? I skąd on, potomek Davenportów, brał w sobie tyle cierpliwości, żeby to znosić?

- Przepraszam - wymamrotał. - Istotnie, nie miałem zamiaru pani obrazić. Obawiam się, że nie pałam szczególną sympatią do barona i stąd ta, być może przykra, uwaga.

Prawda była taka, że ze spotkania na spotkanie ich wzajemna nienawiść rosła. Na szczęście nie widywali się zbyt często.

Reginald skłonił się raz jeszcze, a potem po prostu patrzył na Caroline z niemym podziwem. Cienka suknia przywarła do jej ciała. Było jasne, że ani nie nosiła, ani nie potrzebowała gorsetu. Była wiotka, pełna wdzięku i świeża. A poza tym należała do Radforda. Uwiedzenie jej mogłoby się dla niego stać nie tylko przyjemnością, ale też słodką zemstą. Byle tylko znaleźć ku temu okazję, ponieważ pannom na wydaniu towarzyszyły zwykle przyzwoitki. Były to osoby leciwe, ale nie na tyle, żeby nie móc przemieszczać się tam, gdzie pilnowane przez nie osoby.

Kiedy Reginald rozmyślał o *tych* wszystkim, Richard podał Caroline ramię.

- Czy przejdziemy do pokoju muzycznego? - spytał.

- Z największą przyjemnością. - Dziewczyna od-

wróciła się. - Miło mi było pana poznać, panie Davenport - dodała niezbyt pewnie.

Kiedy w końcu znaleźli się sami w korytarzu, Caroline aż się otrząsnęła.

- Co za nieprzyjemny człowiek! - rzekła z obrzydzeniem. - Wydaje mi się, że jego spojrzenie zostawiło na mnie oślizłe ślady.

Dotarli do drzwi pokoju i Richard puścił ją przodem.

- Nie przejmuj się. Nie będziesz go spotykać zbyt często.

Caroline nagle posmutniała.

- To prawda - przyznała. - Mój narzeczony wrócił i będę teraz pewnie bardziej zajęta...

- Lord Radford? Kiedy? - Richard starał się nie okazywać, jak mu jest z tego powodu przykro.

- Wczoraj, późno w nocy - odparła. - I... i...

Dziewczyna zamilkła, a w jej oczach pojawiły się łzy, które szybko wytarła batystową chusteczką. Kapitan wiedział, *co* chce powiedzieć. Ze wszystko skończone. Ze już nigdy nie będzie tak samo. Ze jest jej bardzo smutno.

Przez moment stali naprzeciwko siebie i Caroline patrzyła na niego tak, jakby chciała na zawsze zapamiętać jego twarz. Zauważyła, że wygląda teraz znacznie lepiej. Poruszał się już bez laski i widać było, że ma więcej energii. Czuła się tak, jakby znała go od dziecka. To niezwykle, że można tak bardzo się z kimś zbliżyć, spędziwszy z nim zaledwie osiem, dziewięć dni.

Do tej pory nie myślała o tym, że ich spotkania się skończą. Przyjmowała za naturalne to, że może w każdej chwili przyjść do Wargrave Park. Jeszcze z nikim nie rozmawiało jej się tak dobrze.

Spojrzała na niego ponownie i dotknęła lekko szramy na jego policzku.

- Jak to się stało? - spytała.

- Kawałek szrapnela pod Badajoz - "wyjaśnił.

Stali tak, patrząc sobie w oczy. W końcu Caroline poprosiła, żeby usiedli. Nie chciała, żeby kapitan nadweręzał swoją *nogę*.

- Jaka jest wojna? - zadała kolejne pytanie.

Przez chwilę milczał, a potem westchnął cicho.

- To trudne pytanie. Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Zastanawiałam się, jak mogłaby brzmieć muzyka na tematy wojenne - odpowiedziała. - Po raz pierwszy zaczęłam myśleć, że mogę zostać kompozytorem. Ale do tego potrzebna mi jest wiedza. Jeśli sama nie mogę czegoś sprawdzić, muszę pytać innych.

Richard potrząsnął głową.

- Moim zdaniem już jesteś kompozytorem. I to jednym z najlepszych w Europie. Ale jeśli chcesz, spróbuję ci opowiedzieć o wojnie. - Zadumał się głęboko. - Wojna, to przede wszystkim nuda, radzenie sobie z różnymi drobnymi przeciwnościami takimi, jak deszcz lub wszy. A kiedy przychodzi to najważniejsze, człowiek jest zbyt oszołomiony, żeby myśleć. I wtedy właśnie liczy się to, czy stał się dobrą maszyną do zabijania, czy nie. Jednak najdziwniejsze, że rzeczywiście towarzyszą temu wszystkiemu myśli o honorze i ojczyźnie. Tak, jakby się żyło jednocześnie na zupełnie różnych poziomach.

Wziął *guitarę* i wydał z niej pierwsze, tęskne dźwięki. Caroline zobaczyła wielkie pole i okopy z żołnierzami, którzy całymi dniami nie mają nic do roboty, więc trenują szermierkę i strzelanie.

- Czy... czy ty byłeś dobrą maszyną do zabijania?

- wyjąkała. Widać było, że to pytanie męczyło ją od jakiegoś czasu,

Richard spojrzął po sobie, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jest wśród żywych.

- Wygląda na to, że tak.

- Nie rozumiem tego. Wyglądasz na człowieka, który nie byłby w stanie skrzywdzić dziecka.

Muzyka, która spływała ze strun była jeszcze bardziej rzewna i smutna. I znowu nie przypominała niczego jej znanego.

- Co to?

- Nauczył mnie tego pewien rosyjski oficer - wyjaśnił. - Nie znam niczego smutniejszego. A jeśli idzie o dziecko, to... pewnie masz rację. Nie potrafiłbym skrzywdzić dziecka.

Dziewczyna na tyle pogrążyła się we własnych myślach, że nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

- Dziecko? Jakie dziecko?

Richard spojrzął w jej oczy, które przypominały mu teraz głębokie sadzawki i stwierdził, że nie ma sensu wdawać się w wyjaśnienia. Caroline była w takim nastroju, że niewiele do niej docierało. Może to wina tej dumki, którą grał? Przytrzymał dłońią rozedrgane struny *guharry* i zwrócił się do towarzyszki:

- Może zaśpiewamy razem? Nigdy tego nie robiliśmy, a mam wrażenie, że powinno nam nieźle pójść.

Początkowo chciał wybrać coś wesołego, ale dziewczyna wolała pieśń miłosną. Zasiadli więc do fortepianu i zaczęli śpiewać. Richard i tym razem miał rację: jego tenor doskonale współgrał z ciepłym altem Caroline.

Kiedy skończyli, w pokoju zaległa cisza.

- Dziękuję ci - usłyszał w końcu cichy szept dziewczyny.

czyny, - Tyle ci zawdzięczam. Tyle się od ciebie nauczyłam...

Richard zaczął następną piosenkę po hiszpańsku, a ona natychmiast podchwyciła melodię i zaśpiewała bez słów.

- O czym opowiada ta pieśń? - spytała, kiedy odłożył *gukarę*. - Jest niby wesoła, a jednak jest w niej coś groźnego.

- Hm, może lepiej nie będę jej tłumaczył - wykręcał się.

- Pewnie jest nieprzyzwoita - domyśliła się.

- I to jak! Dziewczyna śpiewa ukochanemu, co z nim robi, jeśli ją zdradzi...

Caroline przez chwilę zastanawiała się, co sama poczęłaby w takiej sytuacji, ale nic nieprzyzwoitego jakoś nie przychodziło *jej* do głowy. Może była za mało doświadczona? A może nie kochała jeszcze tak mocno? Nie powinna się przecież łudzić, że pała do barona wielkim uczuciem.

Nagle jej wzrok padł na Richarda, a na jej policzkach pojawiły się ceglaste rumieńce. Już wiedziała, co mogłaby zrobić. Ale przecież nie może myśleć w ten sposób. Ani kapitan nie należy do niej, ani ona, tym bardziej, do niego.

- Zaśpiewajmy coś jeszcze - poprosiła.

I po chwili pokój znowu napełniły ich silne głosy. Śpiewali starą francuską balladę o cierpieniu i rozłace.

Godzinę później Caroline stwierdziła, że musi już wracać do Wildehaven. Richard zaproponował, że ją odprowadzi, a ona zgodziła się chętnie. Oboje wiedzieli, że przypuszczalnie po raz ostatni mają okazję spędzić ze sobą trochę więcej czasu i nie chcieli jej zaprzepaścić. Szli słuchając ptaków i co parę chwil



wymieniali jakieś luźne uwagi. Nie rozmawiali o niczym ważnym, ponieważ wiedzieli, że mogło im to tylko zepsuć popołudnie.

W końcu zatrzymali się na skraju polanki, oświetlonej rzęście lekko już czerwonymi promieniami słońca. Caroline wskazała wysokie trawy tuż przy starym buku.

- Zawsze mi się wydawało, że właśnie w takich miejscach mogą tańczyć elfy - wyznała. - Chciałabym to zobaczyć, a potem sama móc z nimi zatańczyć.

- Czemu nie? - Richard uśmiechnął się do niej. - Jesteś przecież taka eteryczna. Czasami wydaje mi się, że zupełnie znikasz, kiedy tracę cię z oczu.

Caroline mogła tylko żałować, że nie jest tak naprawdę. Spojrzała na trawy, a potem na Richarda.

- Zatańczysz ze mną?

"W odpowiedzi potrząsnął bezradnie głową.

- Obawiam się, że nie byłbym najlepszym tancerzem - odrzekł. - Będziesz musiała tańczyć za nas dwoje.

Posłała mu jeszcze jedno niepewne spojrzenie, a potem podbiegła do buka. Wiatr lekko rozwiewał jej włosy. Teraz wyglądała naprawdę niezmiernie. Przystanąła na chwilę oparta o drzewo i zamknęła oczy, żeby się skoncentrować. A potem zatańczyła. Chociaż właściwie nie... popłynęła w trawach jak prawdziwa wróżka, niemal nie dotykając stopami ziemi. Krążyła wokół drzewa, chociaż tak naprawdę całą uwagę poświęcała Richardowi. Jej ciałem kołysały rytmy, których nie próbowała w tym momencie zrozumieć. W uszach miała muzykę, która wydawała jej się zbyt piękna, żeby usiłować ją nazwać. Dopiero, kiedy zastygła w ukłonie tuż przed stojącym nieopodal mężczyzną, dotarło do niej, co przed chwilą odtąńczyła.

Było to stare jak świat Misterium Miłości.

Czy Richard to zrozumiał? Stał przed nią bez ruchu i oczy mu płonęły. Właściwie nigdy wcześniej nie dawał choćby znaku, że czuje do niej coś poza zwykłą sympatią. Jednak teraz widać było wewnętrzną walkę, jaką musiał ze sobą stoczyć, żeby nie pocałować zastygłej przed nim dziewczyny.

W końcu wziął w dłoń jej palce i dotknął ich lekko wargami. Wystarczył ten niewielki przecież, fizyczny kontakt, żeby wprowadzić *jej zmysły* w dziwne pomieszanie.

- Chodź, Tytanio - rzekł ochryple. - Musisz wrócić do świata ludzi.

Caroline skinęła głową i poprawiła swoją suknię. Zaszokowało ją to, że potrafiła wreszcie nazwać swoje uczucie do Richarda. Gdyby wiedziała, jak to zrobić, natychmiast wyznałaby mu miłość. Ponieważ jednak nigdy przedtem tego nie robiła, bała się słów, które miałyby wypowiedzieć.

W tym momencie zupełnie zapomniała o rzeczywistości. A zwłaszcza nie pamiętała o tym, że jest zaręczona. Powoli jednak wracała jej pamięć i zaczynała rozumieć, w jak strasznej znalazła się sytuacji. Powinna wyznać Richardowi *miłość* zaraz po tańcu, a *nie* czekać, aż wszystko sobie przypomni.

Teraz będzie się czuła winna wobec barona.

Przeszli przez lasek i znaleźli się w pobliżu pałacu. Tak, jak to mieli w zwyczaju, Caroline czekała aż jej towarzysz się oddali, a następnie sama ruszyła przed siebie. Wśliznęła się cichutko do holu i przemknęła do swego pokoju. Musiała teraz przebrać się do kolacji. Kiedy jednak znalazła się przy łóżku, rzuciła się na pościel i zaczęła płakać.

Richard długo nie wracał do Wargrave. Najpierw przechadzał się trochę po lesie, a następnie przysiadł na zwalonym pniu i wsłuchiwał się w ptasi śpiew. Niedługo być może odezwie się słowik.

Niestety, nawet najśłodsze dźwięki nie przynosiły mu ukojenia. Czuł się tak, jakby nagłe rozcięto go na pół. Czy to możliwe, żeby przez tydzień tak bardzo się do kogoś przywiązać? Czy to możliwe, że można tak tęsknić? Do tej pory zawsze był sam i jakoś nie cierpiał z tego powodu. Co więc się z nim stało?

Bez trudu pojął wymowę jej tańca. Obawiał się tylko, że sama Caroline nie rozumiała tego, co wytańczyła. Pod koniec wyglądała na zupełnie nieprzytomną, jakby rzeczywiście spędziła parę minut w krainie elfów.

Kapitan uśmiechnął się do siebie. Gdyby w takim momencie zobaczył ją Radford, wyzwałby go zapewne na pojedynek. Specjalnie go to nie martwiło, chociaż Caroline mogłaby mieć do niego pretensje, że za bił *jej* narzeczonego.

Richard obserwował ją uważnie przez ostatnich parę dni i nie zauważył, by była zakochana w baronie. W ogóle rzadko go wspominała, a jeśli już, to z pewną obawą, jakby się go bała. Czy to możliwe, że zdecydowała się na małżeństwo dla pieniędzy? Kapitan znał życie i wiedział, że to prawdopodobne. Nie mógł jednak wyobrazić sobie Caroline w takim związku. Dziewczyna była zbyt szczerą i prostolinijną, żeby się zdecydować na coś takiego. Więc co? Może rodzice? Kapitan gubił się w domysłach i nawet nie zauważył, że zaczął nucić melodię piosenki „Zielony Strój”:

Twoja odmowa, miła, mym  
Wstrząsnęła życiem całym,  
Na przekór twoim słowom złym,

Tak długo cię kochałem...

Nie, ten utwór zupełnie nie pasował do ich sytuacji. Tyle tylko, że doskonale odzwierciedlał stan jego ducha, kiedy tak siedział na pniu i patrzył na zachodzące słońce.

W końcu wstał i, utykając bardziej niż zwykle, powlókł się do zamku. Postanowił, że raz jeszcze porozmawia z Caroline. Nigdy by sobie nie darował, gdyby okazało się, że ją stracił przez zwykłe zaniedbanie.

Kapitan Dalton był dziwnie milczący tego wieczoru. Spytał tylko Somersa o korespondencję z Londynu, a kiedy dowiedział się, że nic nie przyszło, zasiadł przy ogniu i pogрузzył się w milczeniu. Reggie zastanawiał się, czy nie żywi do niego pretensji o to, co powiedział po posiłku, ale wiele wskazywało, że pomocnik Chelmsforda już taki jest z natury.

Natomiast Davenporta rozsadzała energia. Włączył się tam i z powrotem po zamku, nie mogąc znaleźć sobie żadnej rozrywki. Wreszcie poczuł, że jeśli nie zmusi kapitana do rozmowy, to zacznie wyc z nudów. Próbował po kolei zagajać na temat wyścigów, boksu i gry w pokera, ale jego współtowarzysz nie wydawał się być zainteresowany żadnym (żadnym!) z tych jakże ciekawych tematów.

- Stary z ciebie nudziarz, Dalton - stwierdził, uznawszy na ostatek, że może zwracać się do Richarda na „ty”. - Przypominasz mi krowę, która bez przerwy coś przeżuwa.

- Chyba byka - poprawił go kapitan.

W oczach Reginalda pojawiły się złośliwe błyski.

- A może wałacha - rzucił.

- Daj spokój, Davenport. Zachowujesz się jak

uczniak, próbując mnie obrazić w ten sposób - mruknął Richard i machnął ręką.

Reginald poczuł szacunek dla człowieka, którego tak trudno było wyprowadzić z równowagi.

- Do diabła! Dużo bym dał, żeby wiedzieć, jak się do ciebie dobrać!

- Lepiej nie, bo wówczas musiałbym cię zabić - rzekł ze spokojem kapitan. - Mężczyzna nie może pozostawić bez reakcji prawdziwej obrazy.

Reggie stanął przed kominkiem i wykonał parę pchnięć wyimaginowaną szpadą. Zacisnął usta, a następnie plunął przed siebie ze złością.

- To ty nie dałbyś mi rady! Nikt w Anglii nie jest w stanie pokonać mnie na szpady, pistolety, czy pięści! - przechwalał się. - Zwyciężyłem nawet Jacksona w jego własnej bawialni.

Richard nie potrafił ukryć zdziwienia:

- W bawialni? To w Londynie walki odbywają się w bawialniach? Dla zabawy?

- Walczymy tam, gdzie trzeba - odparł poirytowany kuzyn.

Kapitan spojrział na niego z politowaniem.

- A ja nauczyłem się w wojsku jednego. Należy unikać rozlewu krwi, gdzie to tylko możliwe. - Zrobił efektowną pauzę. - Ale jeśli nie, trzeba zabijać.

Reginald trochę spotulniał. Podeszedł do stołu i naładował sobie kolejny kieliszek portu. Piąty lub szósty. Nigdy nie był zbyt mocny w rachunkach.

- Miałem zamiar wybrać się jutro na mecz bokserki do Bristolu - zaczął. - Chętnie bym cię zaprosił, Dalton, ale pewnie uznasz to za czczą rozrywkę?

Richard uznał to za wynik ostatecznej desperacji ze strony Reggie'ego. Z jednej strony, kuzyn próbo-

wał go obrazić, ale z drugiej, pragnął zaprosić do Bristolu. Czyżby aż tak brakowało mu towarzystwa? No cóż, najważniejsze, że wyjedzie. Jego nieobecność powinna podziałać tonizująco na wszystkich dokoła.

- Niestety, tak - odparł, rozkładając ręce. - Zresztą mam tutaj masę pracy. Nie radzę jednak stawiać na zawodnika z Kornwalii. Podobno nie jest w tym roku w formie.

Richard spojrzął jeszcze w ogień, po czym wstał, żeby pożegnać się z kuzynem. Wymienili krótkie ukłony, a następnie kapitan skierował się do swojego pokoju. Reginald patrzył za nim ze zdziwieniem. Skąd, u licha, mógł wiedzieć o Kornwalijszym? I o tym, że chce na niego postawić okrągłą sumkę?

Reggie wzruszył tylko ramionami i sięgnął po butelkę. Zdziwiło go trochę, że jest pusta, ale szybko zdecydował się pójść po następną.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Jason zerkał *co jakiś* czas z niepokojem w stronę narzeczonej, ale Caroline nie odpowiadała nawet na alarmujące spojrzenia Jessiki. W końcu, po długim milczeniu, przeprosiła zebranych i wymówiwszy się migreną poszła do swego pokoju.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, natychmiast skierowała się w stronę lutni. Był to jedyny instrument, jaki jej został. Usiadła na łóżku i zaczęła grać jedną z ballad, której nauczyła się od Richarda. Jej głos popłynął miękko w chłodnym wieczornym powietrzu:

A mój ukochany  
Jest zaczarowany,  
Lecz, gdy go poślubię,  
Pójdzie ze mną w tany.

Śpiewała z takim zapamiętaniem, że nie zauważyła ciotki, która pojawiła się nagle w drzwiach. Przypominała sobie ostatnie spotkanie z Richardem i swój taniec, a także uwagę kapitana, że jego noga nigdy nie będzie do końca sprawna. Nie wątpiła jednak, że zatańcząby na ślubie. Ich ślubie.

Jessica słuchała jakiś czas, a następnie zamknęła za sobą drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, czy wrócić do Jasona, czy też pójść do siebie, ale w końcu zeszła do bawialni. Natomiast Caroline śpiewała do północy. A kiedy skończyła jeszcze długo, długo nie mogła zasnąć.

## 11

Pałacowe korytarze wciąż były pogrążone w półmroku. Jason skręcił w stronę gościnnych apartamentów, tłumacząc sobie, że jest to trasa równie dobra jak każda inna, a Jessica na pewno śpi jeszcze o tej porze. Przecież wczoraj rozstali się prawie o północy! Niemożliwe zatem, żeby wstała tak wcześnie na przejażdżkę. Co prawda ostatnio spotkali się w stajni trzy razy, ale *nie* było to w żaden sposób *zaplanowane*. No i oboje byli porządnie wyspani.

Baron zatrzymał się przed drzwiami rudowłosej damy, udając, że poprawia sobie but. Nic, cisza. Nagle z wnętrza komnaty dobiegł jej słodki głos:

- Żeby cię dzuma zżarła!

Jason przez chwilę zastanawiał się, czy chodzi o niego. Ponieważ jednak nic na to nie wskazywało, zapukał lekko do drzwi. Natychmiast otworzyła je Jessica, ubrana tylko w spodnie do jazdy i nie zapiętą koszulę.

- O przepraszam! - Zasłoniła piersi. - Myślałam, że to ktoś ze służby.

Odwróciła się tyłem i szybko pozapinała guziki. Natomiast baron zaczął się wycofywać na korytarz.

- To ja przepraszam, jeśli przeszkodziłem - rzucił.

Ale Jessica, ku jego zdumieniu, chwyciła go za rękę i wciągnęła *do* środka. A następnie zaprowadziła go do swojej sypialni.



- Nie, nie odchodź. Właśnie ciebie teraz potrzebuję.

Jason jeszcze nigdy nie został wciągnięty w ten sposób do sypialni damy. Zdarzały mu się, co prawda, sytuacje odwrotne, ale nie sądził, że może to być aż tak podniecające. W tym momencie czuł się trochę ubezwłasnowolniony i czekał, co będzie dalej.

Natomiast Jessica zatrzymała się przed swoim łóżem i wykonała dramatyczny gest ręką.

- Popatrz, co się dzieje!

Jeśli chodziło o jego żądze, to z pewnością działa się "wiele. Ale, nie. Wzrok barona powędrował tam, gdzie wskazywała i po chwili zauważył małą futrzastą figurkę zastygłą na baldachimie nad łóżem.

- Wellesley? - spytał zdziwiony.

Rudowłosa skinęła głową. Zresztą niepotrzebnie, bo kot wydał głośne miauknięcie, nie pozostawiając już żadnych wątpliwości co do tego, kim jest.

- Wdrapał się tam i nie może zejść, a ja nie mogę go dosięgnąć. - Wskazała największe z krzeseł znajdujących się w pokoju, które przystawiła do łóżka. - Spróbujesz? Jesteś ode mnie wyższy.

Kotek znowu miauknął żałośnie, a Jason skinął głową.

- Oczywiście. Sporo z nim kłopotów, prawda? - spytał, sprawdzając, czy krzesło stoi pewnie na puszystym dywanie.

- Jak z małym dzieckiem - odparła. - Tyle, że jest jeszcze szybszy. A kiedy już by się chciało skrócić mu kark, potrafi być przymilny i słodki.

Baron wyciągnął dłoń, a Wellesley wpił się w nią pazurami.

- Aj! - jęknął.

- Uwważaj! - dobiegł do niego okrzyk z dołu.

Jason próbował uspokoić kotka, co mu się wkrótce udało. Teraz już bez trudu mógł go zdjąć i przenieść w bezpieczne miejsce.

Kiedy znalazł się na dole, Jessica zainteresowała się jego ręką.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, biorąc ją w swoje dłonie.

- To nic takiego. - Spojrzał na nią. - Masz najbardziej zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Te słowa zabrzmiały jak miłosne wyznanie. Ona jednak potrząsnęła głową i wskazała bawiącego się na dywanie Wellesleya.

- To przyjrzyj się uważnie jego oczom.

Ale baron nie miał na to ochoty. Wystarczył mu widok szmaragdowych źrenic Jessiki z ich tajemniczą, ciemną obwódką. W takich oczach można się było utopić!

- Skoro masz już na sobie strój do jazdy, czy wybierzesz się na przejażdżkę?

Rudowłosa dama spojrzała na kotka, który jak gdyby nigdy nic popijał mleko z miseczki.

- Z największą przyjemnością - odrzekła. Narzuciła na siebie brązowy kaftan, ponieważ od wczoraj trochę się ochłodziło i wyszła pierwsza ze swojego apartamentu. Rozejrzała się bacznie dookoła i dopiero wtedy wypuściła Jasona. Co prawda wdowie uchodziło wiele, mimo to nie chciała, żeby ktoś widział barona wychodzącego o tej porze z jej sypialni!

Przed wejściem do stajni, zerknęła jeszcze na swego towarzysza. Dlaczego wciąż jest tak przystojny? Gdyby był choć odrobinę brzydszy, łatwiej by jej teraz było pogodzić się ze stratą. A tak, sprawiał, że czuła się przy nim dziwnie krucha i kobieca.

- Chodź, coś ci pokażę. - Poprowadził ją do odległego boksu. - I co ty na to?

2 tymi słowami otworzył zbite z desek drzwi, ukazując jej oczom przepiękną jabłkowitą klacz. Jessica podeszła do niej jak zaczarowana i z przyjemnością dotknęła jej siwej, naznaczonej „jabłkami” sierści.

- Jest śliczna! - westchnęła.

Schyliła się jeszcze, żeby sprawdzić pęciny i kopyta. Wszystko było wspaniale ukształtowane i wskazywało na to, że klacz doskonale nadaje się pod wierzch. Jessica nie widziała jej tu wcześniej, więc Jason musiał kupić ją niedawno. Może nawet wczoraj, kiedy wyjechał na parę godzin, nie mówiąc dokąd.

Kiedy się wyprostowała, koń trącił ją przyjaźnie pyskiem.

- Zdaje się, że cię polubiła - zauważył Jason.

- Raczej wyczuła, że mam w kieszeni marchewkę - rzekła ze śmiechem. - Wzięłam ją dla bułanka, ale w tej sytuacji...

Wyjęła warzywo z kieszeni i z namaszczeniem podała klaczy, która poradziła z nim sobie paroma kłapanięciami paszczy. Następnie grzebnęła kopytem w ziemi, jakby chcąc pokazać, że jest gotowa do jazdy. Pod lśniąca sierścią widać było prężące się muskuły.

- To czysty arab, prawda? - Jessica zwróciła się do barona.

- Prawie. Ale moim zdaniem ta domieszka krwi angielskiej czyni z niej najwspanialszą klacz w kraju. Głupcy sprzedali mi ją bardzo tanio, bo uważali, że nie jest do końca rasowa. - Zmarszczył brwi, jakby coś nagle przyszło mu do głowy. - Zresztą, czy nie to samo dzieje się z ludźmi?

Jego rozmówczyni nie odpowiedziała na to pyta-

nie. Nie miała ochoty na smutne refleksje, a Jason chyba to wyczuł, ponieważ od razu dorzucił:

- Chcę ją dać Caroline w prezencie ślubnym.

Rudowłosa dama zrobiła taką minę, jakby to *nie* był najlepszy pomysł, ale znowu powstrzymała się od komentarzy.

- Czyżby moja narzeczona nie umiała jeździć konno? - zaniepokoił się.

- Umie, umie - uspokoiła go. - Nawet nieźle jej to idzie, jeżeli...

Jessica urwała nagle i się zaczerwieniła. Pomyślała, że to sama Caroline powinna poinformować o wszystkim narzeczonego.

- Jeżeli? - powtórzył. - Powinnaś mi powiedzieć. Przecież muszę ją lepiej poznać przed ślubem.

Ten argument trafił jej do przekonania.

- No cóż, być może zauważyłeś, że Caroline jest trochę roztargniona - zaczęła niepewnie.

- Trudno było tego nie spostrzec.

- W rodzinie ma opinię nieuważnego jeźdźca. Kiedyś próbowałam ją uczyć, ale każdy koń o większym temperamencie po paru minutach zrzucił ją na ziemię. A kiedy się mocno potłukła, pozwoliliśmy jej jeździć na kucyku...

Baron parsknął śmiechem, ale zaraz potem spoważniał. Powinien myśleć z szacunkiem o swojej przyszłej żonie.

- Chcesz powiedzieć, że ta klacz...

Koń poruszył się niespokojnie, jakby wyczuwając, że o nim mowa i stuknął kopytem o ziemię.

- ... zrzuci ją jeszcze szybciej niż inne konie - dokończyła, rozkładając ręce. - To może być niebezpieczne.

- Więc może jednak fortepian będzie lepszym prezentem.

- Zdecydowanie - zapewniła go i poklepała uspokajająco klacz. - Jak się nazywa?

- Kleopatra - odparł dumnie baron. - Będzie wspaniałą towarzyszką dla mojego Cezara.

Jessica nie wyglądała na do końca przekonaną.

- Czy nie lepiej, żeby nosiła raczej imię żony Cezara? - spytała. - Ta historia nie zakończyła się dobrze.

- Naprawdę wolisz, żeby nazywała się Kalpurnia? - roześmiał się Jason. - No cóż, może najpierw sprawdzisz, jak się na niej jeździ? Niezależnie od imienia, ma chyba wielką ochotę trochę się rozruszać.

Zielone oczy zalśniły entuzjazmem.

- Tak! Koniecznie!

Baron osiodłał najpierw jabłkowitą klacz, a potem swojego konia. Wyszli na zewnątrz i po paru minutach pędzili już po polu. Kleopatra niosła wspaniałe i Jessica aż roześmiała się, czując, że niemal płynie w powietrzu. Jason był tuż przy jej boku.

- Czy mogę sprawdzić jak skacze? - krzyknęła w jego stronę, a następnie, nie czekając na odpowiedź, skierowała się w stronę żywopłotu.

Klacz przeskoczyła go ze sporym zapasem. Jason poszedł w *jej ślady*, a *jego* wierzchowiec również poradził sobie z krzakami, ale z mniejszą gracją.

- Jest wspaniała! Wspaniała! - Jessica klepała konia po siwej szyi. - Jestem pewna, że przegoniłaby twojego wielkiego, ciężkiego Cezara.

Baron pokręcił głową.

- Żadna klacz nie jest w stanie zwyciężyć mojego ogiera - odparł, myśląc o tym, że nigdy nie widział piękniejszej kobiety.

Ich związek *zawsze* wiązał się z końmi. Ale najważniejsza była w tym wszystkim Jessica.

- Mogę się założyć, że jest szybsza!

Nagle przypomniał mu się zakład z Fitzwilliamem i baron zmarszczył ponuro brwi. Nie, nie miał już ochoty na zakłady. Wygrywanie ich nie sprawiało mu radości. Chętnie jednak urządziłby wyścig.

- Dobrze, możemy wypróbować nasze konie - zaproponował. - Pamiętasz ten wielki dąb, stojący niedaleko Wargrave?

- To będzie jakieś dwie miłe *stąd*.

- Właśnie. Możemy ścigać się do tego dębu. Każda trasa jest dobra, pod warunkiem, że nie zniszczymy upraw. Możesz ruszać! - krzyknął na koniec.

Słyszając to, rudowłosa dama popuściła klaczy cugli i pomknęła w stronę najbliższego wzgórza. Jason czekał przez chwilę, a następnie sam spiął konia i ruszył jej śladem. Chciał jej dać fory, ponieważ znał teren lepiej niż ona.

Do dębu prowadziły trzy trasy. Najbardziej płaska była jednocześnie najdłuższa i biegła przez las, który stanowił istotną przeszkodę. Druga co do długości biegła przez otwarte, pagórkowate pola. Najkrótsza też była odkryta, ale po drodze trzeba było pokonać wąski parów.

Jason poczuł nagle, że zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Czy Jessica znała tę trasę? Mogła tamtędy jeździć, kiedy *nie* było go w Wildehaven, wątpił jednak, żeby pokonała parów. Niewielu jeźdźców to potrafiło, natomiast liczni wychodzili stamtąd z różnego rodzaju obrażeniami. Dwóch nawet zginęło po tym, jak przejął majątek, chociaż po okolicy krążyły plotki o dziesiątkach *innych*.

Zaniepokojony ruszył za rudowłosą. Wyglądało na to, że wybierze dłuższą trasę, ale w pewnym momencie zauważył, że skierowała konia w dół wzgórza. Cały zamarł. Co teraz chciała zrobić?!

Niestety, nie mógł mieć wątpliwości. Jabłkowita klacz zdążyła w stronę parowu. Baron jak mógł poganiał swojego ogiera i powoli zaczął ją doganiać. Kiedy w końcu wydawało mu się, że powinna go usłyszeć, krzyknął z całej siły:

- Jessico!

Odwróciła się, ale nie zwolniła. Tuż przed nią pojawił się murek, który pasterze wybudowali, żeby chronić owce. Trzeba było wiedzieć, że za nim jest przepaść i zmusić konia do większego wysiłku.

Jason wstrzymał oddech. Klacz wybiła się, a następnie skoczyła nad przepaścią. Na szczęście, wylądowała lekko po drugiej stronie. Wściekły pogonił zmęczonego Cezara i jednym susem przesadził parów.

Rudowłosa dama czekała na niego po drugiej stronie.

- Zwariowałaś! - wrzasnął. - To najniebezpieczniejsze miejsce w okolicy. Wielu jeźdźców straciło tu życie!

Spojrzała na niego chłodno.

- Przecież przeskoczyłam! Nie sądzisz chyba, że narażałabym niepotrzebnie twoją klacz?

- Pal licho konia! Sama mogłaś stracić życie! Przecież nie znasz tych terenów!

Jessica cały czas siedziała prosto, trzymając na wodzy roztańczoną klacz. Widać było, że Kleopatra ma ochotę na dalszą jazdę.

- Zapominasz, że przez ostatnie dni mogłam je penetrować do woli - wycedziła przez zaciśnięte zęby.  
- Doskonale znam to miejsce i wiem, jak jest niebez-

pieczne. Czy sądziłeś, że wybiorę dłuższą drogę, żeby przegrać?

Jason tylko machnął ręką.

- Wszystko mi jedno, czy byś wygrała, czy przegrała. Jako gospodarz jestem przede wszystkim odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo! Nie pozwolę, żebyś popełniła na moich oczach samobójstwo!

Frustracja, która narastała w niej od paru tygodni, wybuchła nagle z wielką siłą.

- Jakim prawem traktujesz mnie w ten sposób?! Doskonale wiedziałam, co robię i, jak widzisz, nic mi się nie stało! Jakim prawem?! - powtórzyła i potrząsnęła głową. Wstążka, którą związała sobie włosy, nagle puściła i miedziane loki zawirowały w powietrzu.

Jason podjechał blisko i chwycił ją za rękę. Odsunęła się w obawie, że ją uderzy, ale on tylko przyciągnął ją do siebie.

- Takim! - rzucił, a następnie pocałował ją *prosto* w usta.

Początkowo myślała nawet o tym, żeby się bronić, ale szybko zapomniała o całym świecie. W głowie jej zawirowało i czuła tylko mocne ramiona ukochanego mężczyzny. A kiedy *się od* siebie oderwali, ich oczy były zamglone i nieobecne.

- Och, Jessie, Jessie! Tak się bałem - szepnął. - Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś ci się stało. Tych czternaście lat bez ciebie, to było piekło. Już wolałbym skoczyć za tobą w przepaść!

Cezar poruszył się niespokojnie i Jason stwierdził, że powinni chyba zsiąść z koni. Tuż za nimi znajdował się fatalny parów, ale przed nimi jeszcze wiele innych niebezpieczeństw. Czuł się osaczony. Nie wiedział, czy zdoła je wszystkie pokonać.



Kiedy ponownie spojrzął na Jessikę, zauważył, że płacze. Olbrzymie łzy spływały jej po policzkach i kapały na białą koszulę. Znowu wyglądała na bezbroną siedemnastolatkę, a on poczuł się odpowiedzialny za jej przyszłość.

Zeskoczył z konia i pomógł jej zsiść. Następnie przytulił ją do siebie, czując kolejne spazmy, które targały jej ciałem.

- Dlaczego mnie wtedy zostawiłaś? Nigdy nie mogłem zrozumieć, o co ci wtedy poszło.

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Kolejne łzy popłynęły po jej twarzy.

- Sama nie wiem, Jason, ale młodość już taka jest - rzekła z westchnieniem. - Przestraszyłam się własnego uczucia, a potem... było już za późno, żeby to naprawić. Zawsze żałowałam, że tak się rozstaliśmy.

Uwolniła się z jego objęć i usiadła pod rozłożystym bukiem, wskazując miejsce obok. Baron usiadł i znowu przyciągnął ją do siebie, a ona się nie opierała. Nie miała na to w tej chwili najmniejszej ochoty.

- Czego się przestraszyłaś? - ciągnął łagodnie. - Najpierw myślałem, że zależało ci na pieniądzach i tytułach. Ale potem, kiedy dowiedziałem się o twoim ślubie, niczego już nie mogłem zrozumieć. O co ci, tak naprawdę, chodziło?

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- Znałeś mojego ojca, prawda? - Skinął głową. - Jak sądzisz, jaki był?

- Świetny kompan do kart i kieliszka, ale mało praktyczny. Poza tym, interesował się tylko sobą. Innymi słowy, wcielony egoizm.

- Właśnie - mruknęła, wyraźnie zadowolona z odpowiedzi. - A poza tym domowy despota, któremu

trudno się byio przeciwstawić. Przehula! całą fortunę Westerlych i ciągle chciał więcej pieniędzy. Moja matka zmarła, kiedy miałam pięć lat. Praktycznie wychowywała mnie starsza siostra, Emily.

- Matka Caroline - domyślił się.

- Oczywiście. Zresztą bardzo ją przypominała. Też była łagodna i miła, ale zupełnie nie potrafiła wpływać na ojca. I pierwsza też padła jego ofiarą...

- To znaczy, że wyszła bogato za mąż - wtrącił.

- Przynajmniej tak się wówczas zdawało. Sir Alfred był bardzo podobny do ojca. Poznali się zresztą przy okazji jakichś hulanek i bardzo przypadli sobie do gustu. Wyobraź sobie, co się działo z biedną Emily. Błagała ojca, żeby nie wydawał ją za mąż, ale on był niewzruszony...

- I bałaś się, jak ojciec zareaguje, kiedy okaże się, że chcesz wyjść za kogoś bez tytułu i majątku - domyślił się.

Jessica pokręciła przecząco głową, a w jej oczach znowu pojawiły się łzy.

- Nie, bałam się samego małżeństwa - stwierdziła. - To, co jako dziecko widziałam na ślubie siostry, nie było budujące. A potem z dnia na dzień działo się coraz gorzej. Sir Alfred jest nie tylko samolubem, ale i okrutnikiem. Poza tym, Emily usychała z braku miłości.

- Tej by ci nie brakowało, gdybyś została moją żoną.

- Wiem - rzekła. - Zrozumiałam to od razu po naszym rozstaniu, ale nie wiedziałam, jak cię przeprosić i wszystko odwołać.

Baron przytulił ją mocniej. Miał wrażenie, że słyszy w tej chwili niespokojne bicie jej serca.

- Co było dalej? - spytał.

- Ojciec chciał mnie wydać bogato za mąż, ale się

uparłam, że nie i mimo, że byłam niepełnoletnia dał mi spokój - podjęła przerwana opowieść. - Być może miał jeszcze resztki sumienia i widział, co się dzieje z Emiłą. Po jej śmierci zamieszkałam u jednej z ciotek i ojciec praktycznie przestał się mną zajmować. Ja natomiast starałam się odwiedzać jak najczęściej Carolinę. Lady Hanscombe jest gruboskórna i niemiła w obejściu, ale w gruncie rzeczy to dobra kobieta. Starała się jak najlepiej spełniać swoje obowiązki wobec pasierbicy. Po jakimś czasie ojciec znów zaczął się mną interesować. Miał coraz więcej problemów z wierzycielami. Mówił, że wyrosłam na prawdziwą piękność i że można mnie teraz wydać za markiza lub księcia.

Jason pokiwał głową. Znal już chyba zakończenie tej historii.

- Więc skorzystałaś z pierwszej okazji, żeby się od niego uwolnić - zakonkludował smutno.

Jessica milczała przez chwilę. Przestała płakać. Myślni powróciła do wieczoru, kiedy po raz pierwszy spotkała kapitana Sterlinga. Szlify majora dostał dopiero po pierwszych bitwach w Hiszpanii, gdzie wykazał się niezwykłą odwagą.

- I tak, i nie - stwierdziła po paru minutach. - Kapitan Sterling był pierwszym mężczyzną, który powiedział, że mnie kocha... I zgodził się ze mną ożenić nawet wtedy, kiedy wyznałam mu, że kocham kogoś innego. Od niego nauczyłam się, że prawdziwe uczucie polega na tym, żeby dawać, a nie brać. Miłość, tego mi było trzeba - dodała w zamyśleniu.

Jason nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- A ja... ja poprosiłem, żebyś została moją żoną - przypomniał sobie. - Tak mi było wtedy trudno. Zupełnie nie wiedziałem, jak mówić o uczuciach.

Rudowłosa dama skinęła głową.

- Zrozumiałam to dużo później. Ale wtedy brakowało mi przede wszystkim miłości. - Uśmiechnęła się do niego. - Byłabym twoja, nawet gdybyś nie chciał się ze mną ożenić. Wystarczyło jedno słowo: „kocham”.

Powoli powracały do niego szczegóły tej niefortunnej rozmowy.

- A zamiast tego powiedziałem, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną jaką znam i że będę dumny, jeśli zechcesz mnie poślubić. Rzeczywiście, nie można się było oświadczyć mniej zręcznie.

Jessica spojrzała na niego ostrzegawczo.

- Małżeństwo bez miłości, to przegrana sprawa - zauważyła. - Pamiętaj o tym, Jason.

Udał, że nie rozumie o co jej chodzi. W ogóle nie miał zamiaru zaprzętać sobie głowy Caroline. W tej chwili interesowały go tylko losy dawnej ukochanej.

- Zawsze cię kochałem, Jessico. I nigdy nie przestałem - wyjaśnił niepewnie. - Myślałem o tobie przez te wszystkie lata, żałując, że nie zostałeś moją żoną.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Jessica zamknęła mu usta pocałunkiem. Pragnęła wynagrodzić mu to wszystko, co wycierpiał z jej powodu. Oboje popełniali błędy, ale wina leżała po jej stronie.

- A ty? Co robiłeś potem? - zagadnęła, kiedy w końcu oderwali się od siebie.

- Nic szczególnego - odparł. - Ponieważ byłem młodszym synem, moja rodzina specjalnie się mną nie interesowała. Pamiętam, ojciec kiedyś powiedział, że jestem „zapasowym dziedzicem”. A ponieważ miałem niewiele, wydawało mi się, że masz prawo znaleźć lepszego męża...

Jessica przytuliła go do siebie. Gdyby wiedziała

wtedy to, co teraz, ich losy potoczyłyby się zupełnie innym torem. Potrafiła być szczęśliwa, nawet bez majątku i zaszczytów. No cóż, zaprzepaściła swoją szansę. Teraz może tego tylko żałować.

Chciała wstać, ale Jason pociągnął ją za rękę.

- Co robisz? Czy myślisz, że pozwolę ci uciec, tak jak wtedy?

Rudowłosa dama spojrzała na niego smutno i potrząsnęła głową.

- To prawda, że dawne uczucie we mnie nie wygasło - przyznała. - Być może zgodziłabym się zostać twoją kochanką, ale nie kosztem Caroline.

- Do diabła z Caroline! To z tobą chcę się ożenić - rzekł stanowczo. - I tylko spróbuj powiedzieć, że mnie nie kochasz.

Mimo, iż powiedział to pewnym siebie głosem, teraz zająknął spłoszony w jej oczy. Czy nie da mu po raz wtóry kosza? 'W jego spojrzeniu były niepewność i błaganie.

Jessica wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego policzka. Nawet nie przypuszczała, że tak bardzo za nim tęskniła przez te wszystkie lata.

- Przecież jesteście zaręczeni - przypomniała.

Baron skinął głową.

- Tak, wiem. Pamiętam również, że tylko kobiety mogą zrywać zaręczyny, ale, prawdę mówiąc, jest mi wszystko jedno. - Chwyił ją za rękę i ścisnął ją mocno.

- A tobie nie? Czy dbasz o to, co powiedzą plotkarze?

Jessica westchnęła ciężko.

- Nie, mi też jest wszystko jedno. Ale pamiętaj, że mam córkę.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Dlatego małżeństwo powinno być najlepsze -

stwierdził. - Oczywiście Caroline mogłoby być przykro, acz nie sądzę, żeby się tym zbyt przejęła. Odniosłem wrażenie, że nie jest mną szczególnie zainteresowana.

Rudowłosa dama skinęła głową.

- Być może masz rację. Jej ojcu bardzo zależało na pieniądzach...

- A ja zapłaciłem za nią niezłą sumkę - dokończył za Jessicę. - To znaczy, że Caroline zgodziła się wyjść za mąż dla pieniędzy.

Ta uwaga wydała jej się tak absurdalna, że nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Baron zupełnie nie orientował się w charakterze swojej narzeczonej. To dziwne, że aż do tego stopnia.

- Nikt nie jest mniej interesowny niż Caroline. Zgodziła się wyjść za ciebie tylko dlatego, że ojciec zagroził, iż zerwie zaręczyny jej ukochanej przyrodniej siostry, Giny.

Jason przypomniał sobie pełną, roześmianą dziewczynę, którą mu kiedyś przedstawiono.

- Do licha! Więc była na dodatek ofiarą! Niechże bierze pieniądze i da spokój dziewczynie!

Jessica nabrała powietrza w płuca. Nie sądziła, że *do* tego dojdzie, ale musiała teraz wytoczyć najcięższe działa. Nie było to łatwe, ponieważ musiała działać przeciwko własnym interesom.

- To nie wszystko - westchnęła. - Czy obserwowałeś ostatnio Caroline?

- Nno, wydaje mi się, że nie jest już tak wymoczowana - zauważył po chwili namysłu. - Wiejskie powietrze wyraźnie jej służy.

- A czy nie zdziwiło cię jej zachowanie wczoraj wieczorem?

Baron poruszył się niespokojnie, jakby to wspomnienie było nad wyraz nieprzyjemne. Miał takie wrażenie, jakby Caroline była wczoraj duchowo nieobecna w czasie kolacji. Parę razy próbował ją zagadywać, ale wyglądała na całkowicie pochłoniętą własnymi myślami.

- Była tak zamyślona, że w ogóle nie mogłem z nią porozmawiać.

- Właśnie! - podchwyciła triumfalnie Jessica. - Mi też wydało się to dziwne. Caroline jest osobą skrytą i rzadko otwiera się przed obcymi. Dlatego zajrzałam do niej później, żeby porozmawiać. Akurat śpiewała piosenkę miłosną. Była tak tym zajęta, że w ogóle mnie nie zauważyła. Ale jedno stało się dla mnie jasne. - Spojrzała z żalem na Jasona. - Caroline jest zakochana. To jasne, że cię w końcu pokochała. Jakaż kobieta zdołałaby ci się oprzeć...

Patrząc na nią, poruszył parę razy ustami, niczym wyjęta z wody ryba. Nic jednak nie zdołał powiedzieć. Ta wiadomość całkiem go zaskoczyła. Wcale nie potrzebował tej miłości.

Jessica pocałowała go raz jeszcze w usta.

- Nic nie mów. Caroline jest ode mnie lepsza i dużo, dużo młodsza. Ona jest twoją przyszłością, a ja - tylko wspomnieniem.

Ponownie chciała wstać, ale baron chwycił ją kurczowo za rękę.

- Czy sądzisz, że zależy mi na tym, żebyś była młodsza czy łagodniejsza?! - niemal krzyknął. - Tylko z tobą byłem szczęśliwy i tylko ciebie chcę za żonę! Czy poświęcisz nasze szczęście za spokój sumienia?

Łzy znowu popłynęły po jej brzoskwiniowych policzkach. Nawet nie próbowała ich teraz wycierać.

Gdyby w grę wchodził ktoś inny, a nie Caroline, natychmiast zgodziłaby się na małżeństwo. A tak, nie wiedziała co począć. Baron znowu chciał ją przytulić, ale zebrała wszystkie siły i odepchnęła go stanowczo.

- Nie, Jason!

Kiedy popatrzył błagalnie w jej oczy, natychmiast wstała, czując, że nie zniesie dłużej tego spojrzenia. W paru susach dopadła do klaczy i wskoczyła na jej grzbiet.

- Będę cię zawsze kochać - rzuciła jeszcze w stronę osłupiałego barona, a potem pognąła przed siebie na złamanie karku.

Jason patrzył za nią jeszcze przez jakiś czas, a następnie dosiadł swojego wierzchowca. Miał nieznośną pustkę w głowie. Czy to możliwe, żeby tym razem opuściła go na dobre? Nie, nie może się poddać. Ze wszystkich sił musi o nią walczyć!

Caroline pochyliła się nad nutami i odgarnęła niesforny lok z czoła. Zwykle pracowała przy fortepianie, sprawdzając muzyczne pasaże zanim przeniosła je na papier. Tym razem jednak było inaczej. Trzy dni temu pracowała tylko na papierze, zapisując w twórczym zapale to wszystko, co kipiało w jej głowie. Potem była już zbyt zmęczona, żeby spróbować to zagrać, zresztą miała do dyspozycji jedynie rozstrojoną lutnię. Rano raz jeszcze przejrzała to, co napisała, ale nie bardzo zrozumiała główną ideę. Sonata wydała jej się karkołomna i trudna interpretacyjnie. Jaka szkoda, że nie może jej zagrać!

Teraz, kiedy czytała ją po raz kolejny, stało się dla niej jasne, że ten utwór to miłosne wyznanie. Zawarła w nim całe uczucie do Richarda. Wszystkie swoje



niepokoje, ale też chwile radości i uniesień. Jak również rozpacz po rozstaniu. Stąd brał się jej eklektyczny charakter i tak wielka zmienność nastrojów.

Po raz pierwszy też miała okazję spojrzeć z perspektywy na swoje uczucia. Stwierdziła, że są zadziwiająco czyste w porównaniu z otaczającym ją światem, ale niestety też naiwne i kruche. Nie chciała jednak się zmieniać. Wołała wierzyć w czystość miłości, niż starać się coś dzięki niej osiągnąć.

Stało się dla niej jasne, że wreszcie pokochała mężczyznę i że *jeśli* wyjdzie za mąż za barona, *nigdy nie* doświadczy tego samego.

Miłość wydała jej się czymś niezwykłym. Zawsze sądziła, że jest to nadzwyczaj przyjemne doznanie i że wszystkie zakochane kobiety przypominają beztroską i roześmianą Ginę. Nic bardziej błędnego! Okazało się, że jest to uczucie straszliwe, które dawało więcej goryczy niż szczęścia. Tym bardziej dziwiło ją to, że nie chce się od niego uwolnić. Całymi dniami myślała o Richardzie, a kiedy zamykała oczy, natychmiast stawał przed nią jego obraz.

W przyptywie rozpaczmy pomyślała, że najlepiej by było, gdyby kapitan Dalton poślubił jej ciotkę. Czyż nie powiedział kiedyś, iż wszyscy oficerowie zazdrościli majorowi żony? Jeśli wszyscy, to również on. Co prawda byłoby jej trochę głupio zwracać się do niego per „wuju”, ale przynajmniej nie miałyby czego żałować!

Po jakimś czasie dotarło do niej, że ostatnio w ogóle nie zaprzęta sobie głowy baronem. Nie czuła do niego niechęci, tak jak kiedyś. Nie bała się go już tak bardzo. Prawdę mówiąc, myślała o nim nawet z sympatią, tyle, że jej myśli bardzo rzadko nawracały w jego kierunku. Za to częściej i z "większą aprobatą roz-

ważała kwestię dzieci. Powoli zaczynała dojrzywać do macierzyństwa, które jeszcze jakiś czas temu było dla niej czymś obcym i niezrozumiałym. Wiedziała, że próbowałaby przekazać tym małym istotkom wszystko, *co* wiedziała o życiu. Jason pewnie wolałby, żeby wychowywać je bardziej praktycznie, ale czuła, że każdy powinien mieć jakiś wybór.

Te rozmyślania przerwało jej *ciche* pukanie. Złożyła teczkę z nutami i obróciła się w stronę drzwi.

- Proszę.

Do pokoju wsunęła się zarumieniona Betsy.

- Wiem, że panienka chcieli, żeby jej nie przeszkadzać - zaczęła ostrożnie. - Ale właśnie, jakiś pan, do panienki. I powiedzieli, że to ważne.

Z jej słów wywnioskowała, że nie jest to nikt z Wildehaven.

- Znasz go, Betsy?

- Nie, proszę panienki. Ale to jest ten pułkownik, co zarekwirowali Wargrave Park i co stracili nogę na wojnie. - Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. - Tylko, że on mają nogę, jak każdy inny.

Caroline domyśliła się, że chodzi jej o kapitana Daltona. Nie przypuszczała jednak, że miejscowe plotkarki zrobiły z niego beznogiego pułkownika. A czy możliwe, żeby zauważyły, iż spotyka się on z narzeczoną lorda Radforda?

- Dobrze, poproś go - powiedziała Caroline, czując jak krew jej odpływa z twarzy. - Albo nie! - niemal krzyknęła, czując, że popełniłaby gafę. - Niech zaczeka w małym salonie. Zaraz do niego zejdę.

Betsy dygnęła i pospieszyła na dół z informacją. Pobladła Caroline nie mogła uwierzyć, że spotka się za chwilę z Richardem. Zerknęła do lustra i poprawi-

ła swoją fryzurę. Następnie wstała i wygładziła fałdy jasnobrazowej sukni. Wyglądała w niej może zbyt skromnie, ale nie miała czasu, żeby się przebrać. Z uśmiechem pomyślała, że jeszcze miesiąc temu w ogóle nie troszczyła się o wygląd i starała się ubierać tak, by odstraszyć ewentualnych zalotników.

Kiedy weszła do saloniku, zauważyła, że Richard jest bardzo markotny. Rozjaśnił się jednak zaraz na jej widok.

- Jak miło, że tutaj zająłeś. To twoja pierwsza wizyta w Wildehaven, prawda? - zagaiła, specjalnie kładąc nacisk na słowa „zająłeś” i „twoja”. Bała się, że w nowej sytuacji kapitan zechce używać bardziej oficjalnej formy.

Skłonił się jej lekko i uściśnął podaną dłoń.

- Tak - odparł. - Muszę przyznać, że pałac jest bardzo piękny, a ziemie w znacznie lepszym stanie niż w Wargrave. Ale nie przyjechałem tutaj, żeby rozmawiać o Wildehaven.

Caroline czekała chwilę na dalszy ciąg, ale kapitan najwyraźniej nie wiedział, jak przekazać jej to z czym przyszedł.

- Może usiądziemy - zaproponowała, wskazując mu wygodny fotel. Sama natomiast usiadła na jednym z wyściełanych krzeseł. - Więc słucham?

Richard w końcu zebrał się na odwagę.

- Przepraszam, Caroline. Wiem, że nadużyłem twojego zaufania, ale wszystko można jeszcze odwołać. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zła? Na mężczyznę, o którym śniła po nocach? I co takiego mógłby zrobić? Czyżby rzeczywiście postanowił zaręczyć się z Jessiką?

- Nie, nie sądzę, żebym była na ciebie zła - powiedziała, walcząc z niechcianymi łzami, które napłynęły jej do oczu. - Powiedz mi o co chodzi?

Spuścił oczy i wręczył jej jakiś dokument. Intercyza! pomyślała spłoszona dziewczyna.

- Przeczytaj - poprosił onieśmielony.

Gdy tylko wzięła papier do drżących rąk, zerknęła na podpis nadawcy. Jakiś Silas Winford. Od razu zorientowała się, że nie jest to dokument prawniczy. Zaczęła więc wolno czytać:

Szanowny Panie!

Dziękujemy za przesłane kompozycje. Z dużą radością przyjęliśmy fakt, iż wybrał Pan nasze wydawnictwo, zwłaszcza, że są to dzieła należące do najlepszych w Europie. Dawno już nie widzieliśmy niczego tak nowatorskiego i świeżego. Cieszy nas również to, że, jak Pan wspominał, kompozytor, którego pan reprezentuje, jest Anglikiem. *Od* czasów sir Henry'ego Purcella brakowało nam prawdziwych talentów. Z największą przyjemnością zajmiemy się wydaniem tych kompozycji oraz innych, które wyszły spod tej samej ręki. Dostosujemy się też, acz z niechęcią, do życzenia, by kompozytor pozostał nieznanym. Proszę po prostu podać pseudonim lub inicjały, z których mamy skorzystać.

Tuszę, że nie zawiedzie się Pan na tej współpracy. Jeśli to możliwe, zapraszamy Pana do Londynu, w celu omówienia warunków finansowych całego przedsięwzięcia. Jeśli nie, prosimy o kontakt listowny.

Pański uniżony sługa,

Silas Winford

Caroline nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- C... co to znaczy? - wyjąkała.

- Przepisałem niektóre z twoich kompozycji i wysłałem do najlepszego wydawcy w Londynie. Zaznaczyłem też, że zależy ci na anonimowości i w ogóle nie zdradziłem, że jesteś kobietą - ciągnął wyjaśnienia. - Jeśli chcesz, to wszystko odwołam. Chociaż wiadać, że zależy im na tych utworach.

Dziewczyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zerknęła jeszcze raz na list, a potem na wpatrzonego w nią Richarda.

- No cóż - bąknęła.

Chciała powiedzieć, że wcale nie uważa siebie Za kogoś wybitnego i że pochwały wydawcy są przesadzone. Przeszkadzał jej jednak natarczywy wzrok mężczyzny, którego przecież kochała.

- Wiem, że nie zależy ci na pieniądzach, ale powinnaś podzielić się z innymi swoją muzyką - przekonywał. - Nie ma sensu chować talentu pod kocem. Twoje sonaty są po to, żeby cieszyć wszystkich.

Caroline pomyślała o ostatnim napisanym przez siebie utworze i trochę się zawstydziała.

- Nie wydaje mi się, żeby moja muzyka mogła kogokolwiek cieszyć - rzekła spłoszona. - Znajomi twierdzą, że im się podoba, ale co mają mówić?

Wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju. W głowie zamiast myśli miała luźne obrazy: uśmiech pana Ferrante, wykrzywioną gniewem twarz ojca, nieco znudzoną minę ciotki, która czuła się pewnie zobligowana do chwaleń *jej* utworów. Czy to możliwe, żeby mogła teraz rozszerzyć to grono? Jeśli zgodzi się na wydanie sonat, każdy, dosłownie każdy, będzie mógł je zagrać jak zechce

i kiedy zechce. Ta myśl była równie kusząca, co przerażająca.

- Boję się - powiedziała.

- Czego się boisz, Caroline? Main wrażenie, że wciąż osaczają cię jakieś zmary, a ty nawet nie próbujesz z nimi walczyć.

Pokiwała głową. Tak, miał całkowitą rację.

-Ale nie chcę, żeby moje nazwisko pojawiło się w druku. Nie chcę, żeby o mnie mówiono, krytykowano mnie... "Wolałabym się schować w mysiej dziurce. - Zaśmiała się w nagłym przypływie samokrytycyzmu. - Co pewnie znaczy, że będę kiepską baronową. Ale cóż, trudno.

Richard aż poderwał się ze swego miejsca.

- To znaczy, że zgadzasz się na publikację?!

- Mhm - mruknęła cicho. - Postanowiłam oswoić się z myślą, że jestem kompozytorką. Bo kimś przecież muszę być w tym życiu...

Chciał krzyknąć: „Możesz być moją żoną!”, ale zdusił to w sobie. I tak powinien się cieszyć z tego drobnego zwycięstwa.

- ... I czuję się z tym naprawdę wspaniale! - dokończyła ku swojemu zaskoczeniu, rozpościerając ramiona niczym ptak, który ma za chwilę wzlecieć.

Kapitan podszedł do okna i spojrzał na nią z uśmiechem. Postanowił kuć żelazo póki gorące.

- Jutro pojedę do Londynu, żeby sfinalizować całą sprawę - poinformował ją. - Myślę, że pan Chelmsford mógłby mi pomóc w rozmowach. Chodzi o to, żeby chronić twoje prawa do tych utworów. Skontaktuję się z tobą zaraz po powrocie.

Gdy tylko zrozumiała, że nie będzie go widzieć przez następnych parę dni, na jej twarz powrócił wy-

raz smutku. Nagle uderzyła ją pewna myśl. Jak fryga obróciła się na pięcie i podbiegła do drzwi.

- Zaczekaj! Zaraz wrócę! - rzuciła już z korytarza.

Pobiegła do swojego pokoju i chwyciła napisaną niedawno sonatę. Potem jak na skrzydłach zbiegła na dół. Cała odwaga opuściła ją jednak, kiedy ponownie stanęła przed Richardem.

- To jest coś... dla ciebie. Nie do druku - rzekła podając mu papier nutowy. A następnie zarumieniła się niczym mała dziewczynka i szybko opuściła pokój.

Znalazszy się z powrotem w zaciszu swego apartamentu, rzuciła się na poduszkę i wybuchnęła głośnym płaczem.

Kapitan wrócił pospiesznie do Wargrave park. Wyjątkowo poprosił służącego, żeby oczyścił spienionego wierzchowca i niemal równym krokiem przeszedł do pokoju muzycznego.

Otworzył fortepian i zerknął na nuty. Sonata. Muzyka sama popłynęła spod jego palców. Były w niej radość i tęsknota, ale też niepewność i cierpienie. Całość zaczynała się *allegro*, ale kończyła *adagio et grave*. W finale pobrzmiwała potężnie tragedia niespełnienia. Kiedy wstał od fortepianu, wiedział już, co powinien zrobić. Nie miał tylko pojęcia, jak to osiągnąć.

## 12

Tego popołudnia spokój Jasona zakłóciły dwa, jakże istotne, wydarzenia. Najpierw przyjechał fortepian, któremu towarzyszył bardzo nerwowy jegomość z kręconymi włosami i małą bródką. Mężczyzna co chwila wykrzykiwał *mamma mia!* i odmówił powierzenia instrumentu w inne ręce niż fachowe. Baron z rozbawieniem zaprosił go do środka i kazał zaważać Caroline. Włoch natomiast rozводził się nad możliwościami Broadwooda i gospodarz dopiero po chwili zrozumiał, że mówi o fortepianie.

Na szczęście, kiedy zjawiła się Caroline, nowo przybyły trochę się uspokoił. Zaczęli rozmawiać i zupełnie ich to pochłonęło. Zaś Jason odnosił wrażenie, że rozmowa odbywa się w obcym, nieznanym mu języku. Miał jedynie okazję stwierdzić, że Jessica może mieć rację co do dyspozycji siostrzenicy. Dziewczynę otaczała aura kobiecości i dumy. No i wcale się go nie bała. Jeszcze kilkanaście dni temu powitałby z zadowoleniem te zmiany, ale teraz miał poczucie porażki i niespełnienia.

Właśnie chciał się wycofać niezauważony z salonu, kiedy dobiegły go pierwsze dźwięki nowego instrumentu. Jason przystanął i zaczął słuchać. Znał tę kompozycję, ale pod palcami Caroline nabrała ona wręcz magicznego wdzięku i intensywności. Nigdy wcześniej nie reagował tak na muzykę.



Skończyła, a Włoch chwycił jej dłoń i pocałował ją gwałtownie.

- *Belissima, bellissima* - powtarzał, nie precyzując, czy chodzi mu o muzykę, czy wykonawczynię.

- Co to było, Caroline? - spytał oszołomiony baron.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- „Sonata księżycowa” Ludwiga van Beethovena - odrzekła. - Podobała ci się?

Skinął głową, nie chcąc się przyznać, jak bardzo ta kompozycja przypadła mu do gustu. Nareszcie pojął, czym jest dla niej muzyka. Paradoksalnie zdarzyło się to wówczas, kiedy miał ochotę zerwać zaręczyny. Będzie mu bardzo ciężko zranić tę miłą, uduchowioną dziewczynę.

Drugim wydarzeniem był przyjazd ciotki Honoru. Starsza dama zaczęła od diatryby na temat dróg w Anglii, a skończyła na paru kwaśnych uwagach dotyczących zmian w Wildehaven. Następnie udała się na odpoczynek do swojego apartamentu. Jason natychmiast domyślił się, że chce nabrać sił przed starciem z jego gośćmi. Jak się później okazało, miał całkowitą rację.

Uporczywa migrena stanowiła dostateczną wymówkę, żeby nie schodzić na obiad, ale Jessica w końcu zdecydowała się dołączyć do reszty towarzystwa. Postanowiła też, że opuści pałac, gdy tylko przyjadą tu Hanscombe'owie, co i tak znaczyło, że jeszcze parę razy będzie musiała spotkać się z baronem.

Stojąc przed lustrem, przeklinała swoje upodobanie do ładnych strojów. Najchętniej pożyczycyaby teraz którąś z tych okropnych dawnych sukien Caro-

line, żeby tylko nie zwracać na siebie uwagi. Wreszcie znalazła kreację w szarym, niebieskim kolorze, ale kiedy już ją włożyła, okazało się, że ma mocno wycięty dekolt.

Przez chwilę zastanawiała się, co robić, lecz w końcu machnęła ręką. Trudno... Przynajmniej zwiąże włosy i nie będzie ich czesać. Ale w tym momencie ktoś zastukał cichutko do drzwi i ukazała się w nich Betsy z fryzjerskimi przyborami. Dziewczyna przyszła, żeby jak zwykle uczesać ją przed posiłkiem, a ona nie miała serca jej odmówić.

W końcu zajrzała po Caroline i obie zeszły na dół, do małego saloniku. Jej siostrzenica, nie "wiedząc czemu, też była w nienajlepszym nastroju, a Jason przypominał gradową chmurę, która zaraz zacznie siec piorunami. Jedyne George Fitzwilliam zachowywał się normalnie. Próbował też rozruszać towarzystwo, ale z marnym skutkiem. Nie tracił jednak zwykłej pogody ducha. Ale tylko do momentu, kiedy na dole nie pojawiła się lady Edgeware. Wówczas nawet on skapitulował i pogrążył się w czymś w rodzaju pełnego rezygnacji smutku.

Ciotka Honoria miała na sobie lśniąca suknię i turban z czerwonego jedwabiu z trzema pawimi piórami. Doszła już do siebie po trudach podróży i teraz zmierzyła wszystkich swoim sokolim wzrokiem, wypatrując ofiary. Baron nie poinformował nikogo o jej przybyciu i teraz z przyjemnością obserwował popłoch, który wkradł się w szeregi gości. Nawet George, który miał w sumie najmniej powodów do obaw, rozglądał się dookoła tak, jakby szukał dogodnej kryjówki. Być może właśnie dlatego jako pierwszy przyciągnął uwagę starszej damy.

- Doprawdy nie rozumiem, co widzisz w tym fir-  
cyku, mój drogi - zwróciła się do bratanka. - Wszy-  
scy Fitzwilliamowie to niedojdy.

George'a zatkało, a baron nie tracąc kontenansu  
skłonił się starszej damie.

- Ale za to nie obrażają mi gości - rzucił ostrze-  
gawczo.

Lady Edgeware nie zamierzała się bynajmniej prze-  
jąć tą uwagą. Jej wzrok padł na Caroline. To przecież  
ona miała dać Jasonowi potomka i dziedzica.

- Aria, to ta pannica - mruknęła. - Wyglądasz mi  
na ciepłe kluchy, moja droga. Czy przynajmniej po-  
trafisz rodzić zdrowe dzieci?

Caroline skinęła głową, chociaż, prawdę mówiąc,  
wyglądała na zatopioną we "własnych myślach. Jason  
zapisał jej na plus to, że się nie przestraszyła.

- Postaram się, lady Edgeware - bąknęła.

Starsza dama wyprostowała się, a pawie pióra za-  
tańczyły w powietrzu.

- Nie wystarczy się starać, kochana! - huknęła. -  
Jeśli w ciągu roku nie urodzisz dziedzica, będziesz  
miała ze mną do czynienia!

W odpowiedzi Caroline ponownie skinęła głową.  
Baron był pod wrażeniem. Niejeden mężczyzna  
zwiąłby stąd gdzie pieprz rośnie. Chcąc bronić narze-  
czonej, postanowił wtrącić się do rozmowy:

- Oczywiście, ja też będę ponosił za to odpowie-  
dzialność.

Ciotka wyduła wargi.

- Nonsens! Kincaidowie zawsze byli do tego pierw-  
si, w przeciwieństwie do tych zniewieściałych Daven-  
portów. - Spojrzała przez okno w stronę Wargrave  
Park. - No i widać, do czego to ich doprowadziło.

- Odniosłem wrażenie, że Reggie Davenport zupełnie nieźle radzi sobie w tych sprawach - ciągnął Jason w nadziei, że odwróci uwagę ciotki od gości.

Jednak lady Edgeware już zmierzała w stronę patrzącej na nią z niechęcią Jessiki. Przystanęła przed nią i zmrúżywszy oczy usiłowała coś sobie przypomnieć.

- Rok 1803! - wykrzyknęła w końcu zadowolona. - Panna Westerly, która wyszła za mąż za jakiegoś nic nieznaczącego wojaka. Co pani tutaj robi?

Caroline jakby się obudziła i wzięła Jessikę pod rękę.

- Pozwoli pani, lady Edgeware, że przedstawię moją ciotkę, panią Sterling - zaczęła.

Jason z trudem powstrzymywał się, żeby nie skoczyć i nie odciągnąć ciotki od Jessiki.

- Na nic nie pozwolę! - przerwała jej niegrzecznie starsza dama. - Doskonale znam tę... postać. Czy w dalszym ciągu lubi pani dzikie eskapady?

- Podobnie jak pani impertynencje, lady Edgeware - odparła chłodno Jessica.

Wszyscy w pokoju zamarli. Tylko Jason pozwalał sobie czasami na podobne uwagi, ale nawet on nie czynił tego tak bezpośrednio. O dziwo, ciotka wydała z siebie coś w rodzaju zgrzytliwego śmiechu.

- He, he, to jedna z niewielu przyjemności, które pozostają w moim wieku. Podobnie jak ja zachowywała się pani skandalicznie w młodości, więc pewnie również skończy pani terroryzując dla zabawy otoczenie. Wspomni pani moje słowa.

Rudowłosa dama uśmiechnęła się lekko.

- Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć jakąś inną rozrywkę.

Lady Edgeware znalazła w Jessice godnego prze-

ciwnika. Nawet przy obiedzie zażądała, żeby ją przesadzono i praktycznie cały czas rozmawiała tylko z nią, wypytyując o szczegóły z jej życia i oczerniając niemiłosiernie różne znane osobistości. Jedyne wiadomość o śmierci majora zabiła ją na moment z pantaląku, ale potem wygłosiła długą tyradę przeciwko małemu kapralowi.

Dopiero po obiedzie przypomniała sobie o swoich obowiązkach i zaczęła przepytować Caroline. Zaczęła od zdrowia, a potem przeszła do rodziny, nie szczędząc Hanscombe'om gorzkich uwag. Jej zdaniem, tylko rodzina Westerłych zasługiwała na szacunek. Wiedziała zresztą o niej więcej, niż sama Caroline. Jediną nowość stanowiła dla niej informacja, że matka narzeczonej Jasona zmarła zaraz po jej narodzeniu.

- Naprawdę? - dopytywała się. - Przecież jesteś, moja droga, takim chucherkiem.

Caroline zgodziła się z tym i stwierdziła, że ona też może mieć trudności z porodem. Starsza dama łąpnęła na nią, nie wiedząc, czy interlokutorka nie posuwa się do kpiny, ale Caroline patrzyła na nią *szczerze* i niewinnie.

Lady Edgeware nie znosiła takich osób. Zawsze szukała przeciwników i teraz poniechała dalszego przepytowania, żeby znowu przyjrzeć się pani Sterling. Coś jej mówiło, że nie miałyby ona najmniejszych problemów z rodzeniem.

Zaraz też odwołała ją od reszty towarzystwa, żeby poinformować o swoich planach. Tak, jak przypuszczała, Jessica z przyjemnością zgodziła się pomóc jej w zorganizowaniu balu. Nie przeraził jej nawet krótki termin, bowiem przyjęcie miało się odbyć w naj-

bliższy piątek, ze względu na pełnię, która wówczas przypadała.

Wraz z nastaniem mroku wszyscy rozeszli się do swoich pokojów. Caroline poprosiła jednak ciotkę, żeby do niej na moment wstąpiła. Na twarzy dziewczyny igrał tajemniczy uśmiech i Jessica domyśliła się, że chce jej powiedzieć o swej miłości do barona.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Kiedy Jessica usiadła, Caroline wyjęła jakiś list i podała go nieśmiało ciotce.

- No i co o tym sądzisz? - spytała niepewnie.

Po przeczytaniu Jessica natychmiast wstała, żeby ją uściskać. Chociaż nie bardzo znała się na muzyce, rozumiała, jakie znaczenie ma to dla siostrzenicy.

- To cudownie! - wykrzyknęła. - Pewnie Richard wysłał te kompozycje bez *twojego* zezwolenia, *co?*

Na te słowa oczy Caroline zaszyły mgłą, a dłonie zaczęły drżeć. Nawet nie *przypuszczała*, że ta dziewczyna tak bardzo kocha muzykę.

- Tak! Sama nigdy bym tego nie zrobiła. - Pogryzła się na chwilę w milczeniu. - Nie sądziłam, że to taka radość, móc dzielić się swoją muzyką z innymi. Im częściej o tym myślę, tym mniej się boję.

- Cieszę się, że nie przestraszyłaś się dzisiaj lady Edgeware.

- Och, to dlatego, że myślałam o czymś zupełnie innym.

Pewnie o muzyce, domyśliła się Jessica. To dobrze, bo w ten sposób granie chronić ją będzie przed osobami znacznie gorszymi od ciotki Jasona. Przed takimi, które czule szepczą pochlebstwa, żeby po chwili knuć niecne intrygi.

Caroline oderwała się nagle od niej i podeszła do okna. Księżyc przypominał teraz gruby rogalik i świecił jasno na bezchmurnym niebie.

- Wiesz, Jess, wiele się ostatnio zmieniło w moim życiu - dodała Caroline. - Mam wrażenie, że stałam się kimś zupełnie innym.

- Lepszym czy gorszym? spytała Jessica z udawaną lekkością.

- Chyba lepszym - odparła po namyśle. - Na pewno bardziej wyrozumiałym i dużo, dużo starszym.

- Och, znowu mieć dwadzieścia lat, a jednocześnie wiedzieć to, co wiem teraz - westchnęła rudowłosa dama. - Czasami żałuję, że nie można cofnąć wskazówek zegarów.

- A ja chciałabym je przyspieszyć, żeby zobaczyć, co będzie dalej - wtrąciła dziewczyna.

I jak najszybciej wyjść za barona, dopowiedziała sobie w myśli jej ciotka. Natomiast głośno wyraziła swój sprzeciw wobec takiego pomysłu:

- Nie, tylko nie to! Wówczas zestarzałabym się zbyt szybko. Obawiam się, że ciotka Jasona ma rację i mogę skończyć tak, jak ona.

Caroline odwróciła się od okna i spojrzała z wyrzutem na Jessikę.

- Nie powinnaś nawet tak mówić! Lady Edgeware ma serce z kamienia, a ty jesteś dobra i nie chcesz nikomu zrobić krzywdy!

Rudowłosa dama pokiwała głową. Być może Caroline trochę dojrzała, ale powinna nauczyć się ostrożniej sądzić ludzi. Cóż, to na pewno przyjdzie z wiekiem. Nie ma sensu niczego przyspieszać.

- Powinnaś mówić o niej „ciotka Honoria” - zauważyła złośliwie. - Tak, jak Jason.

Dziewczyna *zadrżała*, a następnie odwróciła się znowu do księżycy.

- O nie! Tylko nie to!

Jessica stwierdziła, że musi jak najszybciej stąd wyjść. Bez pożegnania skierowała się do drzwi, ale zastęła z ręką na ozdobnej klamce.

- Pamiętaj, że wkrótce zostaniesz lady Radford. To jednak jest coś!

Caroline odwróciła się do niej, ale wychodząc, Jessica nie zauważyła *jej* poszarzałej nagłej twarzy. Już na korytarzu usłyszała, że siostrzenica rzuciła, bardziej chyba do siebie niż do niej:

- Postaram się o tym nie zapomnieć.

Richard powrócił z Londynu w niedzielę wieczorem. Ponieważ bolała go noga i nie czuł się najlepiej, wypił tylko trochę brandy i poszedł spać. Następnego ranka obudził się rześki i wypoczęty. Przez moment miał "wrażenie, że wreszcie znalazł się w domu. *Dopiero po chwili dotarło do niego, że bynajmniej nie jest u siebie.* W Londynie zdecydował, że na mocy ugody z Reginaldem Davenportem zatrzyma tylko część majątku, potrzebną do tego, by utrzymać rodzinę. Nie wątpił, że kuzyn przyjmie jego warunki, zwłaszcza, że wraz z Wargrave Park miał mu przypaść również tytuł. Natomiast Richard potrzebował jakiegoś źródła dochodu, żeby móc złożyć Caroline poważną propozycję.

Myśl o ukochanej sprawiła, że serce zabiło mu żywiej. Był przekonany, że dobrze zadbał o jej interesy i pragnął jak najszybciej się z nią spotkać. Lecz najpierw postanowił zająć się sprawami w majątku. Zjadł śniadanie i z uczuciem, że z nogą jest



znacznie lepiej, pomaszerował dziarsko do stajni.

Kiedy znalazł się we wsi, poszedł do domu pastora. Służąca poinformowała go jednak, że nikogo nie ma w domu, więc skierował się do kościoła. Pastor musiał być gdzieś tutaj.

Kapitan przez moment stał w głównym przejściu, czekając aż jego oczy przyzwyczają się do półmroku. Gdy to się stało, ruszył przed siebie, rozglądając się pilnie *dookoła*. Po chwili usłyszał lekkie szlochanie dobiegające z bocznej kaplicy. Zawahał się, świadomy tego, że to nie może być pastor. Zajrzał tam jednak i zauważył klęczącą panią Chandler. Jej twarz pełna była smutku, a łzy spływały jedna za drugą po policzku. Richard podał jej chusteczkę, a ona przyjęła ją bez zdziwienia.

- Moja córka skończyłaby dzisiaj pięćdziesiąt lat - powiedziała.

- Skończyłaby? - powtórzył.

Helen Chandler otarła łzy i spojrzała na niego swoimi wyblakłymi oczami.

- Podobno zmarła trzy lata temu - wyjaśniła. ~ Ale ja nie widziałam jej od ponad trzydziestu, od kiedy skończyła dziewiętnaście.

Richard postanowił wysłuchać starej kobiety. Nie po raz pierwszy zdarzało mu się, że ktoś, kogo prawie nie znał chciał mu się zwierzyć. Być może było w nim coś, co budziło zaufanie.

- Czyżby wyjechała gdzieś za granicę? - spytał, czując, że pastorowa zasiała ziarno niepokoju w jego sercu.

O co mogło chodzić? Dlaczego ta historia wydała mu się nagle tak ważna?

- Tak, w końcu tak - padła odpowiedź. - Na/gor-

sze jednak było to, że musiała uciekać z domu, a ja ponoszę za to częściową odpowiedzialność. Jeszcze do niedawna miałam nadzieję, że będę mogła ją prosić o wybaczenie, ale teraz...

Żona pastora znowu zalała się łzami. Były one tak obfite, że zupełnie przemoczyły jego chusteczkę. Lecz Richard wcale o to nie dbał. Starał się myśleć logicznie, ale w głowie kołatały mu się tylko strzępki zdań: trzy lata temu... Uciekać z domu... Prosić o przebaczenie. Chciał zażądać wyjaśnień, lecz głos odmówił mu posłuszeństwa. Na szczęście Helen Chandler sama zdecydowała się dokończyć swoją historię:

- Moja córka była piękną dziewczyną. Nic dziwnego, że miała wielu fatygantów. Dość szybko jeden z nich, lord Barford, poprosił o jej rękę. Ponieważ był bogaty, mój pierwszy mąż natychmiast się zgodził, a ja też nie miałam nic przeciwko temu. - Urwała i spojrzała na wiszący przed nią krzyż. - Ironia polegała na tym, że sama wyszłam za mąż z miłości i niewiele mi to dało...

- Więc pani córka kochała kogoś innego? - spytał ze ściśniętym gardłem.

- Tak, młodego zabijakę, niewiele starszego od niej. W dodatku był młodszym synem i nie miał grosza przy duszy - tłumaczyła, jakby chcąc się przed nim usprawiedliwić. - Próbowałam przekonać Mary, że będzie szczęśliwsza ze starszym i bogatym lordem, ale ona się uparła.

- I uciekła - dodał kapitan.

- Uciekła. Widocznie instynkt podpowiedział jej, że tak powinna zrobić. Sama byłam wtedy głupia i nie domyślałam się, jakim człowiekiem jest Barford. Jednak mój mąż, lord Randall, wiedział. Jego koledzy od

razu poinformowali go, że pierwsza żona Barforda powiesiła się, ponieważ nie mogła z nim wytrzymać. Mimo to był gotów sprzedać własne dziecko.

Richard słuchał tego ze ściśniętym sercem. Nareszcie mógł poznać całą prawdę o swoich rodzicach. Potrzebował tylko czasu, żeby to wszystko przyjąć i przemyśleć.

- I co... co się stało?

Żona pastora nie potrzebowała dalszej zachęty.

- Zależało mi na tym, żeby Mary wyszła za lorda Barforda. Wciąż mówiłam, że będzie mogła czuć się przy nim bezpiecznie. Widziałam jednak, że mnie nie słucha...

~ Miała pani jak najlepsze intencje - zauważył.

Starsza kobieta tylko potrząsnęła głową.

- To za mało - stwierdziła. - Człowiek odpowiada również za to zło, które wyrządził, mimo że chciał dobrze. Ja też chciałam dobrze, więc powiedziałam Randallowi, że Mary chyba postanowiła uciec z młodym Juliusem.

Pastorowa na chwilę zamilkła, a na jej twarzy pojawił się wyraz wściekłości. Już nie płakała, jakby nagle zabrakło jej łez. Niewielkie dłonie zacisnęła w pięstki.

- Następnej nocy mój mąż pił z Barfordem - podjęła swoją opowieść. - Oczywiście od razu się przed nim wygadał, a był na tyle pijany, żeby zgodzić się, by narzeczony skonsumował związek jeszcze przed ślubem. Przecież był zaręczony z Mary, jak mi tłumaczył. Dzięki temu dziewczyna raz na zawsze porzuciłaby myśl o ucieczce.

Poblady kapitan słuchał tego w napięciu. Czuł, jak zimny strumyczek potu spływa mu po plecach.

- I Barford zgwałcił! Mary. Zrobił to w moim domu, chociaż ja nic nie słyszałam, bo spałam w drugim skrzydle. Jednak służba nie mogła znieść jej strasznych krzyków i kiedy to się stało, lokaj, który zawsze się o nią troszczył, wypuścił moje biedne, zakrwawione dziecko na ulicę.

- I co? I co?

Stara kobieta przeciągnęła dłońmi po twarzy.

- Dalszą część tej historii opowiedział mi mój syn, Robert, którego obudził ten sam loka; i poinformował, co się stało. Oczywiście, nie przyszło mu nawet do głowy, żeby mnie też obudzić - dodała z goryczą. - Na szczęście Mary udało się dobiec do domu Juliusa, gdzie po półgodzinie znalazł ich Robert. Julius chciał się mścić, ale Mary prosiła tylko, żeby uciekali jak najszybciej. Lecz zanim to nastąpiło przed domem pojawił się mój mąż z Barfordem. Podobno Julius, który był wściekły, uspokoił się nagle na ich widok.

Richard znał spokój swego ojca. Wiedział, że nie oznaczało to nic dobrego dla kogoś, kto wszedł mu w drogę.

- To znaczy, że zabił Barforda - stwierdził.

Helen Chandler spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wyzwał go na pojedynek, a Barford, który był doskonałym szermierzem, przyjął wyzwanie. Akurat mieli dwóch sekundantów. Ojciec i syn stanęli po przeciwnych stronach barykady. Robert mówił mi, że Barford zaatakował z furją, a Julius sprawiał tylko "wrażenie, jakby się bronił. Jednak za każdym razem to właśnie on zadawał kolejne rany i wkrótce stało się jasne, że Julius po prostu bawi się z przeciwni-

kiem. W normalnych warunkach natychmiast przerwano by ten pojedynek, ale Robert nie chciał tego zrobić, a Randall po prostu się bał. W końcu zakrwawiony i bezsilny Barford padł przeszyty szpadą, a Julius zwrócił się do mojego męża. Powiedział, że nie zabije go *tylko przez* wzgląd na Mary i że nie chce go więcej widzieć. A jeśli go jeszcze raz zobaczy, to Randall podzieli los swego przyjaciela.

~ Czy... czy Mary widziała to, co się stało? - Richard zawsze myślał o matce jako o delikatnej i czulej istocie.

- Patrzyła przez okno - odparła żona pastora. - Podobno to ona poprosiła, żeby Julius nie męczył więcej Barforda.

Kapitan skinął głową. Wszystko stało się nagle jasne. Nawet to, że rodzice unikali angielskiej szlachty. Zapewne ojciec bał się, że spotka gdzieś zagranicą sir Randalla i będzie musiał spełnić swoją groźbę.

Nie musiał już o nic pytać. Znał całą prawdę, ale Helen Chandler postanowiła dokończyć swoją opowieść:

- Julius i Mary wyjechali następnego dnia z Anglii. Po miesiącu dostałam od nich krótki list, w którym informowali o swoim ślubie. Gdy tylko dowiedziałam się o wydarzeniach tamtej nocy, opuściłam męża i osiedliłam się w Wargrave, w nadziei, że jeśli wrócą, to właśnie tutaj. - Nagle uśmiech powrócił na jej twarz. - A ponieważ niemal codziennie bywałam w kościele, pastor Chandler zwrócił na mnie uwagę. Często mówił, że jestem jego najbardziej bogobojną parafianką. A kiedy okazało się, że mój mąż zmarł z powodu pijaństwa, bez wahania zgodziłam się za niego *wyjsć*. Pierwsza żona pastora zmarła jeszcze wcześniej. Była słaba i cierpiała na suchoty.

Richard przypomniał sobie jeszcze o nieznanym wuju.

- A Robert? Co się z nim stało?

- Cóż, przejął tytuł po ojcu i stara się odbudować prestiż rodziny jako lord Randall. Na szczęście, mąż nie zdążył przepić wszystkiego. - Na jej wargach pojawił się złośliwy uśmiech. - Trzeba przyznać, że zawsze był oszczędny i wolał pić na koszt innych.

Nagle starszuszka wyprostowała się i dumnym gestem zwróciła mu chustkę.

- Ale dlaczego ja to wszystko mówię? Przecież jest pan zupełnie obcym człowiekiem!

Kapitan zaprzeczy! ruchem głowy.

- Proszę mi się lepiej przyjrzeć - poprosił.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, nie bardzo wiedząc, o co mu chodzi. Dopiero po jakimś czasie wydała krótki okrzyk:

- Nie, to niemożliwe!

- A jednak to prawda - stwierdził. - Jestem synem Juliusa i Mary, czyli pani wnukiem.

Kobieta wzięła go w ramiona. Przez moment w ogóle nie mogła nic mówić, a następnie słowa wylały się z niej potokiem. Były jednak nieskładne, ponieważ starała się zawrzeć w nich wszystko, co czuła i myślała. Zrozumiał tylko, że *jest* bardziej podobny do ojca niż do matki, co zgadzało się ze świadectwem Chełmsforda.

W końcu, kiedy się trochę uspokoiła, usiedli razem i musiał jej opowiadać o życiu, jakie wiedli rodzice. O *Grecji*^ wyjazdach do Irlandii i Francji oraz atmosferze w domu. Ukrył tylko to, że dalsza rodzina była prawie nieobecna w ich życiu. Zresztą, w tej chwili sam już nie był tego taki pewien.

Być może rodzice tęsknili i starali się to przed nim ukryć.

Mógł jednak z całą pewnością stwierdzić, że ani matka, ani ojciec nie mieli do nikogo pretensji o to, co się stało.

- Jesteś pewien, chłopcze? - spytała go ponownie babka, patrząc mu głęboko w oczy.

- Całkowicie - zapewnił ją. - Żyli szczęśliwie i tak samo umarli. Myślę, że nie można sobie wymarzyć piękniejszej śmierci.

Staruszka zamknęła oczy i siedziała chwilę w milczeniu.

- A ty, mój chłopcze, co masz zamiar robić? Chcesz zostać kolejnym hrabią Wargrave?

Richard pokręcił z niechęcią głową.

- Nie, nie... Pragnę zatrzymać sobie tylko niewielką część posiadłości, położoną koło południowego wybrzeża - odparł. - Resztę dostanie mój kuzyn Reginald. Mam wrażenie, że bardzo mu na tym zależy...

- Ale... - próbowała protestować, lecz tylko potrząsnęła głową. - Powinnam nauczyć się nie wtrącać w nie swoje sprawy. Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy. I nie wyjedziesz, bo mam tylko troje •wnuków.

Nigdy wcześniej o tym nie myślał, a nagle okazało się, że ma sporą dalszą rodzinę. Z wielką przyjemnością poznałby swoich kuzynów. Ciekawe, czy odnajdzie w nich jakieś cechy swojej matki?

- Daję słowo, że tego nie zrobię - rzekł, kładąc rękę na sercu. - Proszę tylko, żeby na razie to wszystko zostało w tajemnicy. - Kapitan nagle przypomniał sobie o celu swojej wizyty. - Aha, mam jeszcze jedną prośbę. Czy pewna osoba mogłaby skorzystać z organów?

Babka spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale nie zadawała żadnych pytań.

- *Oczywiście*. To żaden problem. Mój mąż ma zapasowy klucz do chóru. Zaraz go przyniosę.

Richard podał jej ramię i razem wyszli z ciemnego wnętrza. Światło wydawało się dużo mocniejsze niż wcześniej, a przed oczami przebiegła im feeria kolorów. Po kościelnej ciszy nawet śpiew ptaków wydawał się głośny. Wszystko było jednak radosne i miłe.

- Czuję, że wracam do życia. - Babka ścisnęła jego ramię. - To dzięki tobie.

Poprosiła, żeby zaczekał przed domem, a sama szybko przyniosła mu klucz. Pożegnali się serdecznie, a następnie Richard wsiadł na konia i ruszył w drogę powrotną. Zatrzymał się dopiero w lasku. Przywiązał konia i usiadł, żeby raz jeszcze przemyśleć to wszystko, co usłyszał od swojej babki.

To, co się stało, napełniało go obrzydzeniem. Jednocześnie wiedział, że jego matka została prawie natychmiast pomszczona. Julius doskonale nadawał się do roli mściciela. Przez jakiś czas zarabiał nawet jako nauczyciel fechtunku. Richard wiedział, że jeśli ojciec był całkowicie skupiony i spokojny przed walką z kimś, kogo nienawidził, znaczyło to, że jest po prostu wściekły. Julius potrafił zamieniać złość na absolutne opanowanie. Wykonywał wtedy jedynie niezbędne ruchy i zamieniał się w prawdziwy automat do zabijania. Za to, kiedy skakał i siekł na oślep, to się po prostu bawił, panując nad całą sytuacją. Wielu ludzi dawało się jednak *na* to nabrać i Julius Dalton uchodził za „dzikiego” fechtmistrza.

Richard w ogóle nie lubił walczyć. Ponieważ jednak czuł się Anglikiem, postanowił wesprzeć swój



kraj w potrzebie. Ojciec nauczył go wszystkiego, czego potrzebował. Potrafił doskonale strzelać, jeździć konno i korzystać ze szpady czy szabli. W Hiszpanii opanował też sztukę rzucania nożem, co parokrotnie uratowało mu życie w czasie nocnych patroli. Umiał nawet strzelać z łuku i kuszy, chociaż rzadko korzystał z tych możliwości. Pojedynkował się tylko dwa razy, ale nigdy nie trwało to długo. Nie znęcał się nad swoimi ofiarami, tylko zabijał je w czasie pierwszej wymiany ciosów.

Po tych refleksjach przyszedł czas na coś przyjemniejszego. Nagle uświadomił sobie, że rodzina ze strony matki jest mu znacznie bliższa niż Reginald. Zwłaszcza Robert, który ujął się za siostrą oraz babka, która wyglądała na rozumną i dobrą kobietę. Ciekawe, jacy będą pozostali kuzyni?

Rozważania na temat rodziny przypomniały mu Caroline. To właśnie jej potrzebował przede wszystkim. Musi z nią porozmawiać zanim będzie za późno. Musi zrobić wszystko, żeby nie popełniła błędu.

Caroline odsunęła się od sekretarzyka i rozprostowała zmęczone palce. Przez ostatnie trzy dni, zgodnie z życzeniem lady Edgware, zajmowała się pisaniem zaproszeń na bal i przygotowywaniem rzeczy potrzebnych na tę okazję. Robiła to oczywiście bez przekonania i jej brak entuzjazmu nie podobał się chyba za bardzo starszej damie. Na szczęście ciotka Jasona znalazła wiernego adiutanta w Jessice, która nie tylko w lot spełniała wszystkie jej życzenia, lecz jeszcze podrzucała własne, często interesujące pomysły.

Caroline z rozbawieniem obserwowała obie panie,

które potrafiły przez dwadzieścia minut dyskutować o tym, czy dwadzieścia dań na przyjęciu przed balem *to nie* za mało i czy *należy* ubrać lokajów w stare, trochę podniszczone liberie, czy też zostawić w ich codziennych, eleganckich strojach. Gdyby ktoś ją o to spytał, Caroline nie potrafiłaby nawet opisać stroju służby.

Dzień wcześniej dostała liścik od Richarda, w którym zapraszał ją do kościoła w Wargrave, gdzie mogła skorzystać z organów. Kapitan zapewniał ją, że znalazł coś ciekawego w zasobach nutowych muzycznego pokoju. Nie wiedzieć czemu, nie miała ochoty informować o tym nawet Jessiki. Dlatego tylko powiedziała coś ogólnie na temat spaceru, a następnie ruszyła w stronę wioski. Richard miał tam na nią czekać zaledwie parę godzin.

Nikt oczywiście nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy byli zajęci wykonywaniem poleceń ciotki Jasona. Dlatego mogła w spokoju cieszyć się swobodą i przestrzenią.

Dopiero w połowie drogi zauważyła ciemne chmury, które zaczęły zbierać się na niebie. Nie miała jednak zamiaru "wracać". Przyspieszyła tylko, czując, że serce bije jej coraz mocniej. Wiedziała, że może to być ich ostatnie spotkanie. Przecież niedługo wyjdzie za męża, a wtedy nie będą już mogli utrzymywać takich jak dotąd kontaktów.

Zauważyła go, gdy tylko weszła do kościoła. Siedział w jednej z ławek, patrząc na krzyż. Odwrócił się od razu na dźwięk jej kroków. Wstał i przywitał się z nią ciepło, a następnie uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafił.

Caroline miała ochotę rzucić się mu na szyję, ale

szybko zrezygnowała. Wymienili tylko uściski dłoni, po czym Richard od razu poinformował ją o rezultatach swojej wyprawy:

- Cieszę się, że mogłaś przyjść... Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Mam dla ciebie propozycję kontraktu do podpisania. Jeśli się zgodzisz, resztą zajmie się Chelmsford. To naprawdę uczciwy prawnik...

Caroline spojrzała na papiery, które jej podał i zaczęła czytać:

- Ja, niżej podpisana... Do wiadomości mojej i mojego prawnika... Pod pseudonimem... - Urwała i spojrzała na drugi dokument. - Mój Boże, tyle pieniędzy?! Nigdy nie przypuszczałam, że coś zarobię, komponując!

- Umowę podpisze w twoim imieniu Chelmsford - wyjaśnił. - Przywiozłem ją, żebyś zobaczyła, jak wygląda.

Caroline pokiwała głową. Tak naprawdę, nie interesowały jej żadne dokumenty.

- Czy rzeczywiście będę mogła zagrać na organach, czy to był tylko wybieg? - spytała po chwili.

Kapitan spojrzał na nią z uśmiechem.

- Jasne, że możesz. A w dodatku mam coś ciekawego - rzekł, wręczając jej wielkie płachty papieru, które do tej pory trzymał zwinięte pod pachą.

Dziewczyna spojrzała na nagłówek.

- Jan Sebastian Bach - przeczytała. - Czy to jakiś krewny Jana Chrystiana?

- Jego ojciec - odparł. - Rodzina Bachów była w ogóle bardzo muzykalna, a Jan Chrystian jest chyba najlepiej znany w Anglii. Ale mam wrażenie, że te kompozycje są co najmniej równie dobre.

Caroline zmarszczyła brwi.

- Toccata i Fuga D-moll. No cóż, tytuł nie jest zbyt zachęcający. Zobaczmy dalej... - Już pierwsze nuty wydały jej się porażające. - Nie, to niemożliwe - powiedziała, starając się wyobrazić sobie te dźwięki, wybuchające niczym wulkan, a następnie opadające prawdziwą kaskadą. - Muszę to usłyszeć!

Chyba po raz pierwszy zapis nutowy wydał jej się niewystarczający. Nie zważając na Richarda podeszła do chóru i rozgorączkowana pociągnęła za klamkę.

- Zamknięte! - jęknęła.

Richard był już przy niej i otwierał drzwi. Kiedy znaleźli się w środku, Caroline zasiadła do instrumentu, chcąc zapoznać się z jego możliwościami, a jej towarzysz nadmuchał miechy mechanizmu powietrznego. Wreszcie Caroline mogła zacząć grę. Muzyka eksplodowała w starych murach i wprawiła wszystko w drzenie. Było to coś naprawdę wspaniałego. Caroline Jubiła organy i często grywała podczas nabożeństw w Wiltshire. Nigdy jednak nie doświadczyła niczego *podobnego*.

Po Bachu zagrała jeszcze fragmenty transkrypcji „Mesjasza” i hymn kościelny „Pocieszycielem *jest* mój Pan”, ale żadna z tych kompozycji nie wzbudziła już jej entuzjazmu.

W końcu zdecydowała się zejść na dół i poszukać Richarda, który miał zaczekać na nią na dole. Niemal cofnęła się w drzwiach, widząc publiczność, która zebrała się w kościele. Wszyscy wyglądali tak, jakby mieli zamiar klaskać i powstrzymywał ich tylko świątobliwy charakter miejsca.

Od razu domyśliła się, że starszy mężczyzna z kobietą o dziwnie ostrej, dumnej twarzy to pastor i je-

go żona. Lecz poza nimi pełno tu było służących oraz Judzi z wioski, których zapewne przyciągnęła głośna muzyka.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła głowę. Przez moment zastanawiała się nawet, czy po prostu nie czmychnąć z kościoła. Po chwili poczuła na ramieniu dłoń pastora.

- Dziękuję ci dziecko. To był wspaniały koncert - powiedział głosem słodkim i gęstym niczym miód. - Miałem wrażenie, że sam Bóg do nas przemówił. Mam nadzieję, że będziesz częściej tutaj przychodzić.

Wymamrotała jakieś podziękowanie i dygnęła niezdarnie przed publicznością. Odetchnęła z ulgą dopiero, kiedy zobaczyła obok znajomą parę butów.

- Chcesz uciec? - spytał ją szeptem Richard.

- I to jak najprędzej!

Tak naprawdę odprężyła się dopiero, kiedy kościół w końcu zniknął za wzgórzem.

- Przepraszam za moje zachowanie - bąknęła. - Po prostu nie lubię, kiedy tylu ludzi zwraca na mnie uwagę.

- Nawet, jeśli ci się to należy? - spytał ze śmiechem.

Caroline tylko potrząsnęła głową.

- To nieprawda, że mi się należy - zaczęła poważnie. - Jeśli mam jakiś muzyczny dar, to tylko dlatego, że się z nim urodziłam. Nie jest moją zasługą, podobnie jak kolor moich oczu czy kształt rąk...

- A jednak ludzie podziwiają urodę - podchwycił Richard. - Zresztą, w tym co mówisz jest tylko połowa prawdy. Musiałaś przecież włożyć masę pracy w to, żeby tak grać i komponować.

Dziewczyna znowu spuściła oczy.

- To *nie praca*, tylko *przyjemność*...

- A twoim zdaniem należy nagradzać tylko za zmuśny wysiłek? Znam wiele panien, które pocą się przy klawiaturze, ale nikt ich jakoś nie chce nagradzać brawami.

Nareszcie na *jej* twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- No dobrze, wobec tego powiem to inaczej... - Przystanęła, żeby zebrać myśli. - Nie lubię, kiedy się mnie wyróżnia...

- Bo jesteś najmniej egoistyczna ze wszystkich znanych mi ludzi - dokończy! za nią. - To naprawdę niezwykłe, Caroline!

Spuściła jeszcze bardziej głowę, nie chcąc, żeby zobaczył jej minę.

- Ale też uważam, że to nie moja zasługa - rzuciła szybko.

- I w ten sposób wracamy do punktu wyjścia.

Byli tak pogrążeni w rozmowie, że nie zauważyli nawałnicy ciemnych chmur sunących po niebie. Dopiero, kiedy lunęło, zorientowali się w sytuacji. Caroline aż zadrżała, kiedy błyskawica rozświetliła ciemne niebo. Niemal natychmiast zagrzmiało i oboje rozejrzeli się bezradnie dookoła.

- Niedaleko stąd *jest* mała gajówka! - przypomniał sobie Richard. - Biegnijmy tam!

Pchnął ją przed siebie, a ona puściła się pędem we wskazanym kierunku. Jednak, kiedy na niebie znowu pojawiła się błyskawica, odwróciła się do podążającego za nią kapitana.

- Szybciej! - krzyknęła.

W tym momencie potknęła się o korzeń drzewa i poleciała na ziemię. Richard natychmiast zjawił się

tuż obok. Nie czuł bólu i w ogóle zapomniał o chodzącej nodze. Wziął dziewczynę na ręce, chcąc sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Ich usta znalazły się nagle tuż obok. Oboje wyglądali na zaskoczonych, ale nic już nie mogli poradzić. Spragnione wargi zwarły się w namiętnym pocałunku.

Do tej pory nigdy się nie całowała, pomijając narzeczeński pocałunek Jasona i wczesne próby z chłopcem od sąsiadów. Nie wiedziała więc, że może to być aż tak intensywne i przyjemne. Instynktownie rozchyliła usta i przywarła całym ciałem do Richarda. Kiedy oderwał się od niej na chwilę, wydała z siebie cichy jęk:

- Nie przestawaj!

Postawił ją na ziemi, żeby móc lepiej objąć i znowu przywarł do jej dziewiczych warg. Pocałunek mógł trwać parę minut, ale dla niej była to cała wieczność. Miała wrażenie, że stała się nagle zupełnie inną osobą. Odkryła, czym jest pożądanie i cielesna przyjemność. Do tej pory ten fascynujący świat był przed nią zupełnie zamknięty.

- Nie, nie, jeszcze... - poprosiła, czując, że Richard się od niej odsuwa.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jeśli teraz nie przestanę, to nie wiem, czy w ogóle mi się to uda - powiedział, łapiąc oddech. - Chodź, uciekajmy przed burzą.

Dopiero teraz dotarło do niej, że jest już kompletnie przemoczona i że niebo wciąż zasłaniają chmury. Nie czuła jednak zimna. Serce waliło jej jak młotem, a całe ciało wypełniała gorąca lawa pożądania. W tej chwili myślała tylko o Richardzie. Cały świat przestał dla niej istnieć.

Po paru minutach dotarli do gajówki. Na szczęście nie była zamknięta. W środku znajdował się jedynie prosty stół, dwa krzesła i wyłożona skórą ława, na której można się było przespać, a także szafa i kominek, przy którym piętrzył się stos drewna. Richard chciał początkowo napalić w pomieszczeniu, ale po namyśle zrezygnował i zdjął swój surdut. Założył go na ramiona Caroline i wskazał miejsce na ławie.

- Usiądź. Deszcz zaraz się skończy. Mamy mało czasu na rozmowę.

Spoczęła, ale przysunęła się do niego tak, jakby nie chciała nic mówić. W tej chwili pragnęła jedynie nacieszyć się jego obecnością.

- Musimy porozmawiać, Caroline - powtórzył.

- O czym? - spytała z niepokojem. Wyjrzała przez okno. Na dworze rzeczywiście się przejaśniło i niedługo będzie musiała ruszyć w dalszą drogę.

- O nas - odparł. - Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem, byłem pewny, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Każdy mężczyzna nosi w sobie obraz ukochanej kobiety. I ty właśnie całkowicie pasowałaś do tego wizerunku, który mam w duszy. - Zaśmiał się nagle. - Tylko najpierw musiałem sam siebie przekonać, że nie jesteś aniołem. To znaczy, takim prawdziwym, z nieba.

Dziewczyna również uśmiechnęła się do niego.

- Myślałaś, że sfrunęłam do zamku prosto z jakiejś chmurki? - Ten obraz wydał jej się wyjątkowo zabawny.

Kapitan pogładził ją po włosach.

- Chociażby - rzekł w zamyśleniu. - Jeśli się nie mylę, ty również mnie kochasz. Chyba, że opacznie zrozumiałem sonatę, którą mi dałaś.

Caroline zaczerwieniła się aż po korzonki włosów,



ale zdołała wydusić z siebie ciche: "Nie, nie pomyliłeś się" .

- Bogu dzięki - westchnął. - Wiesz, dlaczego prosiłem, żebyś przyszła do wioski? Nie chciałem po prostu oświadczać ci się pod dachem narzeczonego.

Richard wypuścił ją z ramion i uklęknął przed nią na jedno kolano.

- Co... co to znaczy? - Wpadła w popłoch.

- Zostań moją żoną, Caroline. Od dawna modliłem się o kogoś takiego, jak ty. A teraz moje prośby zostały wysłuchane.

- Ale... ja jestem już zaręczona.

- Dlatego powinnaś zerwać zaręczyny - stwierdził. - Nie wydaje mi się, żebyś kochała barona. Wręcz przeciwnie, zdradzałaś wobec niego pewne oznaki niechęci...

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To było na początku. Trochę się go bałam, a teraz... teraz... - próbowała znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyjaśnić, o co chodzi.

- Kochasz go?

- Nie, szanuję - padła odpowiedź.

Kapitan wstał i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Nie wychodzi się za mąż z szacunku.

Caroline zaczęła nerwowo przechadzać się *po* pokoju. Przypomniała sobie pierwsze rozmowy z ojcem i matką, a potem szczęśliwą Ginę, która informowała ją o swoich zaręczynach.

- Nie, chodzi o pieniądze - wypaliła w końcu.

Jeśli poprzednio poczuł się zaskoczony, to teraz wręcz zaniemówił ze zdziwienia. Przez moment obserwował Caroline zimno, zastanawiając się, czy nie

zostawić jej samej w gajówce. Ostatecznie jednak uznał, że musi wysłuchać wszystkiego do końca. Ale wpiery postanowił uspokoić jej obawy dotyczące przyszłości:

- To prawda, że nie mam dużego majątku - zaczął. - Lecz niedługo odziedziczę skromną posiadłość na południu. Wystarczy, żeby utrzymać rodzinę i pozwolić sobie na parę wyjazdów. Choćby do "Wiednia i Paryża, gdzie ponoć można teraz znaleźć najlepszych kompozytorów.

Caroline potrząsnęła rozpaczliwie głową.

- Obawiam się, że to nie wystarczy. Mój ojciec ma problemy finansowe, a lord Radford zapłacił za mnie jakąś znaczną sumę. Wobec tego ojciec zagroził, że jeśli nie wyjdę za barona, zerwie zaręczyny mojej siostry, Giny...

Richard położył dłoń na jej ramieniu.

- Moja biedna Caroline. Zawsze myślisz o innych, nigdy o sobie. Czy przynajmniej lord Radford cię kocha?

Dziewczyna westchnęła głęboko.

- Chyba tak, skoro poprosił o moją rękę i wydał tyle pieniędzy. Tylko...

- Tylko? - podchwycił Richard.

- Zupełnie go nie rozumiem. - Rozłożyła szeroko ręce. - Nie wiem, o co mu chodzi. Mam poczucie, że otacza go jakaś tajemnica, której nie jestem w stanie pojąć.

Kapitan zamyślił się na chwilę. Słyszał o przeróżnych sekretach starych rodów. Sam miał ostatnio okazję poznać historię swojej rodziny. Być może coś równie niezwykłego wiązało się z Caroline. Na przykład, baron dowiedział się, że jest ona niezwykłą kompozytorką

i dlatego zgodził się zapłacić. A w przyszłości ma zamiar czerpać z tego korzyści...

Nie, to bez sensu. Richard szybko oddalił od siebie to przypuszczenie. Już bardziej prawdopodobne, że lord Radford potrzebuje po prostu cichej i miłej żony i właśnie te cechy Caroline wpadły mu w oko.

Wobec tego, skąd tajemnica?

- Czy chcesz, żebym z nim porozmawiał? - spytał po namyśle.

Zagryzła wargi niemal do krwi, rozważając tę propozycję.

- To bardzo kuszące... Ale muszę się jeszcze nad tym zastanowić. Chcę tylko, żebyś wiedział, że bardzo cię kocham... - Spuściła skromnie oczy. - I że pragnę być z tobą.

Kapitan zatrzymał się przy oknie i spojrzał na zalaną słońcem polanę przed gajówką. Trudno było uwierzyć, że parę minut temu szalała tu burza.

- Dobrze, sama musisz podjąć decyzję - zgodził się. - Pamiętaj, że będę czekał.

- A jeśli zdecyduję się wyjść za lorda...?

- Wyjadę - padła krótka odpowiedź. - Nie mógłbym tutaj mieszkać, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

Zrobiła krok w jego stronę, ale Richard nie wykonał żadnego gestu. Miała nadzieję, że przynajmniej pocałuje ją na pożegnanie. Nic takiego się jednak nie stało.

- Czy... czy przyjdiesz w piątek na bal? - spytała, stojąc w drzwiach.

Zmarszczył brwi, a Caroline przypomniała sobie, że nie informowała go o nim "wcześniej".

- Ciotka barona urządza przyjęcie na moją cześć - wyjaśniła pośpiesznie.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Dobrze, przyjdę i będę czekał aż przyjmiesz moje oświadczenia albo powiesz, żebym sobie poszedł.

Skinęła głową, a następnie mrużąc oczy wyszła z gajówki. Wciąż miała na sobie surdut Richarda. Chociaż nie było jej zimno, nie chciała go zwracać. Dzięki niemu miała poczucie, że jego właściciel jest tuż przy niej.

Przybycie Hanscombe'ow do Wildehaven w środę po południu zepsuło jeszcze bardziej i tak już nie najlepszą atmosferę. Zwłaszcza lady Hanscombe i lady Edgeware *iii*e przypadły sobie zbyt do gustu, a Jason Z trudem znosił obecność swojego przyszłego teścia, który oglądał stajnie i włości z taką miną, jakby już należały do niego. Tylko Giną i Gideon zachowywali się normalnie, przynajmniej jak przystało na zakochanych. Młody Fallsworthy nie odstępował narzeczonej na krok, a siostra przyrodnia Caroline promieniała szczęściem. Najgorzej czuł się w tym całym zamieszaniu George Fitzwilliam i chętnie by wyjechał, gdyby nie przyrzekł Jasonowi, że dotrzyma mu towarzystwa.

Baron przyjmował to wszystko, co się działo w jego domu ze stoickim spokojem. Usiłował nawet zabawić gości, chociaż najchętniej by ich unikał. Radowało go jedynie to, że Caroline nie poszła w ślady rodziców. Zwłaszcza na ich tle wydawała mu się egzotyczna i delikatna. Mógł się cieszyć, że to właśnie ją ślepy los wyznaczył na jego żonę, ale... jakoś opuściła go wszelka radość. Wciąż myślał o Jessice, którą utracił po raz drugi. I ciągle nie mógł się z tym pogodzić. Serce bolało go tak, że odmawiał, ilekroć zdesperowany George proponował mu partyjkę wista albo wyprawę do najbliższego miasta. Chętnie natomiast pijał z nim wieczorne brandy. Przy jednej z takich okazji zauważył bez specjalnej

satisfakcji, że wygrał zakład. Jego tytuł i majątek wystarczyły, żeby Caroline zgodziła się zostać jego żoną.

George był tak przybity brakiem zajęcia oraz tym, że nikt nie zwracał na niego uwagi, że zgodził się z tym bez żadnych zastrzeżeń:

- Masz szczęście, Jason - stwierdził, kiwając głową. - Być może ten zakład stanowił część Boskiego planu.

Baron, który myślał właśnie o Jessice, co nie było niczym dziwnym, gdyż ostatnimi czasy głównie tym się zajmował, spojrzął na niego niezbyt przytomnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że wydajecie się dla siebie stworzeni - wyjaśnił przyjaciel. - Przecież normalnie nigdy nie zwróciłbyś na nią uwagi. Sam Bóg pokierował naszą rozmową w ten sposób, że stało się tak, a nie inaczej.

Lord Radford uśmiechnął się cierpko.

- Obawiam się, że czytałeś ostatnio za dużo Byrona, Fitzwilliam, który w obecnej sytuacji postanowił się w kimś platonicznie zakochać, poczuł, że musi bronić dziewczyny.

- Sam musisz przyznać, że Caroline jest cudowna! Kto by się spodziewał, że z tak brzydkiej poczwarki wyrośnie taki motyl! A poza tym jest miła i dobra. Prawdziwy ideał!

Jason ziewnął. Co prawda lubił czytać o ideałach, ale w życiu codziennym wolał mieć do czynienia ze zwykłymi ludźmi. Stwierdził, że jeśli idzie o anioły, to wystarczy mu spędzanie z nimi w niebie całej wieczności. Teraz potrzebował rudowłosej diablicy. Takiej, która umie, na przykład, przeciwstawić się jego ciotce.

W końcu udało mu się stłumić ziewnięcie.

- Tak, mój drogi, masz rację - zgodził się uprzejmie. - Może powinieneś więc sam się z nią ożenić.

To by rozwiązało jego problemy! Przecież sir Alfredowi chodziło tylko o pieniądze, a George miał ich pod dostatkiem. Być może w przyszłości odziedziczyłby nawet tytuł po bracie, którego majątkiem zarządzał. Niestety, nawet Fitzwilliam zauważył transformację dziewczyny.

- Nie, nie, narzeczeństwo najwyraźniej dobrze jej służy! - zaprotestował, a potem wypił resztkę brandy. - Wolę ją podziwiać z daleka.

W tym momencie do pokoju wtargnęła lady Edgware. Starsza dama nie szanowała nawet prywatności tego pomieszczenia. George, który sięgnął właśnie po butelkę, żeby dolać sobie jeszcze trochę złocistego płynu, skurczył się i próbował schować za plecami *corpus delicti*.

Ciotka Honoria zmierzyła go zimnym wzrokiem i sięgnęła po kieliszek.

- Poproszę kropelkę, młody człowieku.

- Ależ proszę, lady Edgware.

Starsza dama podniosła kieliszek do oczu.

- Większą kropelkę!

Tym razem wylękniony Fitzwilliam napełnił kieliszek do połowy. Następnie wymamrotał pod nosem pożegnanie i wycofał się do drzwi.

- Zupełnie nie wiem, dlaczego zmyka przede mną jak zając - zdziwiła się ciotka Honoria, kiedy zniknął za drzwiami. - Przecież nic mu nie zrobiłam.

Jason stwierdził, że nie ma innego wyjścia i poprosił starszą damę, żeby usiadła.

- Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam wizytę o tej porze? - zwrócił się do ciotki. - Coś nie w porządku z majątkiem? A może ze służbą?

Lady Edgware spojrzała mu prosto w oczy.

- Przyszłam, żeby porozmawiać o twoim małżeństwie - oznajmiła prosto z mostu. - Naprawdę chcesz się ożenić z tym dzieckiem?

Baron uniósł *niewiele* brwi.

- Zrobiłem dokładnie to, o co ciocia prosiła - przypomniał. - *Znalazłem* zdrową, dobrze urodzoną damę, która da mi potomka.

Ciotka Honoria tylko machnęła ręką.

- Nie masz wrażenia, że za mało w niej ikry? Już mówiłam, ciepłe kłuchy i tyle!

Lord Radford poczuł się zobowiązany bronić narzeczonej. Nieświadomie zachował się tak, jak przed chwilą Fitzwilliam.

- Caroline ma mnóstwo zalet. To prawdziwy ideał!

Starsza dama wypita spory łyk brandy, a następnie spojrzała życzliwie na kieliszek.

- Dobrze - stwierdziła. - A ty chcesz zastąpić przyzwoity trunek jakimś tam cienkuszem. I co z tego, że ideał? Znudzi ci się po paru miesiącach. Już lepsza byłaby ta jej ciotka. Też jest z domu Westerly!

Jason poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Czy to był przypadek, że ciotka wspomniała akurat Jessikę, czy też zauważyła coś w jego zachowaniu? Z dużą przyjemnością pociągnął jednak temat:

- Dlaczego sądzi ciocia, że byłaby lepsza? Mówiła mi kiedyś, że ciocia za nią *nie* przepada.

Raz jeszcze machnęła ręką.

- Wydawało jej się! Większość ludzi uważa z jakichś powodów, że ich nie lubię. Sama nie wiem dlaczego - dodała z rozbijającą *miną* i wypita jeszcze trochę złocistego płynu. - Pani Sterling jest bardzo w twoim stylu. Poza tym... *zauważyłam, jak na nią patrzysz*, kiedy myślisz, że nikt nie zwraca na ciebie uwagi.



A więc jednak! Będzie musiał w przyszłości uważać, żeby się nie zdradzić. Oczywiście, gdy tylko ożeni się z Caroline, przestanie się widywać z Jessiką.

- Czy chce ciocia, żebym zerwał z narzeczoną i ożenił się z jej przyzwoitką? Przecież wybuchnie skandal!

Lady Edgeware odstawiła kieliszek tak, że część brandy wylała się na stolik.

- I zaraz przycichnie! Nikt nie wie więcej ode mnie na temat skandali. - Przerwała, żeby spojrzeć mu głęboko w oczy. Nawet nie przypuszczał, że jej spojrzenie może być tak smutne. - Wiem też, że kiedy Kincaidowie się zakochają, rzadko są potem w stanie dojść do siebie. Mnie się to w każdym razie nie udało...

Jasonowi zrobiło się nagle nieswojo. Zawsze odbierał ciotkę jako silną, pewną siebie osobę. W młodości miał nawet opory, żeby mówić do niej „ciociu” i zwracał się do niej „lady Edgeware”, chociaż była jedną z jego bliższych krewnych.

- Nie sądziłem, że uważa ciocia miłość za ważny składnik małżeństwa - rzucił niepewnie. - Odniosłem wrażenie, że wręcz przeciwnie.

Starsza dama zwiesiła głowę.

- To dlatego, że nie udało mi się tego sprawdzić - odrzekła. - Kiedy się zakochałam, było już za późno. Ty jednak, mój drogi, masz czas, żeby wszystko odwołać. Chyba, że pani Sterling jest na tyle głupia, że cię nie chce.

Jason wstał z miejsca, chcąc dać znak, że uważa rozmowę za skończoną.

- Pozwoli ciocia, że ją odprowadzę do apartamentu.

Lady Edgeware dopiła brandy i natychmiast odzyskała swojego bojowego ducha.

- Ani rni się waź! Znam ten dom lepiej od ciebie - mruknęła kwaśno. - Lepiej sobie przemyśl to, co ci powiedziałam.

Baron stwierdził, że w ostatnim czasie nie robi praktycznie nic innego. Wolał jednak nie dzielić się tą informacją z ciotką. Odprowadził ją do drzwi i życzył dobrej nocy. Następnie wrócił do gabinetu i swojego kieliszka. Opróżnił go jednym haustem i przez chwilę Zastanawiał się, czy nie nalać sobie jeszcze trochę brandy. Zdecydował jednak, że nie i udał się do *swojej sypialni*

Podobnie, jak w ciągu ostatnich nocy, przewracał się długo z boku na bok zanim zasnął. A kiedy to już się stało, dręczyły go senne koszmary. Widział w nich Jessikę, która oddalała się od niego coraz bardziej. Znajdowali się sami w niewielkim pomieszczeniu, a on chciał ją pocałować. Wyciągnął rękę, a ona podeszła do drzwi.

- Zegnaj, Jason - szepnęła.

Rzucił się za nią i... obudził się na podłodze, zaplątany w swoją nocną koszulę. W korytarzu było słychać jakieś ciche odgłosy. Pomyślał, że to ukochana nie wytrzymała i przyszła do niego, ale zza drzwi dobiegło ciche drapanie. Po Jessice spodziewałby się raczej, że zapuka do drzwi...

- Miau - odezwał się cichy, lecz rozdzierający głos.

Zrezygnowany baron wstał i wpuścił Wellesleya do środka. Nie był to już malutki kotek, którego przywieźli do Wildehaven, ale spory kocurek o ostrych ząbkach i pazurkach. Jego zielone oczy lśniły w świetle okrągłego księżyca. Wellesley rozejrzał się po jego sypialni, a następnie ułożył się w nogach łoża z baldachimem.

- No dobrze - westchnął udręczony Jason. - Tylko pamiętaj, żebyś nie chrapał.

Pogłaskał jeszcze kota, a ten odpowiedział mu miłym mručeniem. Oczywiście Jason wolałby znaleźć się w łóżku z jego panią, ale stwierdził, że nie ma wyboru. Położył się więc i, o dziwo, zasnął spokojnym snem. Wellesley łypnął na niego swoimi zielonymi oczami i po chwili poszedł w jego ślady.

Caroline od dwóch dni próbowała porozmawiać z ojcem. Niestety był on wciąż zajęty oglądaniem posiadłości Radfordów, spotkaniami z kompanami i pochłanianiem porto gospodarza. Zwłaszcza to ostatnie szło mu nadzwyczaj sprawnie i dlatego nie mogła nawet marzyć, że nawiąże z nim jakiś kontakt. Zresztą sama też była zajęta, ponieważ musiała zająć się przyjeżdżającymi na bal gośćmi. Co prawda to lady Edgeware wydawała ten bal, ale większość nowo przybyłych wolała kontaktować się z Caroline niż z jej przyszłą ciotką. Zresztą pracy było dosyć dla wszystkich i starsza dama nie siedziała bynajmniej z założonymi rękami.

Przy okazji Caroline miała sposobność stwierdzić, że z całą pewnością nie odpowiada jej takie życie. Brakowało jej czasu na wszystko, a przede wszystkim na grę na wspinałym Broadwoodzie i komponowanie. Jednocześnie odzywała się w niej silna tęsknota za Richardem. Nie mogła spać i wyglądała nieco gorzej niż ostatnio, co Jason tłumaczył sobie nawałem pracy.

W końcu zdecydowała się zerwać zaręczyny. Chciała jednak wcześniej porozmawiać z ojcem. W piątek rano sprawa stała się już paląca. Żeby go udobruchać postanowiła oddać mu spadek po matce, a także pieniądze, które miała dostać od swojego wy-

dawcy. Przygotowała nawet nowy zestaw utworów do opublikowania, by uzyskać jak najwięcej pieniędzy. Uważała, że sprawa jest już przesadzona.

Jednocześnie wiedziała, że spotka się z dużym oporem. Widziała przecież błyski w oczach ojca, kiedy oglądał majątek Radfordów. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie zerwie on w przypływie wściekłości zaręczyn Giny. Wszystkie papiery zostały już opatrzone podpisami, co praktycznie oznaczało, że ślub powinien być tylko kwestią czasu.

Ale najbardziej bała się rozmowy z narzeczonym. Kobieta mogła zerwać zaręczyny bez "większych towarzyskich konsekwencji. *Gdyby* zrobił to mężczyzna, wybuchłby skandal. To trochę podtrzymywało ją na duchu, chociaż przede wszystkim chodziło jej o reakcję samego Jasona. Co robi, jeśli baron wyzna jej miłość? Wiedziała, że jest mu winna szacunek i przywiązanie. Chociaż początkowo wydawał jej się postacią diaboliczną, teraz wiedziała, że potrafi być miły i szarmancki. Czy to wystarczyłoby, żeby zbudować trwały związek? W wielu małżeństwach brakowało nawet tego! Dlatego nie miała pojęcia, co zrobić, kiedy baron zacznie ją błagać, by nie odchodziła.

Tylko myśl o Richardzie dodawała jej sił. Poświęciła cały ranek na próby skontaktowania się z ojcem, ałe niestety *jej* wysiłki spełzły na niczym. W końcu postanowiła, że zaczeka do balu. Przecież będzie musiał wziąć w nim udział. Przy okazji lady Hanscombe zapewne nie dopuści, żeby się wcześniej upił. I właśnie wtedy będzie mogła o wszystkim mu powiedzieć!

Pokrzepiona tą myślą udała się po wczesnym, lekkim obiedzie do swojego apartamentu. Zarówno goście, jak i gospodarze mieli teraz kilka godzin spoko-

ju, żeby odpocząć przed głównym wydarzeniem wieczoru. Caroline wykorzystała to, żeby móc po raz pierwszy spotkać się w cztery oczy z siostrą.

Związek z Fallsworthym dobrze zrobił Ginie. Wydawała się teraz pewniejsza i mniej zależna od matki. Cieszyło ją to, że cała rodzina narzeczonego zaakceptowała ją niemal od razu, chociaż przyznała z niechęcią, że ojciec zrobił na Fallsworthych niezbyt dobre wrażenie. Dlatego postanowiła prowadzić życie całkowicie niezależne od rodziców i od razu po sierpniowym ślubie wyjechać do Włoch.

- Do Włoch? - powtórzyła Caroline, myśląc o twórcach klasycznej opery. - To bardzo romantyczne.

Siostra uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Gideon twierdzi, że chciał tam pojechać *od* ładnych paru lat. A teraz, na szczęście, będzie to bezpieczne.

Na tę wzmiankę Caroline natychmiast pomyślała o Richardzie.

- Myślisz, że będą ci się podobały te wszystkie za-  
bytki? - zadała kolejne pytanie.

Gina tylko machnęła ręką.

- W towarzystwie Gideona? Nawet góry lodowe!

Obie roześmiały się na tę uwagę, chociaż Caroline nie było w tej chwili do śmiechu. Miała przecież do omówienia niezwykle ważną sprawę.

- Gino, jak sądzisz, czy... czy ojciec mógłby zerwać twoje zaręczyny? - wyrzuciła z siebie pytanie, które dręczyło ją od jakiegoś czasu.

Siostra potrząsnęła wojowniczo głową.

- Nie miałyby odwagi!

- Ale... gdyby z jakichś powodów...

Loki Giny zawirowały w powietrzu. Nie wygląda-

ła na przerażoną, a tylko rozgniewaną. Jednocześnie patrzyła na nią jak na małe dziecko.

- Nic z tego, Caro. Po pierwsze, ja nie mam zamiaru odwoływać zaręczyn. Po drugie, poparłaby mnie cała rodzina Gideona i mama. Po trzecie... - Siostra spuściła skromnie oczy. - Praktycznie jesteśmy już małżeństwem.

Caroline otworzyła ze zdziwienia usta.

- Chcesz powiedzieć...? - Szukała jakiegoś delikatnego sformułowania, ale nic *jej* nie przychodziło do głowy.

- Właśnie t o chcę powiedzieć.

- Czy... Gideon?

- Nie, to raczej ja sama - odparła po krótkim namyśle. - Gideon, biedaczek, gotów był pozostać do końca dżentelmenem. Musiałam sporo się natrudzić, żeby mu to wyperswadować. Zrozum, Caro, tak bardzo siebie pragnęliśmy. Właściwie nie było sensu czekać. Pomyśl o Jasonie i jak ty się z nim czujesz.

Właśnie w tym momencie mogła wyjaśnić siostrze swoją sytuację. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ w drzwiach ukazała się Jessica. Caroline tylko oblała się rumieńcem.

- Daj spokój siostrze, Gino. Caroline jest prawdziwą damą, a nie taką kruchą istotą, jak my. - Spojrzały na siebie jak jedna światowa kobieta na drugą.

- O nie! - zaprotestowała Gina. - Myślę, że Caroline tylko zachowuje pozory, a tak naprawdę buzuje w niej namiętność. Przecież to naturalne przy kimś takim jak lord Radford.

Żadna z dziewcząt nie zauważyła grymasu na twarzy Jessiki. Uśmiech Giny świadczył o tym, że pogrzyżała się w erotycznych fantazjach, natomiast Caro-

line bolała nad tym, że znalazła się w tak niezręcznej sytuacji. Przez chwilę miała nawet ochotę wyznać całą prawdę, ale uznała, że przed rozmową z ojcem nie ma to najmniejszego sensu. Po co obarczać obie panie takimi problemami?

- Dobrze, ale przyszłam, żeby porozmawiać o czymś innym - podjęła ciotka. - Bardzo tęsknię za Lindą, Caro. Chciałabym wyjechać do Wiltshire tuż po balu. Masz już przecież rodziców, więc nie potrzebujesz przyzwoitki...

Caroline spojrzała na nią ze zdziwieniem. Coś za niepokoiło ją w tonie tej wypowiedzi, ale w tej chwili nie miała siły, żeby teraz się nad tym zastanawiać.

- Bardzo żałuję, że już chcesz jechać, lecz oczywiście nie mogę cię zatrzymać - rzekła w zamyśleniu. - Mam nadzieję, że będziesz tutaj częstym gościem.

Tak częstym, jak śnieg w lipcu, pomyślała Jessica.

- Oczywiście przyjadę na ślub - stwierdziła głośno. - Ale potem będziesz pewnie wołała być sama z mężem.

Caroline w rozmarzeniu pomyślała o Richardzie. Tak, z nim mogła spędzić nawet długie lata na bezludnej wyspie.

Widząc wyraz jej twarzy Jessica zmarszczyła brwi. Nie miała zamiaru niszczyć związku siostrzenicy. Jason i tak zapomni o rudowłosej przyjaciółce, kiedy okaże się, że ma piękną, młodą żonę. Najwyższy czas wycofać się, by móc w spokoju rozpamiętywać błędy młodości.

- No tak, nic tu po mnie - mruknęła i podeszła do drzwi. - Chcę się teraz położyć i wam radzę to samo. Ta noc będzie długa i męcząca.

Jessica sama nie przypuszczała, że te słowa okażą się wręcz prorocze.

Richard nie dostał zaproszenia na przyjęcie, które miało się odbyć przed balem. Dlatego zjadł coś w zamku i dopiero potem udał się do Wildehaven. Od ostatniego spotkania, nie miał żadnych wieści od Caroline. Wyczuwał, że cała sprawa zbliża się nieuchronnie ku końcowi, dlatego z tym większym niepokojem wyglądał przez okno swojego powozu. W końcu zobaczył jasno oświetlony pałac i serce mu się ścisnęło. Miał wrażenie, że jest to złota klatka, w której zamknięto jego ukochaną. Nie miał powodów, żeby wątpić w miłość Caroline. Bał się tylko, że jak zwykle, ulegnie innym. Żeby o tym nie myśleć, przypomniał sobie rozmowę z Reginaldem, który dołączył do niego przy posiłku.

- Miałeś rację, Dalton, Kornwaliijczyk przegrał - powiedział ponuro kuzyn.

Richard uśmiechnął się do niego.

- Cieszę się, że mogłem się przydać.

Reggie spojrział z niechęcią na jedzenie i sięgnął po butelkę porto.

- Niestety, postawiłem właśnie na niego - mruknął.

- Nie przejmuj się, Davenport. I tak byś wcześniej czy później stracił te pieniądze - stwierdził, myśląc, że go pocieszy. - Hazard to hazard.

- A ty, Dalton, zdaje się, że niczym *nie* lubisz ryzykować, co?

- Poza własnym życiem - przypomniał mu Richard.

Ta uwaga musiała poruszyć jakieś czułe struny w kuzynie, ponieważ dopił porto, a następnie rzucił pustą już butelką w ścianę. Szkło rozprysło się na setki kawałków.

- Myślisz, że nie chciałem iść do wojska, Dalton?! Ze brakuje mi odwagi, żeby walczyć?!



Kapitan zdziwił się tym wybuchem.

- Nigdy nawet nie przyszło mi to na myśl - wyznał szczerze. - Słyszałem o tobie wiele złych rzeczy, Davenport, ale nie to, żeby brakowało ci odwagi.

Reggie wyciągnął zębami korek i wypił parę łyków porto wprost z butelki.

- Wuj nie chciał mi pozwolić! Płacił moje długi, ale nie zgadzał się, żebym poszedł do wojska. A sam byłem się zaciągnąć jako prosty żołnierz. - Spojrzał nagle na Richarda, jakby widział go po raz pierwszy. - Co się tak wystroiłeś, Dalton? Czy na tej przeklętej wsi można się gdzieś zabawić?

- Lord Radford wydaje dziś bal na cześć narzeczonej.

- A, tej ładnej blondynki! - przypomniał sobie. - Gdyby Radford wiedział, że tu jestem, na pewno by mnie zaprosił.

- Nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółmi - zdziwił się kapitan.

Kuzyn zaśmiał się głucho.

- Nienawidzę tego człowieka, a on mnie też nie znosi - odparł. - Wymagają tego formy towarzyskie, barania głowo!

Richard nie obraził się za przezwisko. Był zadowolony, że Reggie nie skupił się w swych wywodach na Caroline. Jednocześnie pomyślał sobie, że wolałby nie należeć do takiego towarzystwa, gdzie trzeba być uprzejmym dla wroga.

Powóz zatrzymał się nagle daleko od wejścia do pałacu i Richard powrócił do rzeczywistości. W głowie dźwięczały mu jeszcze słowa kuzyna: „Ten Radford to wcielony diabeł. Prawdziwy książę ciemności. Nigdy tak naprawdę nie wiadomo, kiedy uderzy.”

Zniecierpliwiony kapitan zastukał laską w ściankę powozu.

- Trza czekać, panie! - odezwał się woźnica.

Ich powóz musiał stać w kolejce. Richard wyjrzał przez okno i zobaczył długi sznur pojazdów. Nigdy nie był na tak wielkim balu i nie sądził, że może tu być aż tylu ludzi. Lokaje w liberiach pomagali gościom wysiąść, a następnie prowadzili ich do wejścia. Gdyby wszyscy robili to sami, skróciłoby to znacznie oczekiwanie.

Po dwóch godzinach witania gości przy wejściu do sali balowej, Caroline miała już dosyć. Chociaż bolały ją nogi, ani na chwilę nie przestała się uśmiechać. Czuła się jak lalka, którą wystawiono na pokaz. Inna sprawa, że lalka niezwykle pięknie przystrojona w prostą, ale szykowną suknię kremowego koloru z odsłoniętymi plecami i błyszczący złotem szal. Betsy przeszła na tę okazję samą siebie i powplatała w jej włosy maleńkie różyczki, które wyglądały tak, jakby wyrastały prosto z głowy. Natomiast Jason podarował narzeczonej piękny, długi naszyjnik z pereł, co natychmiast pogorszyło jej humor.

Nerwy miała napięte jak postronki. Prawie nie tknęła jedzenia w czasie przyjęcia poprzedzającego bal, ale nie była głodna. Wciąż myślała o rozmowie z ojcem, ale najchętniej po prostu jak Kopciuszek uciekłaby z Wildehaven. I nie zostawiła nawet swego pantofelka.

Caroline spojrzała bezradnie na Jasona i jego ciotkę. Lady Edgeware dokonywała prezentacji prawie wszystkich gości, którzy przybyli na uroczystość. Baron anonsował tylko niektórych, głównie swoich

przyjaciół z Londynu. Musiała przyznać, że w nowym surducie, uszytym specjalnie na bal, prezentował się niezwykle korzystnie. Całości dopełniał srebrzysty fular z broszą z rubinem. Władza i majestat aż emanowały od niego i Caroline odniosła wrażenie, że znowu ma do czynienia z Diabolicznym Baronem, którego tak się kiedyś bała. I nawet teraz myśl o rozmowie z narzeczonym napawała ją lękiem.

Powitania szczęśliwie dobiegały już końca. W drzwiach pojawił się jeszcze samotny mężczyzna w obcisłych, wojskowych spodniach i flauszowym surducie. Znać po nim było, że woli wygodę od elegancji, chociaż ten strój podkreślał jego smukłą sylwetkę i zadziwiająco szerokie bary.

Lady Edgware spojrzała na bratanka, ale Jason pokręcił głową.

- To mój znajomy - szepnęła Caroline.

Richard zbliżył się do komitetu powitalnego i skłonił uprzejmie paniom.

- Wygląda pani jak Tytania, panno Hanscombe - powiedział przystając. - Albo Wiosna Botticellego.

Caroline uśmiechnęła się do niego, chcąc dać znak, że pamięta spotkanie, kiedy też o tym wspomniał.

- Państwo pozwolą, kapitan Dalton, lady Edgware i lord Radford.

Richard ponownie skłonił się lady Edgware i uściśnął prawicę Jasona. Ten natomiast spojrzał na niego tak, jakby coś sobie przypomniał.

- Caroline wspominała, że zatrzymał się pan w Wargrave Park. I jak się tam panu podoba?

- To ładna posiadłość, ale bardzo zaniedbana - odparł krótko.

- Zgadzam się z panem, panie kapitanie. - Jason

zmarszczył brwi, przypomniawszy sobie, co widział ostatnio w wiosce. - I ludzie stamtąd uciekają. Mam nadzieję, że Reggie znajdzie dobrego zarządcę albo sprzeda Wargrave.

- Zna pan jakiegoś kupca, panie baronie? - zainteresował się kapitan.

Lord Radford zaśmiał się serdecznie.

- Od urodzenia. - Zobaczywszy zdziwioną minę gościa, udzielił dalszych wyjaśnień: - Chętnie połączyłbym Wildehaven z ziemią Davenportów.

- Reginald jest teraz w Wargrave Park - poinformował Richard.

Baron pokiwał głową.

- To znaczy, że ma kłopoty w Londynie i musiał się ukryć - stwierdził. - Pan wybaczy, za chwilę chętnie wrócę do rozmowy.

Ciotka Honoria już od jakiegoś czasu posykiwała na niego, ponieważ poświęcał zbyt dużo czasu jednej osobie. Jednak Jason od razu polubił rzeczowość wojskowego. Poza tym, chciał się dowiedzieć, co słychać w Wargrave Park. Dlatego teraz przywitał się szybko z przybyłą z sąsiedztwa rodziną, a potem jeszcze z dwiema starszymi damami, które wymieniły czułości z lady Edgware i ponownie zwrócił się do kapitana:

- No, wygląda na to, że jesteśmy wolni. Proszę mi powiedzieć, czy Reggie przynajmniej tym razem zajął się poznawaniem swojego dziedzictwa?

- Tak. Zaczął od piwnic i... na razie na nich skończył. Baron pokręcił głową.

- Jak zwykle, jak zwykle.

- Zna go pan dobrze, panie baronie? - zainteresował się Richard.

- Jak 2ły szeląg! - zaśmiał się Jason. - Chociaż obaj

staramy się sobie schodzić z drogi. Jednego mu tylko nie mogę odmówić, piekielnie dobrze włada szpadą. Kiedyś walczyłem z nim dla żartu, ale żaden z nas nie wygrał. Nie wiem jednak, co by się stało, gdyby to był prawdziwy pojedynek.

Richard słuchał tego z zaciekawieniem. Z przykrością musiał stwierdzić, że narzeczony Caroline zrobił na nim dobre wrażenie. W desperacji zastanawiał się nawet, czy go nie obrazić i nie wyzwąć na pojedynek, ale to by było zwykłe morderstwo.

- To znaczy, że pan też jest dobrym fechtmistrzem, panie baronie - zauważył.

Jason potrząsnął głową.

- Brakuje mi czasu, żeby ćwiczyć. Mam teraz inne sprawy na głowie. - Wskazał gościowi wnętrze sali balowej. - Pan pozwoli, panie kapitanie, przedstawię panu kilku gości. Zdaje się, że zna pan tutaj tylko pannę Hanscombe i jej ciotkę. Pozwolisz, moja droga? - zwrócił się do narzeczonej.

Caroline skinęła głową, a potem spojrzała z rozpaczą na oddalającego się Richarda. Dopiero po chwili poczuła na sobie czyjeś baczne spojrzenie. Lady Edgeware! Zaalarmowana dziewczyna odwróciła się do ciotki Jasona, ale ona tylko wzięła ją pod ramię.

- Chodź, moje dziecko. Masz przecież zamówione wszystkie tańce.

Po paru tańcach Jason poprosił ją do walca. Tańczyło im się znacznie lepiej niż za pierwszym razem u Almacków, ale prawie cały czas milczeli. Caroline nie po raz pierwszy miała okazję zauważyć, że po prostu nie mają o czym ze sobą rozmawiać. Wraz z upływem czasu nabrali dla siebie szacunku i sympatii, ale to wszystko.

W czasie kolejnego *pas* udało jej się w końcu odnaleźć ojca. Stał wraz z paroma innymi starszymi panami w rogu sali i spoglądał od czasu do czasu na tańczących. Ponieważ wyglądał na pogrążonego w rozmowie uznała, że nie umknie jej w ciągu najbliższych minut. Dlatego zaczęła aż walc wybrzmiał do końca i dygnęła przed narzeczoną.

- Przepraszam, muszę porozmawiać z ojcem.

Jason skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości. Miał jednak taką minę, jakby chciał powiedzieć, że wolałby, żeby tego nie robiła. Chętnie zapomniał o istnieniu swego przyszłego teścia i wołał, by mu o nim nie przypomniano.

- Dobrze, zaczekam na ciebie.

Caroline pokręciła głową.

- Lepiej zatańcz z Jessiką - zaproponowała. - Nie wiem dlaczego, ale wygląda ostatnio na przygnębioną.

Przeszedłszy dalej, zauważyła Richarda pogrążonego w rozmowie z żoną pastora i kimś, kogo przedstawiono jej jako lorda Randaila. Myślała, że kapitan jej nie zauważy, ale on spojrzał w stronę ukochanej, gdy tylko poczuł na sobie jej spojrzenie. Odniosła takie wrażenie, jakby ją pocałował i uśmiechnęła się do niego promiennie. Chciała mu w ten sposób powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- Szukasz swego ojca, moje dziecko? - Znowu poczuła na przedramieniu silny uścisk lady Edgeward.

Bezwiednie skinęła głową, a starsza dama poprowadziła ją do grupki mężczyzn. Caroline zachodziła w głowę, jak mogła się domyślić, o co jej chodzi. Czy było to aż tak oczywiste? Nie miała jednak czasu, żeby zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo oto stanęła przed roześmianym ojcem.

- Chciałabym z tobą porozmawiać, tato - powiedziała z determinacją osoby, która chce się właśnie rzucić w przepaść.

Jason jeszcze przez jakiś czas obserwował narzeczoną, a następnie spojrzął na otoczoną wianuszkami wielbicieli panią Sterling. Początkowo chciał zignorować prośbę Caroline, ale widok smutku na twarzy Jessiki spowodował, że bezwiednie podążył w jej stronę. Miała na sobie niezwykle piękną rdzawą suknię, której lśniąca refleksy odbijały światła kandelabrow. Czasami wydawało mu się, że dostrzega na jej delikatnym, odsłoniętym dekolcie i łąbędziej szyi ślady krwi. Ale to oczywiście było złudzenie.

Orkiestra powróciła na miejsca. Jason wsunął się przed Jessikę, zanim zdążył to zrobić młody oficer marynarki i poprosił ją do tańca. Spojrzała na niego zdziwiona, ale nie odmówiła. Po chwili już sunęli po parkiecie.

Jeśli tańcząc z Caroline miał wrażenie, że trzyma w ramionach obłoczne widmo, to teraz niewątpliwie tulił do siebie namiętą kobietę. Przez dłuższy czas nie rozmawiali ze sobą, wsłuchani w bicie swoich serc i szum w uszach.

- Jutro wyjeżdżam do Wiltshire - rzuciła w końcu rudowłosa dama.

- Naprawdę? Tak szybko?

Spojrzała mu z bólem w oczy.

- Przecież wiesz, że muszę to zrobić.

Baron zdawał sobie sprawę, że jest to najlepsze wyjście.

- Zobaczę cię jeszcze? - spytał smutno.

Jessica z trudem wydobyła z siebie głos:

- Wątpię. Chciałabym tylko... tylko móc czasem spotkać się z Caroline.

Znowu zamilkli i skoncentrowali się na tańcu. Wkrótce stało się jasne, że zaraz będą się musieli rozdzielić na zawsze.

- Każę przygotować ci na jutro powóz - powiedział. - Chcę, żebyś bez problemów dojechała do Sterlingów.

- To nie będzie konieczne. Letchwords mówił mi...

- Nie będziesz cisnąć *się* z kimś w jednym powozie - przerwał jej. - Proszę, to jedyna rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić.

Jessica przystała na to bez dalszych oporów. Nawet nie zauważyła, że melodia już się skończyła i powinni się już rozstać.



Caroline poprosiła ojca, by przeszli do niewielkiego pokoju przylegającego do sali balowej. Właśnie tu znajdował się jej fortepian. Sir Alfred był w doskonałym humorze. Świadomość, że wkrótce wejdzie do jednej ze znakomitszych rodzin w kraju sprawiła, że przypomniał sobie dawne, dobre czasy. Kto wie, może znowu będzie mógł hulać do białego rana i grać w karty? A już na pewno miał zamiar korzystać z wysmienitego portu, które baron sprowadzał wprost z Portugalii.

Tuż za nimi weszła zaniepokojona lady Hanscombe. Zbyt dobrze znała swoją pasierbicę, żeby nie spodziewać się kłopotów. Przecież nigdy bez ważnego powodu nie szukała towarzystwa ojca!

Caroline z ulgą skinęła głową na widok macochy. Prawdopodobnie nie będzie jej sojuszniczką, ale przynajmniej potrafi sprawiedliwie osądzić całą sprawę.

- No dobrze, o co chodzi? - spytał zniecierpliwiony ojciec. Nagle przypomniał sobie towarzystwo, które musiał porzucić z jej powodu. Już dawno nikt nie słuchał go z taką uwagą. - Chcę tylko powiedzieć, że dobrze zrobiłaś, godząc się na to małżeństwo. Nie znajdziesz bogatszego, ani też hojniejszego męża.

Uśmiechnął się, wspomniawszy zdziwione miny dłużników, którzy w końcu dostali swoje pieniądze.

Sir Alfred liczył jednak na to, że uda mu się uzyskać znacznie więcej.

Dziewczyna dotknęła gładkiej powierzchni fortepianu, jakby mając nadzieję, że dzięki temu zyska więcej siły.

- Jak poważne są nasze problemy finansowe, tato? - zaczęła drżącym głosem.

Ojciec spojrział na nią z niechęcią. O co też mogło jej chodzić?

- To nie twoja sprawa - burknął. - Po twoim ślubie pozbędziemy się wszystkich kłopotów.

Caroline potrząsnęła głową.

- Tylko, że ja nie wyjdę za barona.

Sir Alfred podszedł do niej, jakby chciał sprawdzić, czy się *nie* przesłyszała. Zanim spuściła wzrok dostrzegła jeszcze jego przekrwione, pełne wściekłości oczy.

- Mam dosyć twoich fochów, moja panno! Strach przed ślubem jest, oczywiście, czymś naturalnym - dodał zaraz, chcąc ją uspokoić.

- Ale ja wcale nie boję się ślubu - odparła. - Po prostu kocham kogoś innego!

Lady Hanscombe wydała krótki okrzyk, a ojciec tylko otworzył usta. Na razie był zbyt zaskoczony, żeby się rozgniewać.

- Ko-chasz? - powtórzył. - Przecież nikt poza Radfordem nawet się tobą nie zainteresował! Do końca życia będziesz starą panną!

Caroline nie przestraszyła się tej groźby. Zwłaszcza, że miała już *gotową* odpowiedź.

- Tak się składa, że ktoś inny również poprosił mnie o rękę.

- Ktoś inny?! - Sir Alfred aż zagotował się ze zło-

ści. - Kto znamienitszy od barona mógł ci się oświadczyć?! Może księżę Yorku, co?!

Dziewczyna ze spokojem zносиła te drwiny. Teraz, kiedy już powiedziała to, co leżało jej na sercu, czuła się dużo lepiej. Nawet ręce przestały jej drżeć.

- Mam obecnie trochę własnych pieniędzy - zaczęła z innej beczki. - Postaram się pomóc moim braciom i siostrom.

Sir Alfred obserwował ją przez chwilę z zaciśniętymi pięściami.

- Zabronię Ginie wychodzić za Fallsworthy'ego! - wypalił w końcu.

Na to też była przygotowana.

- Nie sądzę, żeby ci się udało. O ile wiem, obie rodziny podpisały już wszystkie dokumenty. Co więcej, tamta rodzina stanie murem za Giną. Nie masz z nimi żadnych szans.

Ojciec uderzył pięścią w biurko, na którym leżały nuty. Czuł, że cała sprawa wymyka mu się z rąk.

- Wyjdiesz za barona i już! Nie mam zamiaru dłużej słuchać tych nonsensów!

- Kim jest ten człowiek? - wtrąciła się lady Hanscombe. - Może to ktoś bogaty - dodała, patrząc na męża.

- Nie, nazywa się Richard Dalton i jest kapitanem. Walczył w Hiszpanii razem z mężem Jessiki i został ranny w bitwie pod Waterloo - powiedziała dumnie. - Teraz robi inwentaryzację w Wargrave Park.

Jednak te słowa nie wywarły większego wrażenia na jej ojcu. Sir Alfred wydał tylko wargi.

- Chcesz zostawić barona dla żołnierza bez grosza?! - wrzasnął.

- Richard nie jest bez grosza. Mówił mi, że powi-

nien odziedziczyć niewielką posiadłość na południowym wybrzeżu! - replikowała.

- Ciekawe, co jeszcze ci nakłamał?! - zaskrzeczał sir Alfred. - Nie chcę już więcej żadnych dyskusji. Masz wyjść za barona i koniec!

- Nie!

- Co powiedziałaś?

Dziewczyna uniosła nieco brodę do góry.

- Powiedziałam: „nie” - powtórzyła z mocą. - I to moje ostatnie słowo.

Ojciec patrzył z niedowierzaniem na stojącą przed nim figurkę. Do tej pory zupełnie jej nie zauważał. *Caroline* była mu przecież zawsze posłuszna. Wesoła muzyka, która dobiegała z sali balowej brzmiała w tej chwili zupełnie groteskowo i nierealnie.

- *Caroline* jest już dorosła i nie możemy jej niczego nakazać - odezwała się lady Hanscombe. - A skoro ten twój statek jednak powrócił, nasza finansowa sytuacja nie jest już taka zła, Alfredzie. Wydaje mi się, że wiem, o kim mówi *Caroline* i ten młody człowiek wydaje mi się godny zaufania. Rozmawiałam z nim chwilę w czasie balu...

Sir Alfred rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie i *nie* zauważył łez w oczach córki.

- Więc macie pieniądze?! - wybuchnęła rozżalona. - Macie pieniądze, a mimo to chcieliście wydać *mnie* za barona! Mimo, że błagałam, żebyście tego nie robili?! Czy już tak zupełnie wam na mnie nie zależy?

- Ależ, kochanie, przecież widzimy, że nie jest ci źle! - wtrąciła natychmiast macocha. - Baron traktuje cię chyba jak damę.

Sir Alfred nie zważał na słowa małżonki. Podszedł

do córki i skierował na nią całą swoją wściekłość i frustrację:

- Czy nie widzisz, głupia, jaki on ma majątek! Te konie, te dobra... Masz za niego wyjść i już! Słyszysz?!

- Nie!

Ojciec wyciągnął dłoń w stronę Caroline. Jak mogła mu to zrobić?! Zamachnął się i uderzył ją z całej siły w policzek. Zachwiała się i upadła, zawadzając jeszcze o fortepian.

W pokoju zapadła cisza. Tuż obok, w sali balowej rozległy się pierwsze takty walca.

Sir Alfred spojrział najpierw na swoją rękę, a potem na leżącą bez ruchu dziewczynę. W tym momencie przestraszył się na dobre. Jeśli ją zabił, może przecież trafić do więzienia. Nie mówiąc o tym, że w pałacu znajdowało się dwóch mężczyzn, którzy chcieli ożenić się z jego córką.

Lady Hanscombe dopadła do pasierbicy i dotknęła delikatnie jej głowy.

- Caroline?! Caroline, nic ci nie jest?!

Dziewczyna spróbowała się poruszyć.

- Mamo! - jęknęła.

Starsza kobieta odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu pasierbica żyła. Musiała jeszcze sprawdzić, czy nie wymaga pomocy medyka. Pomacała lekko głowę, ale wyglądała na całą. Jedyne kość policzkowa była lekko skaleczona, zapewne sygnetem rodowym ojca, a cały policzek wyglądał jak świeży pomidor. Zapewne wkrótce zsinieje i minie sporo czasu zanim się zagoi.

- Bogu dzięki! Bogu dzięki! - westchnęła lady Hanscombe.

- Pomóż mi wstać, mamo.

Stanęły razem, matka obok córki. Caroline pozbyła się resztek miłości i przywiązania, którymi darzyła ojca. Stał przed nią teraz tchórzliwy i samolubny człowiek, którego bała się przez większą część swego życia.

- Skończone, tato - powiedziała. - Już nigdy nie będę cię słuchać.

Chciał do niej podejść, ale powstrzymała go siła, jaką dostrzegł w jej oczach. Przez moment walczył z sobą, chciał krzyżeć, zmusić córkę, żeby wyszła za barona. A potem tylko zmełł w ustach przekleństwo i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, lady Hanscombe poleciła Caroline usiąść na taborecie przy świeczniku i obejrzała dokładnie jej policzek.

- Nie, nie powinno być blizny - zawyrokowała w końcu. - Ale przez parę tygodni nie powinnaś pokazywać się w towarzystwie. Zabiorę cię teraz do twojego pokoju i przekażę lady Edgewart, że źle się czujesz i nie możesz pożegnać gości.

Caroline pokręciła głową.

- Nie, mam, poproś raczej Jasona do tego pokoju. Im szybciej z nim porozmawiam, tym lepiej. Trzeba kuć żelazo póki gorące. - Na jej naznaczonej uderzeniem twarzy nagle pojawił się uśmiech. - Dopiero wtedy będę mogła rozmówić się z Richardem.

- Jesteś pewna, kochanie? Przecież to wszystko może poczekać do...

- *Nie* - przerwała jej pasierbica. - Jason miał ogłosić na koniec balu datę naszego ślubu. Chciałabym zaoszczędzić mu upokorzenia.

Lady Hanscombe skinęła głową, ale jeszcze nie wyszła *do* gości.

- Bardzo ostatnio wydorosłałaś, moja droga. Myślisz, że będziesz z nim szczęśliwa? - spytała niepewnie.

Caroline od razu domyśliła się, że pyta o Richarda. A ponieważ wiele już razy zadawała sobie to pytanie, odpowiedziała bez najmniejszego wahania:

- Tak.

Macochoa wyglądała tak, jakby miała coś jeszcze do powiedzenia.

- Tak swoją drogą... te pieniądze... Te po twojej matce - dodała, a następnie spuściła wzrok. - Niestety, ojciec stracił wszystko z powodu złych inwestycji.

Pasierbica nie zareagowała, jakby ta wiadomość nie zrobiła na niej większego wrażenia.

- Nie chodziło mi o te pieniądze - wyjaśniła. - Zresztą i tak mówiłaś, że nie mają większego znaczenia. Ostatnio podpisałam kontrakt na sporą sumę z wydawcą muzycznym z Londynu.

- 2 kim?

- Wydawcą muzycznym. Chcą opublikować część moich kompozycji. Nie obawiaj się, pod pseudonimem - dodała, widząc strach w oczach matki.

Jednak to, co wzięła za strach, było tylko niepomiernym zdziwieniem. Lady Hanscombe spojrzała na nuty leżące na fortepianie. Kiedyś uczyła się grać, ale robiła to bez przekonania i teraz wszystkiego już zapomniała.

- Więc ktoś chce za to płacić? - rzekła ze zdziwieniem. - No cóż, tym lepiej. Tylko proszę, nie mów o niczym ojcu.

Caroline skinęła głową.

- I nie myśl o nim źle - poprosiła jeszcze. - Dużo

w życiu stracił i dlatego nie potrafi myśleć o nikim poza sobą.

- Nie chowam do niego urazy - zapewniła macochę.

Nie chciała mówić o tym, że już go nie kocha i nie szanuje. Musiało to jednak być z jakichś powodów oczywiste, ponieważ lady Hanscombe skuliła się pod jej wzrokiem. W końcu wyszła za sir Alfreda, doskonale zdając sobie sprawę z jego wad.

- Dobrze, zaczekaj. Zaraz poproszę barona, żeby tu przyszedł - rzuciła i już po chwili znalazła się za drzwiami.

Jason zmarszczył swoje gęste brwi na widok Reginalda Davenporta przemykającego między gośćmi. Jak śmiał przyjść bez zaproszenia na bal?! Inna sprawa, że gdyby wiedział o jego pobycie w Wargrave Park, musiałby go zaprosić. Z niepokojem też zlustrował niedbały strój Reggie'ego. Znaczyło to, że musiał wcześniej pić. Niestety, po alkoholu robił się kłótniwy i bardzo niebezpieczny. Wszystkie jego wyczyny, o których głośno było w Londynie, brały się właśnie z pijaństwa. Chociaż z drugiej strony, Davenport bardzo uważał, żeby nie wywołać skandalu w dobrym towarzystwie. Koniec końców baron zdecydował, że trzeba dać mu spokój.

Podszedł więc, żeby się z nim przywitać i w ten sposób pokazać, że uważa tę wizytę za oficjalną.

- Witaj, Davenport - powiedział. - Szkoda, że nie wiedziałem, że przyjechałeś do Wargrave Park. Inaczej wysłałbym ci zaproszenie.

- Jak widzisz, jakoś sobie poradziłem - mruknął zagadnięty. - Nie mogę wytrzymać tej wiejskiej nudy. Przecież tutaj nie ma nic ciekawego do zrobienia!



Baron był na ten temat przeciwnego zdania. Najchętniej siedziałby cały rok u siebie w majątku.

- Dam ci znak, Davenport, jak będę organizował polowanie - obiecał. - No, a poza tym masz tutaj wszystkie damy z sąsiedztwa.

- Prowincjonalne gęsi - mruknął Reggie.

Lord Radford zastanawiał się, jak długo jeszcze powinien znosić impertynencje nieproszonego gościa.

- Czy *coś* już wiadomo na temat majątku? - spytał. - Zdaje się, że Chelmsford prowadzi sprawę żelazną ręką.

Reggie spochmurniał, ale w końcu uderzył się dłonią w pierś.

- W końcu i tak wszystko odziedziczę - stwierdził.

- A myślałeś już, co z tym zrobić, Davenport? - zapytał chytrze Jason.

Oczy Reggie'ego błysnęły, a na jego ustach pojawił się złośliwy uśmiech.

- Nic z tego, Kincaid. Nie odkupisz ode mnie tak łatwo Wargrave. - W tym momencie jego wzrok padł na Jessikę. - Kto to?

Baron, który omal nie zazgrzytał zębami, chciał odpowiedzieć, że to jeszcze jedna prowincjonalna gęś. Zebrał jednak wszystkie swoje siły i postanowił być uprzejmy dla gościa.

- To ciotka mojej narzeczonej - wyjaśnił. - Jej mąż, major Sterling, poległ parę lat temu i dlatego nie pokazywała się w towarzystwie.

Reginald nagle przypomniał sobie, że jest dżentelmenem.

- A właśnie, chciałem ci pogratulować wyboru, Kincaid. Widziałem rwo ją narzeczoną i uważam, że *jest urocza. Czy ma może jakąś młodszą siostrę?*

- Tak, jedenastoletnią - odparł uprzejmie baron.  
Reggie parsknął śmiechem.

- Wobec tego muszę chyba zainteresować się jej ciotką.

Jason zastanawiał się przez chwilę, czy nie odwieść go od tej myśli, ale stwierdził, że Jessica potrafi sama się bronić. Co innego Caroline. Trzeba uważać, bo może źle zareagować na impertynencje Davenporta. A właśnie, jakoś nigdzie *jej* ostatnio nie widział. Czyżby znowu źle się poczuła?

W tym momencie zauważył zaaferowaną lady *Hanscombe*, zmierzającą w jego kierunku. Przeprosił Reggie'ego i wyszedł jej naprzeciw. Jednak macocha Caroline poprosiła go tylko, by zajrzał do pokoju z fortepianem i oddaliła się jeszcze szybciej niż przyszła.

Zaciekawiony poszedł tam, gdzie prosiła.

- Caroline, co się stało?! - spytał, patrząc na ciemnoczerwoną plamę na policzku narzeczonej.

Chciał ją objąć, ale dziewczyna powstrzymała go gestem.

- Nic takiego. Odbyłam tylko dosyć gwałtowną rozmowę... z moim ojcem.

Baron zacisnął pięści.

- Jeśli on to zrobił, już niedługo będziesz sierotą! - warknął.

Jednak narzeczonej również tym razem uciszyła go ruchem dłoni. Po wyjściu macochy straciła cały spokój, który wcześniej zyskała. Co miała teraz powiedzieć? Ze być może za chwilę on też będzie chciał ją uderzyć?

Podeszła do fortepianu i usiadła na miękkim taborecie. Spod jej palców popłynęła jakaś nieznaną me-

lodia. Jason nigdy dotąd nie słyszał czegoś tak prze-  
pojonego smutkiem. To był fragment sonaty, którą  
dedykowała Richardowi.

- Co to jest, Caroline?

Dziewczyna nabrała powietrza w płuca.

- Musimy porozmawiać, Jason - zaczęła desperacko.

- O czym? - spytał, podchodząc do instrumentu.

- Nie chcę za ciebie wyjść i nie sędzę, żebyś ty, tak  
naprawdę, chciał się ze mną ożenić - wyrzuciła z sie-  
bie jednym tchem.

Nie wpadł w złość, tak jak ojciec. Prawdę mówiąc,  
jego przystojna, sokola twarz była prawie pozbawio-  
na wyrazu. Wydało jej się to mało prawdopodobne  
i pomyślała, że zbyt słabo go zna, żeby coś wyczytać  
z jego rysów.

- Dlaczego? - jego głos brzmiał spokojnie.

Caroline zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę.

- Ponieważ kocham kogoś innego - odrzekła.

Kiedy ponownie uniosła powieki, miała wrażenie,  
że śni. Twarz barona aż promieniała radością. Nigdy  
nie widziała, żeby tak się cieszył. Czyżby źle go oce-  
niła? Może była zbyt obcesowa i swoją wiadomością  
doprowadziła go do pomieszania zmysłów?

- To znaczy, zawsze byłeś dla mnie dobry... I...  
i myślę o tobie z największym sza... szacunkiem - ją-  
kała się.

Wstała od fortepianu, a Jason złapał ją za rękę. Ba-  
ła się, że właśnie teraz ją uderzy albo zrobi coś rów-  
nie nieprzewidywalnego, ale on tylko potrząsnął ser-  
decznie jej prawicą.

- Ze swojej strony muszę oczywiście zwrócić ci da-  
ne słowo i... i życzę ci dużo szczęścia.

Dziewczyna skurczyła się jeszcze bardziej. Dopie-

ro po chwili dotarło do niej, że Jason mówi poważnie i że nie ma się czego bać. Co więcej, z jakiegoś powodu jest chyba zadowolony z tego rozwiązania. Zaczęła intensywnie myśleć i wszystkie fakty powoli połączyły się w jej głowie w *logiczną* całość: nagły wyjazd barona, dawny romans Jessiki i jej decyzja o szybszym wyjeździe.

- Jaka ja byłam głupia! To jasne, że kochasz Jessikę!

Rozpromieniony baron wyglądał teraz znacznie młodziej niż przed momentem. Widać było, że jest odprężony i pewny siebie.

- Tak, moja droga - potwierdził. - Zakochałem się w niej czternaście lat temu i, jak się okazało, nie zdołałem wyzwolić się spod *jej* czaru.

Caroline pokręciła głową.

- Jaka ja byłam ślepa, jaka ślepa... - powtarzała, rozmyślając nad całą sytuacją. - Ale moja ciotka też się nie popisała inteligencją. Wiedziała, że cię nie kocham, a mimo to radziła mi, żebym wyszła za ciebie za mąż.

Baron chwilę się zastanawiał, ponieważ coś nie zgadzało się w tej łamigłówce. Doskonale pamiętał rozmowę, którą odbył jakiś czas temu.

- Widzisz, bo Jessica uważała, że się we mnie zakochałaś - rzekł, marszcząc brwi. - Podobno słyszała, jak śpiewasz, czy coś takiego.

- Bo się zakochałam, ale nie w tobie! - przypomniała mu.

Jason uśmiechnął się do niej raz jeszcze.

- Jakiż to cios dla mojej *amour propre*! Ale mam nadzieję, że się mnie nie bałaś?

Spuściła głowę, ale potem uniosła ją i spojrzała mu prosto w oczy.

- Na początku, tak, ale teraz już wiem, że nie jesteś wcale Diabolicznym Baronem.

Jason wybuchnął śmiechem.

- Kim?!

- Diabolicznym Baronem. Tak cię nazywałam - wyznała. - Nie chciałam Za ciebie wyjść, ale rodzice...

- Wiem, wiem - przerwał jej. — Pieniądze. Podejrzewam, że twój ojciec wydał już wszystko co dostał, ale nie przejmuj się, nie będzie musiał niczego zwracać. A teraz, skoro już wiadomo, że nie jestem tak bardzo diaboliczny, może zdradzisz mi, kim jest twój wybrany?

Caroline wahała się tylko parę sekund.

- To Richard Dalton.

Jason tylko pokiwał głową, a w jego oczach zapaliły się diabelskie iskierki.

- Zdaje się, że wiele się tutaj zdarzyło w czasie mojej nieobecności - mruknął. - Ten Dalton wygląda na porządnego człowieka, ale... czy będzie miał z czego utrzymać rodzinę?

- Zaczynasz już mówić, jak mój wuj! - zaśmiała się. - Richard zapewnił mnie, że dostanie jakąś małą posiadłość. Zresztą, wszystko mi jedno. Wyszłabym za niego nawet, gdyby nie miał grosza przy duszy.

Baron cofnął się trochę, żeby objąć spojrzeniem całą jej drobną postać.

- George miał rację. Kobiety są znacznie bardziej romantyczne niż mężczyźni. Chociaż... - Machnął ręką, nie dokończywszy zdania. - Pozwolisz jednak, że porozmawiam z tym Daltonem w twoim imieniu. Nie sądzę, żeby twój ojciec ubiegał się o to prawo.

Caroline bezwiednie dotknęła policzka. Już prawie zapomniała o tym, co się stało. Zresztą nie chciała pa-

miętać o rzeczach *złych*. Przede wszystkim cieszyła się z tego, że rozmowa z narzeczoną, a w zasadzie byłym narzeczoną, poszła jej znacznie lepiej niż się spodziewała. Wciąż jednak dręczyło ją jedno pytanie:

- Powiedz, Jason... - spytała ciekawie - powiedz, dlaczego właśnie mnie wybrałeś na żonę?

Baron spuścił oczy. Nie chciał o tym rozmawiać. Jak zareaguje Caroline, kiedy dowie się, że była przedmiotem bezsensownego zakładu? Sam doskonale wiedział, jakby on poczuł się w takiej sytuacji.

- Proszę. Chcę znać całą prawdę!

Chrząknął i cofnął się trochę, jakby ustępując przed silniejszym. Otworzył nawet usta, ale zaraz je zamknął i zaczął chodzić po pokoju. Caroline ani na chwilę nie spuszczała go z oka.

- Więc w zasadzie... - zaczął i zaraz urwał. - Hm, jak to powiedzieć? Założyłem się z George'em, że pierwsza wybrana dziewczyna, bez najmniejszych problemów, zgodzi *się* na małżeństwo ze mną...

- Ale dlaczego ja, Jason?

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był aż tak zakłopotany.

- Hm, ciągnęliśmy losy - odrzekł niepewnie. - Twoje nazwisko znajdowało się na kartce, między kilkoma innymi...

Caroline parsknęła śmiechem i szybko zaślониła sobie usta. Nie na wiele się to zdało, ponieważ aż dusiła się z tłumionego chichotu. Musiała spocząć, żeby jakoś przetrzymać atak. Baron natomiast odetchnął z ulgą. Już przestał się bać, że wpadnie we wściekłość.

- Wyciągnąłeś moje nazwisko z kapelusza? - spytała, wycierając łzy z twarzy.

W odpowiedzi pokręcił głową.

- Nie, z greckiej urny.

- Z greckiej urny?! - Znowu prychnęła jak kotka. - Jason, pochlebiasz mi!

Lord Radford obserwował ją spod zmarszczonych brwi. Czyżby to była ta sama nieatrakcyjna i milkliwa dziewczyna, którą poznał tak niedawno? Czy naprawdę mogło mu się wydawać, że nie ma poczucia humoru?

- Wiesz, Caroline, odnoszę wrażenie, że wcale nie byłoby nam tak źle w małżeństwie - powiedział, podając jej ramię.

- Pewnie masz rację - przyznała. - Wolałabym jednak, jeśli pozwolisz, wyjść za mąż za Richarda. Zostawmy więc wszystko tak, jak jest.

- Wręcz przeciwnie, musimy uporządkować nasze sprawy - przypomniał jej. - Chodźmy stąd. To nie jest dobre miejsce na miłosne rozmowy.

Myślała, że wyjdą przez salę balową, więc wyjęła chusteczkę, żeby zasłonić policzek. Ale baron poprowadził ją do małych drzwiczek na tyłach pokoju. Tamtędy przedostali się do niewielkiego holu. Wcześniej była tu tylko raz, kiedy narzeczony pokazywał jej pałac.

Jason wyciągnął przed siebie rękę, wskazując korytarz.

- Pójdziesz tędy, a potem skręcisz w lewo - poinstruował ją. - Schody prowadzą na górę, do zbrojowni. Przyślę tam twojego kapitana, ale pamiętaj, że później ja będę chciał porozmawiać z Jessiką. Daję wam parę minut na rozmowę.

Caroline skinęła głową. Trochę się bała, bo korytarz wyglądał na mroczny. Ścisnęła jednak mocniej świecznik i ruszyła we wskazanym kierunku.

Reginald Davenport ze znużeniem obserwował uczestników balu. Już zapomniał, jak nieciekawe są te wiejskie spotkania. Zwykle bawił się w innym towarzystwie, w którym nie brakowało aktorek z londyńskich teatrów. Teraz rozśmieszały go jedynie stare kwoki, które własnym ciałem zasłaniały przed nim swoje niezamężne kurczątko. Reggie doskonale wiedział, jaką ma opinię w tym gronie. Prawdę mówiąc, gdyby sam miał córkę, na pewno starałby się ją chronić przed takimi osobnikami.

Politowanie budziły w nim natomiast te matrony, które wypychały w jego stronę nieletnie latorośle. Zapewne wszyscy uczestnicy balu wiedzieli, że odziedziczy niedługo Wargrave. To czyniło zeń łakomy kęsek.

Pośród tego towarzystwa czuł się trochę jak wilk między owcami. Jak długo można się jednak tym bawić? Reggie w końcu machnął ręką i zabrawszy zdumionemu lokajowi całą butelkę porto, wyszedł na korytarz. Przeszedł dalej, w stronę, gdzie kładły się długie cienie. Następny korytarz był niemal ciemny. Wziął więc jeden z kandelabrow i powoli zaczął się wspinać po schodach, szukając miejsca, gdzie mógłby w spokoju wypić wino.

Richard rozglądał się wśród tłumu, szukając Caroline. Od jakiegoś czasu nie mógł jej nigdzie znaleźć. Wreszcie postanowił rozejrzeć się za nią w przylegających pokojach, ale właśnie wtedy pojawił się przy nim gospodarz.

- Moja była narzeczona chciała by z panem porozmawiać, panie kapitanie - powiedział z błyskiem w oku.



Serce Richarda przyspieszyło biegu.

- Była...? powtórzył, patrząc pytająco na barona.

Po minie Radforda można było poznać, że doskonale się bawi. Nie chciał jednak zbyt długo trzymać gościa w niepewności.

- Właśnie przed chwilą zerwała zaręczyny - poinformował cierpko. - Z jakichś niezrozumiałych względów woli pana, panie kapitanie.

Richard skłonił się *Jasonowi* i stuknął obcasami.

- Czy chce się pan o nią pojedynkować, panie baronie? Jestem do dyspozycji!

- Nie, to nie będzie konieczne - odparł rozbawiony arystokrata. - Myślę, że jakoś zdołam się z tego wylizać.

Jego wzrok padł na płomienną Jessikę, tańczącą z jakimś starszym dżentelmenem. Wydała mu się świetlista i piękniejsza niż kiedykolwiek. I jego, narzeczcie jego!

- Może nawet dosyć szybko - mruknął pod nosem.

Jednak Richard usłyszał i tę ostatnią uwagę. Spojrzał najpierw na barona, a potem na rudowłosą tancerkę.

- Zdaje się, że *rozumiem* - zwrócił się do rozmówcy. - Czyżby to wszystko było komedią pomyłek, panie baronie?

Radford poklepał go po ramieniu.

- Mów mi, Jason. - Przywołał gestem lokaja i podał kapitanowi kieliszek napełniony winem. - Za miłość, Richardzie!

- Za miłość!

Goście zdziwili się, kiedy kosztowne kielichy rozprysły się o podłogę. Jessica nawet przerwała taniec i spojrzała w ich stronę, ale Jason był właśnie zajęty

objaśnianiem drogi. Po minucie Richard ruszył raż-  
no przed siebie. Nie czuł już bólu w nodze. Kto wie,  
może zdecydowałyby się nawet na taniec...

Baron spojrział jeszcze w stronę drzwi. Zupełnie  
wypadło mu z głowy, żeby poinformować kapitana  
o policzku Caroline. Trudno, już za późno! Teraz  
chciał tylko wreszcie nacieszyć się Jessiką. Niestety,  
znowu zaczęła tańczyć ze starszym dżentelmenem.  
Zbliżył się do niej w przerwie, żeby poprosić do tań-  
ca, ale tym razem ubiegł go oficer marynarki.

Wściekły Jason zastanawiał się, czy nie wyzwać go  
na pojedynek, ale obowiązywał go honorowy kodeks  
gospodarza. W końcu odczekał swoje i złapał Jessi-  
kę za rękę, pociągnął ją w stronę drzwi.

- Myślałam, że chcesz zatańczyć! - protestowała.

- Najpierw musimy porozmawiać - szepnął tajem-  
niczo.

- O czym?

Nic nie odrzekł, tylko pociągnął ją w głąb ciemne-  
go korytarza. Kiedy znaleźli się w półmroku, nie mógł  
się powstrzymać i pocałował ją lekko w policzek.

- Jason!

Jego usta zbliżyły się niebezpiecznie do karmino-  
wych warg.

- Jason, tak nie można! Wiesz dobrze, że nie po-  
trafię ci się oprzeć!

- I właśnie o to mi chodzi - szepnął, a następnie  
pocałował ją namiętnie.

Jessica chciała się bronić, ale uległa mu z głośnym  
"westchnieniem. Dopiero, kiedy się od siebie oderwa-  
li, pomyślała o Caroline.

- Nie, nie możemy! Pamiętaj, że jesteś zaręczony -  
rzekła stanowczo.

Jego wargi musnęły delikatnie brzoskwiniowy policzek i zaczęły przesuwać się w stronę kształtnego ucha.

- Już nie - powiedział niemal bezgłośnie.

Rudowłosa dama odskoczyła od niego, na dobre pół metra i załamała ręce.

- Co takiego?!

- To sama Caroline zerwała zaręczyny.

- Do licha, do licha - powtarzała Jessica, kręcąc głową. - Dlaczego byłam taka nieostrożna?! Pewnie domyśliła się wszystkiego i postanowiła usunąć się nam z drogi!

Baron omal się nie roześmiał, widząc jej zatroskaną minę.

- Nic podobnego. Rozmawia teraz na górze z narzeczonym - rzekł, wskazując schody.

- Z narzeczonym?

- Richardem Daltonem - uzupełnił.

- Richardem Daltonem? - powtórzyła niczym echo.

Jason pogroził jej palcem, a potem... uśmiechnął się do niej.

- Zdaje się, że nawiązali romans w czasie mojej nieobecności. A przecież miałaś mi pilnować narzeczonej!

- Ale Richard... Ale ja przecież... - próbowała się nieudolnie tłumaczyć.

Baron natychmiast wziął ją w ramiona.

- I bardzo dobrze, że nie pilnowałaś - stwierdził. - Mam nadzieję, że to porządny człowiek? Przeszedłem z nim na „ty” zanim zebrałem odpowiednie informacje.

- Och, tak - odparła natychmiast. - Richard to wspinały, odważny człowiek. I w dodatku muzykalny...

- Właśnie. Nie rozumiem, jak mogłaś nie zauważyć, że *to* w nim Caroline się zakochała?

Spojrzała na niego bezradnie.

- Po prostu nie przyszło mi do głowy, że może chcieć kogoś poza tobą!

Znowu padli sobie w objęcia i trwali tak przytuleni przez dłuższy czas. W końcu baron wskazał schody.

- Chodźmy! Mieli już dosyć czasu.

Ruszyli ramię w ramię. Po paru minutach znaleźli się na szczycie schodów i przystanęli przed drzwiami. Ze środka dobiegał do nich szcęk broni.

- Ja... jakaś dziwna ta rozmowa - wyjąkała Jessica i spojrzała ze strachem na Jasona.

W zbrojowni było znacznie widniej niż na korytarzu. Światło dawały nie *tylko* zapalone lampy, lecz również księżyc w pełni, który zaglądał tu przez długie do ziemi okna. Caroline aż westchnęła urzeczona jego majestatem. Następnie spojrzała na lśniące zbroje, w których odbijały się żółtawe błyski i na kolekcję białej broni. Pistolety znajdowały się zapewne w stojącej w kącie przepaścistej szafie. Cały pokój zaprojektowano tak, żeby stanowił jednocześnie dogodny pomieszczenie do fechtunku, ale jej przypominał przede wszystkim salę balową. Częściowo słusznie, ponieważ znajdowała się ona tuż pod nią i z dołu dobiegały tutaj dźwięki walca. Znalezienie dobrej orkiestry było chyba jej najpoważniejszym wkładem w przygotowanie balu. Caroline zaczęła tańczyć, czując, że jest jej lekko i przyjemnie.

Po chwili usłyszała jakieś odgłosy *na* schodach. Podbiegła do drzwi, żeby przywitać się z Richardem.

Wyciągnęła rękę i w tym momencie poczuła czyjś obcy dotyk. Jednocześnie owionął ją zapach alkoholu.

- Co za ciepłe powitanie! - zarechotał Reggie Davenport. - Czy spodziewałaś się mnie, gołąbeczko?

- Nie! Kogoś innego! - odrzekła bez namysłu.

Na ustach mężczyzny pojawił się obleśny uśmiech.

- Kincaida? - wypytywał dalej.

- Nie - bąknęła.

Reginald napierał coraz mocniej, więc zaczęła się cofać w stronę okna. Dopiero teraz zauważył jej naczynony dłońią ojca policzek.

- Ach, rozumiem... A więc czekałaś na kochanka. Zdaje się, że Jason dał ci już do zrozumienia, co o tym sądzi. - Puścił jej rękę i chciał dotknąć zaczerwienionego miejsca.

Caroline cofnęła się jeszcze bardziej i nagle poczuła, że za sobą ma tylko szklaną taflę.

- Nie, proszę - jęknęła.

Przypomniała sobie, że bała się kiedyś spojrzenia barona i wydało jej się to śmieszne. W oczach Davenporta było coś gorszego, coś zwierzęcego i ośliżłego jak skóra jaszczurki. Pomyślała, że nie może okazać strachu.

- Czekam na mojego narzeczonego - powiedziała pewnie. - Proszę mnie puścić!

Chciała się wymknąć z pułapki, ale Reggie znowu zastąpił jej drogę. W jego oczach płonął niezdrowy płomień. Postawił butelkę na podłodze i znowu zrobił krok w kierunku dziewczyny. Poczuła na twarzy jego kwaśny oddech, ale nie miała gdzie uciekać. Pozostawało jej tylko otworzyć okno i *wyskoczyć* na podjazd przed pałacem. Już chciała to zrobić, ale Davenport powstrzymał ją siłą.

Przez moment napierał na nią całym swoim ciałem, a potem udało mu się dotknąć jej ust swoimi wargami. Caroline krzyknęła. Niech krzyczy. I tak nikt na dole nie usłyszy nawet najgłośniejszych wrzasków. On tymczasem zabawi się kosztem Kincaida. A przy okazji zabije choć na chwilę wszechogarniającą nudę.

Dziewczyna krzyknęła po raz drugi, czując tuż obok silne męskie ciało. Nie wiedziała, jak się bronić. Zamknęła oczy i powtarzała tylko: „Nie! Nie!”

Reggie bawił się coraz lepiej. Był tak zajęty oporną pannicą, że nawet nie zauważył, że ktoś jeszcze pojawił się w zbrojowni. Czyjaś silna ręka złapała go za surdut i oderwała od Caroline.

- Kincaid?!

Nie, to nie był baron. Kiedy się odwrócił, zobaczył tego okropnego Daltona. Reggie pomyślał o nim ze wzgardą. Kim był, u diabła, żeby wtrącać się w jego prywatne sprawy?! Marnym urzędniczyną, na usługach podrzędnego prawnika.

Niewiele myśląc, Reginald podbiegł do ściany i chwycił jedną z wiszących na ścianie szpad. Rzucił się na Daltona, chcąc go zasieć.

- Nie!!! - krzyknęła z całej mocy Caroline, czując, że nogi zrobiły *jej się* zupełnie miękkie ze *strachu*.

Jednak Dalton przewrócił się jakoś dziwnie na jedno ramię i przetoczył w stronę ściany. Zanim Reggie się odwrócił, zdążył zdjąć surdut i sięgnąć po drugą szpadę. Po chwili stał już przed nim, ale z opuszczoną bronią. Reginald z wściekłością ściągnął z siebie surdut i rzucił go na podłogę.

- Caro, proszę wyjść - rzucił jeszcze kapitan.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Bała się

tego, co miało nastąpić, ale za nic nie chciała opuścić pokoju.

Reginald spojrział z wściekłością na przeciwnika.

- Zaraz pójdziesz do piekła, Dalton - "warknął przez zaciśnięte zęby.

Na twarzy kapitana nie drgnął ani jeden muskuł. Był całkowicie spokojny, jakby nic szczególnego się nie stało.

- Ty pierwszy, Davenport. - Rana, którą zauważył na policzku Caroline wywołała jego gniew. Co by się stało, gdyby nie przyszedł na czas? Jeszcze przez moment się wahał, ale w końcu zdecydował, że zabije kuzyna. Mimo więzów krwi, które ich łączyły.

Reginald rzucił się na niego w napadzie szalu. Dalton sprawiał takie wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, do czego służy broń. Wciąż trzymał swoją szpadę ostrzem przy ziemi i stał zupełnie rozluźniony z jedną nogą wysuniętą do przodu. Dobrze, za chwilę dostanie to, o co się prosił!

O dziwo, kapitan odparował jego potężny cios. Reggie nawet nie widział, jak to się stało. Był to zapewne przypadek, ale do kolejnego ataku przygotował się już lepiej. Przyjął postawę szermierczą i natarł bokiem na przeciwnika.

Caroline powoli zaczynała odzyskiwać siły i zdolność myślenia. Natychmiast też przyszło jej do głowy, że powinna wezwać pomoc, która rozdzieliłaby szermierzy. Przesunęła się więc wzdłuż okna i ściany do drzwi. Nie obserwowała więc tego, co się działo z Richardem. Z ulgą stwierdziła jedynie, że jest cały i zdrowy, a w dodatku zupełnie spokojny. Poblądł tylko trochę i uniósł wyżej szpadę.

- Koniec z tobą, Davenport - wycedził zimno. -

Nie pozwolę ci skrzywdzić Caroline, ani żadnej innej kobiety!

Reggie roześmiał mu się w twarz. To, że nie powiodł mu się drugi atak, było chyba jakimś diabelskim zbiegiem okoliczności. Musi zebrać siły, żeby raz na zawsze wykończyć tego przekłętego Daltona.

- Chcesz powiedzieć, że też kochasz się w tym soplu lodu? - Wskazał struchlałą Caroline. - No dobra, jak wygram, to ja przyprawię rogi Kincaidowi! Masz moje słowo!

W ten sposób podpisał na siebie wyrok śmierci. Tym razem to Richard podskoczył do niego ze swoją szpadą. Reggie uniósł broń, żeby odparować *cios*, ale stalowa klinga błysnęła tuż przy jego głowie.

- Aa! - krzyknął i spojrzał ze zdziwieniem na swoje lewe ramię. Biała koszula zwolna barwiła się krwią.

W przypływie furii rzucił się na przeciwnika. Caroline już zamierzała zbiec na dół, ale w drzwiach pojawił się baron wraz z Jessiką.

- Prędeż, prędeż - gorączkowała się. - Trzeba ich powstrzymać!

Jason spojrzał wprawnym okiem na walczących. W tym momencie nie było chyba żadnej siły, która mogłaby ich rozdzielić. Davenport atakował jak sto szatanów i biedny Dalton praktycznie nie miał żadnych szans. A jednak... bez najmniejszego problemu odparowywał ciosy Reggie'ego. Co więcej, zranił *go* w pierś.

Przeciwnicy znowu się zatrzymali. Davenport dyszał ciężko i wycierał pot z twarzy. Dalton stał wyprostowany, trzymając szpadę lekko uniesioną. Krople potu zrosiły mu czoło, ale poza tym nie wyglądał na zmęczonego.



- Niestety, moja droga, nic się teraz nie da zrobić - baron szepnął Caroline do ucha. - Ale nie musisz się chyba martwić o Richarda.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale Jessica pogłaskała ją po twarzy.

- Nie bój się, Caro.

Nie widziała co prawda nigdy walki, w której uczestniczyłby Richard, ale wśród wojskowych słynął jako znakomity szermierz. Nie sądziła jednak, że potrafi walczyć tak lekko, prawie nie ruszając się z miejsca.

Reggie czuł, że powoli opuszcza go duch bojowy. Miał przed sobą człowieka, którego w żaden sposób nie mógł dosięgnąć swoim ostrzem. Tak, jakby ten przeklęty kapitan był zaczarowany. Kiedy spojrzał mu w oczy, zobaczył śmierć. Powoli zaczął wycofywać się w stronę okna.

Richard coraz bardziej zbliżał się do przeciwnika. Parę razy doskakiwał do niego, raniąc go niegroźnie. Reginald Davenport cały spływał krwią, a on zastanawiał się, czy uciąć mu palce u lewej ręki.

W końcu Reggie zatrzymał się, ponieważ poczuł za plecami okno. To samo, do którego wcześniej przyparł Caroline. Czuł się absolutnie bezbronny, ale postanowił umrzeć jak mężczyzna. Dlatego zebrawszy siły, rzucił się na Daltona, chcąc przerwać jego atak. Szpada kapitana tylko błysnęła w powietrzu i broń wyleciała Reggie'emu z ręki i potoczyła się pod nogi barona.

W oczach Daltona pojawił się stalowy, bezlitosny błysk.

- Richard, nie! - krzyknęła Caroline.

W tym momencie coś w nim drgnęło. Pomyślał, że

jeśli zabije kuzyna, będzie musiał uciekać z Anglii tak, jak jego ojciec. Tylko, czy Caroline zechce z nim pojechać i tułać się przez kolejne lata na obczyźnie? Wierzył w jej miłość, ale też wiedział, że nie powinien wystawiać dziewczyny na taką próbę.

- Musi zapłacić za to, co zrobił - stwierdził bezlitośnie, wskazując końcem szpady jej policzek.

- To nie on! - wykrzyknęła natychmiast Caroline. Richard przeniósł pytający wzrok na barona.

- To prawda - potwierdził Jason, pewny, że jeśli tego *nie* zrobi, Dalton *zabije nieszczęsną* ofiarę. W zasadzie nie miał nic przeciwko temu, chociaż z przykrością patrzył na upokorzonego Davenporta. Kiedyś ich rodziny się przyjaźniły, a teraz pozostała z tego zaledwie odrobina sympatii.

Richard również obserwował Reggie'ego. Powoli dojrzewiała w nim nowa decyzja. Wiedział, że nie można powierzyć komuś takiemu opieki nad Wargrave.

- Dobrze, możesz zachować życie - zwrócił się do kuzyna. - Winien ci jestem dwa wyjaśnienia. Po pierwsze, mój ojciec był jednym z najlepszych fechtmistrzów i nauczył mnie wszystkiego, co sam umiał. Również tego, żeby nie tracić sił w walce - dodał, patrząc na zdyszanego Reggie'ego.

- A po drugie? - wtrącił się baron, który *od* jakiegoś czasu z pewnym zdziwieniem przyglądał się kapitanowi.

- To, że nazywał się Julius Davenport.

W pokoju zapadło milczenie. Reggie aż otworzył usta, patrząc na niego. Kiedy w końcu zrozumiał, co to znaczy, wybuchnął śmiechem.

- No jasne, nikt nie walczy tak, jak Davenportowie.

Lord Radford pokiwał głową. Przypomniawszy sobie jeden z portretów z rodzinnej galerii, na którym jego dziadkowi towarzyszył nestor rodu Davenportów. Wyglądem bardzo przypominał niezbyt wysokiego, ale za to silnego mężczyznę, który zabierał go w dzieciństwie na przejażdżki konne.

Richard spojrzawszy jeszcze na ukochaną.

- Caroline, czy on nie zrobił ci nic złego? - spytał.

- Nie, tylko trochę przestraszył - odparła.

"Wiedział, że Radford też jej nie zranił, wobec tego pozostawał jedynie ojciec dziewczyny. Richard nie znał go, ale domyślał się, że nie jest świetlaną postacią. To przecież on usiłował zmusić Caroline do bogatego ożenku.

Kapitan pochylił się i wyjął chustkę z kieszeni surduta. "Wytań w nią zakrwawione ostrze, a następnie odwiesił szpadę.

- Dobrze, kuzynie, między nami kwita - stwierdził.

Reggie podszedł do niego z niedowierzaniem. Następnie podniósł szpadę i dotknął jej ostrza.

- Czy twój ojciec uczył cię również strzelania, kuzynie? - zwrócił się do Richarda.

Kapitan odpowiedział twierdząco, a Reggie zmarskotniał i pokręcił głową.

- To znaczy, że nie miałbym z tobą żadnych szans - stwierdził, - Zresztą, tak czy tak nie mógłbym nastawać na głowę rodu, hrabiego, kolejnego lorda "Wargrave.

Richard z kwaśną miną wysłuchiwał tych tytułów,

- Powinieneś być mnie zabić, kuzynie - ciągnął Reggie. - Zanim to zrobią moi wierzyciele. Teraz pewnie "wstrzymasz jeszcze pensję, którą dostawałem.

Kapitan, który już od dłuższego czasu tulił drżąca Caroline, spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Przecież chciałem ci zostawić prawie cały majątek wraz z tymi wszystkimi tytułami! - poinformował. - Jednak muszę zweryfikować tę decyzję. Nie mogę oddać ziemi i ludzi, a przede wszystkim ludzi, w takie ręce. Ale, oczywiście, będziesz dostawał swoją pensję.

Lord Radford spojrzął z uznaniem na kapitana. Zachował się jak prawdziwy hrabia. Rodzina była mimo wszystko rodziną i należało o nią dbać.

Natomiast Caroline tak się cieszyła z powodu zakończenia pojedynku, że w ogóle nie śledziła przebiegu rozmowy. Zresztą w tej chwili niewiele kojarzyła i cała ta wymiana zdań wydawała się jej absurdalna.

- O co chodzi? - szepnęła do Jessiki, oderwawszy się niechętnie od ukochanego.

- Okazuje się, że twój narzeczony jest hrabią - odparła ciotka.

- Baron został hrabią?

Jessica zmarszczyła z niepokojem czoło, spoglądając na siostrzenicę.

- Nie, Richard - wyjaśniła cierpliwie.

Reginald, który wciąż ociekał krwią, schylił głowę w ukłonie.

- Dziękuję.

Lord Radford, jako gospodarz, poczuł się zobowiązany wtrącić do rozmowy:

- A teraz trzeba opatrzyć ci rany, Davenport. Bo się zupełnie wykrwawisz.

Reggie uśmiechnął się blado.

- To tylko draśnięcia - rzucił.

Richard sam wiedział, że nie są to drobiazgi.

- Tak, tak, trzeba szybko posłać po medyka. A ty, kuzynie - zwrócił się do Reggie'ego - najlepiej w ogóle się nie ruszaj. W ten sposób spowolnisz obieg krwi.

Kazał mu się położyć na podłodze, a Reginald spełnił jego polecenie. Przy okazji wyszło na jaw, że kapitan znowu zaczął kuleć. Był to wynik napięcia i wysiłku, jaki włożył w pojedynek.

- Przykro mi, Caroline, ale nie będę mógł dzisiaj z tobą zatańczyć - rzekł do dziewczyny.

Czuł, że niezasłużenie stał się bohaterem wieczoru. Przecież to ona podjęła najtrudniejszą decyzję. Rozmowa z ojcem wymagała chyba sporo odwagi, skoro zakończyła się w ten sposób. A potem jeszcze trauma związana z pojedykiem. Skąd mogła wiedzieć, że Reginald go nie zabije?

- Nie szkodzi, wasza lordowska mość. Osoba z pańską pozycją nie powinna przejmować się jakimiś głupimi dziewczynami.

Chciało jej się płakać, ale powstrzymywała się resztkami woli. Zmartwiony kapitan zwrócił się do Jessiki i barona:

- Przepraszam, ale muszę porozmawiać z Caroline - stwierdził. - Inaczej nasze narzeczeństwo może się skończyć, zanim się tak naprawdę zaczęło.

Dziewczyna tylko zazgrzytała zębami.

- Właśnie, wasza lordowska mość. Zerwałam już dzisiaj jedno zaręczyny, więc mogę zerwać i drugie.

Richard wziął ją za rękę i poprowadził do wyjścia. Kiedy mijali Jasona, ten powstrzymał ich gestem.

- Bardzo się cieszę, Richard - zwrócił się do kapitana. - Pamiętam jeszcze twojego ojca. Brał mnie czasami ze sobą na konia. Jesteś do niego bardzo podobny; masz taki sam sposób bycia...

Kapitan skinął głową i wyprowadził ukochaną.

- Jak myślisz, czy dojdą do porozumienia? - spytał Jessikę zaniepokojony baron.

- Och, z pewnością. Caroline miała dzisiaj za dużo wrażeń. Sama nie wiem, jak udało jej się przejść przez to wszystko. - Spojrzała na leżącego Davenporta, który zasnął na podłodze *mocnym*, pijackim snem. - Stoczyła dzisiaj pojedynek swojego życia. Poważniejszy, niż to, co mieliśmy okazję widzieć.

- I wyszła z niego zwycięsko - dorzucił.

- Tak, ale jest bardzo, bardzo zmęczona.

Zeszli na dół i wezwali medyka do śpiącego Davenporta. Ten najpierw *go* obudził, a następnie obejrzał rany. Były dosyć poważne, ale nie zagrażały życiu. Lecz jego zdaniem pacjent po opatrzeniu ich powinien parę dni leżeć w łóżku.

- Za nic! - wykrzykiwał Reggie. - Już się chyba zupełnie zanudzę!

Służba pomogła mu wyjść *tylnym* wyjściem i Reginald Davenport powrócił do Wargrave Park. Zostali sami. Mogli pójść i sprawdzić, co się dzieje z Richardem i Caroline, ale jakoś nie mieli na *to* ochoty. Podłoga w zbrojowni była poplamiona krwią, więc musieli uważać, kiedy podchodzili do okna.

- Księżyc w pełni! - westchnęła Jessica. - Księżyc szaleńców i poetów.

- Mam wrażenie, że nawet ja uległem jego wpływowi - przyznał Jason.

Rudowłosa przez chwilę milczała, wpatrując się w jasną tarczę. W pewnym momencie w jej oczach zapaliły się przekorne iskierki.

- Wiesz, Jason, zawsze mówiono o mnie, że jestem szalona i nieposkromiona, a tak naprawdę nigdy nie

zrobiłam nic, żeby zasłużyć na taką opinię. Tylko raz pozwoliłam się pocałować mężczyźnie, który nie był moim mężem.

- Ciekaw jestem, komu? - W jego głosie zabrzmiały groźne nutki.

- Jasne, że tobie, wariacie! - roześmiała się i spojrzała mu w oczy. - I teraz myślę, że to ostatnia szansa na jakiś wyskok. Przecież niedługo znowu zostanę stateczną matroną, jak to kiedyś powiedziałaś.

Oczywiście nigdy nie wyobrażał jej sobie w tej roli.

- Chcesz zasugerować...?

- ... że możemy zaszałeć dziś w nocy - dokończyła. - Zanim jeszcze ogłosimy nasze zaręczyny. Inaczej nigdy nie dowiem się, co tak naprawdę znaczy zakazany owoc.

Baron aż krzyknął z ukontentowania i wziął ją w ramiona. Ich usta zwały się w namiętym pocałunku. Mogliby tak trwać wiecznie, ale przerwało im pochrząkiwanie dobiegające od drzwi. To George wybałuszał na nich oczy, jakby pierwszy raz w życiu widział całującą się parę.

- No i co tam, George? - odezwał się wcale nie skonfundowany baron. - Co sływać na balu?

W tym momencie Fitzwilliam odzyskał głos.

- Wszystko w porządku, tylko lady Edgeward o was pytała. Wysłała mnie, żebym sprawdził, co tutaj się dzieje. Niepokoiło ją zachowanie Davenporta.

Jason po raz kolejny miał okazję podziwiać intuicję ciotki. A może to nie była intuicja? Może lady Honoria po prostu umiała obserwować ludzi i wyciągać z tego wnioski?

- Och, Reggie pojechał już do domu - baron uspokoił przyjaciela. - Ty z kolei możesz mi pogratulować,

ponieważ żenię się z najpiękniejszą kobietą w Anglii. - Wskazał Jessikę, która skromnie spuściła oczy.

- A... a siwki? - wyjąkał zdumiony George.

~ Oczywiście, należą do ciebie!

- A... ale co z panną Hanscombe? - zatroszczył się również o Caroline.

- Obawiam się, że znalazła sobie coś lepszego - odparł smutno Jason. - Pamiętaj, że jestem tylko skromnym baronem.

Omiał nie krzyknął, kiedy Jessica wymierzyła mu potężnego kuksańca w bok. Natomiast Fitzwilliam otworzył usta jeszcze szerzej. Powoli docierało do niego *to, co się stało* i sam nie wiedział, czy się z tego cieszyć.

- No, przynajmniej mam parę świetnych koni - sapnął. - Nikt nie będzie mógł się poszczycić czymś równie wspaniałym.

Baron zrobił zafrasowaną minę.

- Obawiam się, mój drogi, że tej parze daleko do czwórki, którą trzymam u siebie w Wildehaven - rzekł, mrugając do niego okiem. - Ale jeśli chcesz sprawdzić, zapraszam cię jutro *do* stajni. A *teraz...* chyba powinniśmy wrócić do gości, prawda?

Richard poprowadził ukochaną w dół schodami, ale ponieważ w ogóle nie znał pałacu, nie miał pojęcia, jak iść dalej. Wobec tego inicjatywę przejęła Caroline i tak się dziwnie złożyło, że już po paru minutach dotarli przed drzwiami jej apartamentu.

Dziewczyna dygnęła przed kapitanem.

- Żegnam waszą lordowską mość.

- Przestań się wygłupiać, Caroline - poprosił. - Przecież nawet nie chcesz na mnie spojrzeć!



Ze łzami w oczach wpadła do swojego pokoju, ale Richard był tuż za nią. Rana znowu dawała o sobie znać, ale nie zwracał na to uwagi. W tej chwili zależało mu tylko na tym, żeby wyjaśnić wszystko ukochanej.

Jednak, gdy tylko zamknął za sobą drzwi, dziewczyna rzuciła się na niego z pięściami.

- Mały majątek na południowym wybrzeżu! - wybuchnęła szlochem. - Ile jeszcze mi nakłamałeś?!

Kapitan ze spokojem przyjmował ciosy jej małych piąstek.

- Nigdy nie mówiłem nieprawdy - stwierdził po prostu.

- Przecież jesteś hrabią, dziedzicem całego Wargrave! Richard pokręcił głową.

- Miałem zamiar zrzec się tytułu i majątku na rzecz Reggie'ego, ale sama widziałas, jaki to człowiek - zaczął jej tłumaczyć. - Tak naprawdę, pragnę tylko tego, żeby być z tobą. Ale obejrzałem cały majątek i wydaje mi się, że mógłbym w nim zrobić sporo dobrego.

Caroline uśmiechnęła się do niego. Czuła się zmęczona i zagubiona. Wyczerpał ją zwłaszcza pojedynek, ponieważ sądziła, że Davenport po prostu zabije Richarda. Teraz powoli zaczynało do niej docierać, że jej ukochany być może nie miał innego wyjścia i musiał przyjąć tytuł.

Tylko, co dalej?

- Jeszcze dwa miesiące temu nie miałem pojęcia o spadku - ciągnął Richard. - Przyjechałem do Londynu, żeby się kurować i tam właśnie dowiedziałem się wszystkiego od pana Chelmsforda. A ponieważ w zasadzie nic wtedy nie robiłem, zgodziłem się przy-

jechać do Wargrave Park. Dopiero, kiedy poznałem ciebie, moje życie nabrało sensu. Przedtem odpowiadałem za moich żołnierzy, ale musiałem wysyłać ich na śmierć. Teraz wiem, że mogę *coś* zrobić dla ludzi z wioski, jednak... - zawiesił głos - jeśli zechcesz, zrezygnuję ze wszystkiego!

Dziewczyna westchnęła ciężko. Kim była, żeby z jej powodu mieli cierpieć prości ludzie? Widziała Reggie'ego i nie sądziła, aby potrafił dobrze zarządzać majątkiem.

- Jeśli uważasz, że możesz być hrabią, to ja spróbuję udawać hrabinę - bąknęła.

Ucałował mocno *jej* dłoń.

- Nie musisz niczego udawać. Masz w sobie słodycz i dobroć, a tego przede wszystkim potrzeba tułtejszym wieśniakom - stwierdził. - Niech wreszcie poczują, że ktoś się o nich troszczy. Zapewniam cię, że zostanie ci jeszcze dużo czasu na muzykę.

Ich oczy spotkały się i zrozumieli, że nie potrzebują już więcej słów. Richard objął mocno swoją ukochaną, a ona poczuła, że powoli powracają *do niej* rozsądek i spokój. Przecież nigdy nie zdecydowałyby się porzucić Richarda! Nawet, gdyby jakimś cudem został księciem. Kochała go takim, jakim był i nie sądziła, żeby się zmienił pod wpływem bogactwa czy zaszczytów.

Sami nie wiedzieli, jak długo tak siedzieli przytuleni do siebie. Wydarzenia tej nocy oddalały się od nich powoli. Jasny księżyc królowała na rozgwieżdżonym niebie, a oni zastanawiali się, czy to wszystko zdarzyłoby się, gdyby nie pełnia.

- Powinnam napisać coś o księżycu i miłości... Ale nie takiego jak Beethoven. Coś dużo bardziej...

- szukała odpowiedniego słowa. - Dużo bardziej...

Nagle usłyszeli jakieś odgłosy dobiegające z korytarza. Caroline przypomniała sobie to, co wydarzyło się w zbrojowni i przywarła trwożliwie do ukochanego.

- Ki diabeł? - mruknął Richard i podszedł do drzwi.

Kiedy je uchylili, zobaczyli objętych barona i Jessikę, którzy wślizgiwali się właśnie do sypialni obok. Po chwili zaczęły dobiegać stamtąd jakieś chichoty i Caroline spąsowiała na twarzy.

- Chciałaś powiedzieć, dużo bardziej erotycznego? - spytał Richard, zaglądając jej głęboko w oczy.

Wrześniowy ślub Caroline Hanscombe otaczała atmosfera towarzyskiego skandalu. Co prawda, uroczystość odbyła się na wsi, ale londyńskie plotkarki powtarzały, że dziewczyna porzuciła lorda Radforda, ponieważ znalazła sobie lepszą partię i że hrabia zranił barona w pojedynku, w wyniku czego ten spędził cały tydzień w łóżku. Po dojściu do siebie był tak załamany, że niemal natychmiast ożenił się z ciotką byłej narzeczonej, tylko po to, żeby być jak najbliżej jej siostrzenicy.

Matki panien na wydaniu skarżyły się, że Caroline sprzątnęła im hrabiego sprzed nosa, zanim jeszcze wprowadzono go na salony. Co gorsza, lord Radford też wypadł z gry, a przecież po zerwaniu zaręczyn można go było uważać za idealnego kandydata na męża. Wśród młodych dziewcząt zapanowała na jakiś czas dziwna moda. Część z nich przychodziła na spotkania towarzyskie w bezkształtnych sukniach z zaczesanymi na oczy włosami. Jednak, kiedy okazało się, że nie zjednuje im to przychylności kawalerów, zawiedzione zrezygnowały z tego zwyczaju.

Natomiast sam ślub Caroline był nadzwyczaj miłym wydarzeniem. Wszyscy tam byli szczęśliwi, ale chyba najbardziej pastor, który cieszył się nie tylko z tego, że jego żona zyskała wnuka, lecz również z tego, że sam znalazł niezwykle uzdolnioną organistkę. Miał nawet nadzieję, że być może wróci ona do planów budowy nowych organów...

Najwięcej plotek wywołał fakt, że pannę młodą poprowadził do ołtarza nie ojciec, a lord Radford. Przybyłe z Londynu panie obserwowały go z niekłamany podziwem. Nie okazywał tego, że cierpi. Wręcz przeciwnie, wyglądał na bardzo zadowolonego. Nikt nie wiedział, dlaczego podjął się tak niewdzięcznej roli. Wiele na ten temat mógłby powiedzieć jego przyjaciel, George Fitzwilliam, ale on wołał milczeć. Kiedy go o to pytano po uroczystości, spoglądał w stronę pięknej pary siwych koni, stojącej przed kościołem i powtarzał:

- Niezbadane są wyroki Nieba!